

# HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MAJ 2017/3

 [magazynhisteria.pl](http://magazynhisteria.pl)

**GOŚĆ SPECJALNY**  
**GRZEGORZ GAJEK**

**PRZED ŚWITEM**  
**WŁADYSŁAW REYMONT**

BAGNISKO | CZERWONY BALON  
DIABEŁ ALBINOŚ I BRUDNY CZŁOWIEK  
DO OJCA BERTOLDA  
KIEDY KOLBAMI W DRZWI ZAŁOMOCĄ  
LATAJĄCY OLENDER | SKĄD? | WŁADCY DUSZ  
W STRONĘ MROKU | ZŁO



# SPIIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
BAGNISKO	Michał Pleskacz	5
CZERWONY BALON	Ludwik Cyfer	17
DIABEŁ ALBINOS I BRUDNY CZŁOWIEK	Krzysztof Matkowski	31
DO OJCA BERTOLDA	Łukasz Kuliński	42
KIEDY KOLBAMI W DRZWI ZAŁOMOCA	Marcin Zwoleń	56
LATAJĄCY OLENDER	Dagmara Adwentowska	68
SKĄD?	Witold Markot	78
W STRONĘ MROKU	Grzegorz Gajek	88
WŁADCY DUSZ	Mateusz Skrzyński	101
ZŁO	Piotr Barej	108
PRZED ŚWITEM	Władysław Reymont	118

**Redaktorzy naczelni:** Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

**Projekt okładki:** Izabela Wojciechowska

**Skład:** Maciej Zawadzki

**Ilustracje:** Dawid Boldys, Marcin Czarnecki, Roman Panasiuk, Małgorzata Siłkowska, Karolina Stolarska, Alicja Tempłowicz, A.A. Turkiewicz "Triopse", Joanna Widomska, Zvyrke

**Korekta:** Dagmara Adwentowska, Joanna Korytko, Alicja Podkalicka

email: [magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami majowa Histeria. Gościem Specjalnym dwudziestego numeru jest Grzegorz Gajek, który prezentuje na naszych łamach niepublikowane dotąd opowiadanie „W stronę mroku”.

Wśród jedenastu opowiadań znajdziecie trzy finałowe teksty grozy z GOTyckiego konkursu, zorganizowanego ku czci M. G. Lewisa. Na początek jednak wywiad z Histerykiem Miesiąca – Adamem Michniewiczem.

Na koniec – tekst klasyka, czyli „Przed Świtem” Władysława Reymonta, którego 150. rocznicę urodzin obchodzimy w tym miesiącu.

Tyle od nas. Wracamy do prac nad kolejnym numerem. Życzymy strasznej lektury!

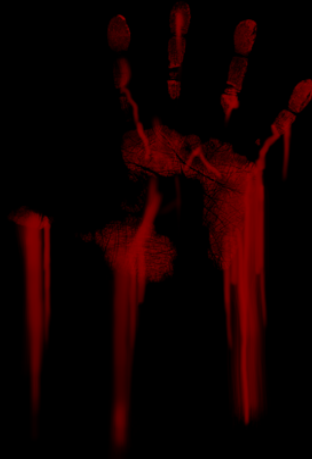


B. Jaworski i M. Zawadzki

# WYZNANIA HISTERYKA



Adam H.A.  
Michniewicz



*Lat 26, już jako dziecko spędzał długie, samotne popołudnia pomiędzy nagrobkami, natomiast pierwsze rysunki mogły wydawać się niepokojące. Przejście do świata umarłych jest dla niego jak spacer po kładce na drugą stronę strumyka – niefrasobliwy i bez przesadnej ceremonialności. Brak lęku przed śmiercią nie narodził się w jego duszy w wyniku dramatycznych przeżyć – on zawsze tam był i wzrastał wraz z nim. Michniewicz nie ludzi możliwością pokonania śmierci. On mówi o tym jak ją pokochać. Obecnie mieszka w Królestwie Niderlandii, by eksplorować tamtejsze podświaty.*

## **Skąd pomysł na „Od strony morza”?**

Prawie nigdy nie uprawiam w moich tekstach autobiografii, jednakże „Od strony morza” jest tym właśnie wyjątkiem, który potwierdza regułę. W opowiadaniu zamieściłem sporo wątków, które pokrywają się, choć nie zawsze dosłownie, z moim życiorysem. Rzeczywiście miałem okazję pomieszkać trochę w szkockim Portsoy, a każdy, kto w nim był, bądź przynajmniej oglądał jego satelitarny widok z lotu ptaka, zrozumie jak łatwo tam o inspirację. Ponadto w tym okresie czułem, że coś w moim życiu poważnie się zmienia. Morze wzywało... to musiało skończyć się opowiadaniem...

## **Jak wyglądała praca nad tekstem?**

Pierwsze notatki poczyniłem jeszcze w Szkocji, gdzie nie miałem czasu na pisanie całych opowiadań, bo oprócz pracy zarobkowej, ślęczałem wieczorami nad korektą tomiku znajomej i składem antologii literackiej. Po powrocie do Polski rozpoczęliśmy ze wspaniałą graficzką, Marleną Owsiany, prace nad nowym zbiorem (zaplanowany na 2018 rok) opowiadań pod roboczym tytułem „Wszyscy wracamy”, gdzie „Od strony morza” znakomicie się wpisuje. Wciąż jednak brakowało ostatecznego kształtu dla tego tekstu. Wtedy to Wy ogłosiliście „Love Cthulhu II”, a oddanie hołdu Lovecraftowi okazało się idealną okazją na ukończenie tej hist(e)rii.

## **Jakich pisarzy szeroko pojętej grozy cenisz sobie najbardziej?**

Bardzo dużo czytam, ale największym szacunkiem w tej kategorii darzę takich mistrzów jak: Stephen King – za prowadzenie narracji i ze wszech miar umiejętność wodolejstwo, Edgar Allan Poe – bo bez niego nie byłoby innych wielkich, a także Howard Phillips Lovecraft – ponieważ stworzył otwarty dla naśladowców świat, w który z łatwością można uwierzyć. A skoro pojmujemy temat szeroko to dorzucę Neila Gaimana, Philipa K. Dicka i Clive’a Barkera.

## **Pisanie to hobby czy coś więcej?**

Zdecydowanie to drugie. Oczywiście czerpię z tego przyjemność, jednak dla mnie to też odpowiedzialność i misja. Do tej pory wydałem cztery tomiki wierszy, zbór esejów i opowiadań oraz książkę o charakterze popularnonaukowym dotyczącą tematu wychowania do śmierci i umierania, bo to obszar mojego zainteresowania w twórczości. Zajmuję się też publicystyką. Wyjątkowe miejsce w moim sercu, jako animatora kultury, zajmuje znajdowanie nowych, utalentowanych autorów i przyglądanie się procesowi twórczemu. Odkąd przeczytałem „Psa, który jeździł koleją” i „Chłopców z Placu Broni” marzyłem aby zostać pisarzem.

## **Z czym kojarzy Ci się słowo *histeria*?**

Pozytywnie z waszym Magazynem, nieodłącznym elementem horroru i tytułem Histeryka Miesiąca! Zaś negatywnie z rozwrzeszczanym bezmózgim tłumem i tymi ludźmi, którzy przeszkadzają bohaterom w działaniu. No wiecie, chodzi mi tych, co krzyczą i zdradzają pozycję, gdy trzeba kryć się przed zombie lub Jackiem Nicholsonem i zachować bezwzględną ciszę.

Korzystając z okazji, dziękuję „Magazynowi Histeria”, „Tchnieniu Grozy”, „Dead Can Talk” i „Kostnicy” oraz wszystkim fanom grozy, w tym mojemu bratu, Damianowi!





# BAGNISKO

Michał Pleskacz

Nim skończę pisać owo wyznanie, nie będę już ludzką istotą. Do dziś żyłem w przekonaniu, że wiem, czym jest człowieczeństwo – teraz jednak drzę w niemych przerażeniu i nawet intuicyjnie nie potrafię poruszać się chociażby po obrzeżach jakichkolwiek definicji, terminów czy też ogólnie narzuconych i przez wieki skonstruowanych ustaleń. Istnieje na tym padole wszeteczeństwa coś znacznie potężniejszego, przeraźliwie niemożliwego i niezbadanego. Coś, z czym żadna ożywiająca materia nie będzie w stanie sobie poradzić. Jestem bezsilny. Ponura śmierć jawi mi się jako ostateczne rozwiązanie, jedyne właściwe wyjście. Nie zastanawiam się specjalnie, czego po

niej doświadczę. Obraz tajemnych bułw nie daje mi spokoju i wiem dobrze, jak straszliwy czeka mnie los.

Mam ochotę krzyknąć z niemocy, zacisnąć pięści i rozplakać się wśród zimnych, szarych murów mojej posiadłości. Odziedziczyłem ją po ojcu. Jako jedynak stałem się wyłącznym właścicielem owego niewielkiego zamczyska, odludnej samotni i symbolu nieodwracalnego upadku moich przodków. Przedstawię w niewielu zdaniach moją ponurą historię, spowitą w melancholię, mrok oraz nieszczęście – spiszę ją, nim na zawsze stracę ku temu możliwość.

Prawie całe życie trwałem wśród tych murów sam jak palec. Rodzina odcięła się od nas po straszliwym wybryku mojego pradziadka – on to bowiem przeniósł się na to ponure, spleśniałe i parchate ustronie, szydząc z plotek, jakie krążyły po mieście i okolicznych wsiach. Przerażeni do granic możliwości wieśniacy niejednokrotnie ostrzegali wszystkich, aby nie zapuszczać się w to chorobliwie tajemne miejsce, okryte od dawna złą sławą, głównie z powodu gęstych, czarnych lasów, w czasie pełni zastanawiająco tłocznych, nieprzyjemnych zapachów, jakie w konkretnych miesiącach dało się tu wyczuć, oraz dużego bagniska, z przeokropną, dookolną florą...

Z pism, które odnalazłem w skrzyni w piwnicznym kącie oraz z pobieżnych opowieści mego ojca, odpowiednio zmodyfikowanych i podług siebie przeinaczonych, dowiedziałem się, że mój pradziad po powrocie z Siedmiogrodu oszalał – zaczął bić żonę i nie wypełniał należycie swoich obowiązków. Dniami i nocami począł odwiedzać tragicznie wzniesione speluny pełne obcego motłochu. Wpadł w ponure i szemrane towarzystwo degeneratów, społecznych wyrzutków i person o osobliwych zainteresowaniach. Wreszcie postanowił, że się przeprowadza – miejscem jego nowego zamieszkania miało stać się wzniesienie, tuż przy przeklętym bagnie. W zastraszająco szybkim tempie zdołał wybudować tam dziwaczne, szare i małe zamczysko. Ludzie od razu zaczęli gadać, a wieśniacy przerazili się jeszcze bardziej. Wiele osób powyjeżdżało ze wsi, nigdy nie wracając. Ciekawym jest również, jak gromadnie zaczęto wówczas chadzać do kościołów. Wzniesiono ich nawet kilka, w niesłychanym pośpiechu i niedbalstwie, które za życia mojego dziadka spłonęły jednak w niewyjaśnionych po dziś dzień okolicznościach. Skromne, drewniane świątynie zapewne i tak prędzej czy później same by się rozpadły. Były jednak świadectwem wzmożonej w tamtym czasie pobożności, którą nie cechowała się przecież owa okolica.

Nie nadmieniałem jednak o tym, że ze wspomnianego Siedmiogrodu pradziadek mój nie wrócił sam. Przywiózł ze sobą kobietę, którą początkowo chował w piwnicy nieopodal domu. Jedni powiadali, że to Cyganka, inni mianowali ją Węgierką; byli jeszcze i tacy, którzy



upatrywali w niej Żydówkę, ale właściwie ciężko było się jednogłośnie określić, toteż ostateczna decyzja nigdy nie zapadła. Coraz częściej widywano ją we wspomnianych śmierdzących karczmach, w towarzystwie, rzecz jasna, mego chorego, grzesznego przodka. Wyglądała naprawdę niepospolicie – ale to i tak możliwie najłagodniejsze określenie na to pełzające wręcz, wiecznie brudne, liszajowate i pokryte bąblami oraz parchami szkaradzieństwo. Jej opisów znalazłem aż nazbyt dużo. Błogosławieństwem jest, iż nie zachowały się jakiegokolwiek jej wizualizacje.

Ta bulwiasta, poczwarna i oszpecona jakimś straszliwym sposobem postać wprowadziła się oczywiście z mym pradziadkiem do odludnego, nowo postawionego miejsca. Nieznany nikomu cudem udało im się zatrudnić nawet służbę. Mimo tego warunki były fatalne. Ludzie gadali, że smród nasilił się niesamowicie, zamczysko popada w ruinę, chociaż było przecież całkiem nowe, a na bagnie pojawiają się ogromnych rozmiarów bąble, które pękają nazbyt głośno. Rośliny wokół obumierały, niepodobna było też spotkać jakiegokolwiek przyjazne człowiekowi zwierzę. Kilka razy natknął się ktoś przypadkiem na ciało kozy, która została skazana na wyjątkowo brutalną dekapitację. Doprawdy, tak straszliwe plotki poczęły szerzyć się po miastach i wsiach, że nie dziwi mnie teraz potężna religijność ówczesnych.

Wszyscy zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, że mają do czynienia z czymś niemożliwym, niesamowitym, nieuchwytnym i przerażająco potwornym. Nieraz można było spotkać przebrzydłe postacie, które krążyły po wymienionych miejscach, a w nocy, zupełnie nago, odsłaniając w poświacie księżycowego blasku swoje zdeformowane, zbutwiałe ciała, hasały po górkach, niemożliwie piszcząc, wyjąc i zawodząc coś niezbadanego i zbyt trudnego do opisanego.

Pradziad podobno chętnie brał w tym wszystkim udział, ale wreszcie począł coraz rzadziej wychodzić ze swojego tajemnego zamku. Z jego osobistych notatek wynika, że zrezygnował z zalesionych, ciemnych dróg i teraz o konkretnych porach oraz w ściśle wyznaczonych dniach danego miesiąca udawał się nad bąblaste, gęste bagno, żeby przesiadywać tam godzinami.

Po kilku latach pomieszkiwania w zbyt archaicznie i średniowiecznie stylizowanej samotni, spłodził syna. Oto dziadek mój był wynikiem tego ekscentrycznego i niemożliwego związku. Wydawało się, że nie będą ze sobą w ogóle obcować – a jednak doczekali się potomstwa. Strach pomyśleć, jak okropny musiał być to rytuał – nie tylko zwyczajne, płciowe obcowanie oraz pospolita i fizyczna czynność, lecz także coś znacznie bardziej bluźnierczego. Nie będę się jednak na tym więcej rozwodził, bo dosyć mam już wszechobecnej odrazy.

Z ostatnich pism mego przodka wynika, że jego partnerka opuściła go dosyć szybko, bo już po czterech latach pożycia. Pradziadek nie używa jednak ani razu słów znamiennych dla człowieczego odejścia. Nikt nie wyprawił jej jakiegokolwiek pogrzebu, nie znalazłem też w okolicy żadnej mogiły. Pradziad pisze tylko, że uległa „przeistoczeniu”.

Och, jakimże pięknym i cnotliwym stanem w tym marnym, ludzkim życiu jest poczciwa i najzwyczajniejsza niewiedza! Jak bardzo ignorancja potrafi oszczędzić nam mąk, agonii, niewypowiedzianych, infernalnych cierpień i frenetycznych przeżyć, które nieuchronnie prowadzą do przeraźliwie potężnej śmierci. Ale wiem – a przede wszystkim bardzo dokładnie to widzę – że nie ma już teraz odwrotu. Nie ma dla mnie zbawiennego ratunku i wyzwolenia z tej plugawej formy... Wszystko zadziało się zbyt szybko.

Po latach zrozumiałem, jak silny wpływ mieli na mnie ojciec oraz dziadek. Był on na tyle potężny, że ani razu nie podjąłem próby ucieczki z tej schorzałej, zbutwiałej okolicy. A przecież mogłem wieść piękne życie – zmienićbym nazwisko, uciekł gdzieś na wieś – byle żyć w innym miejscu! Od małego jednak, przesiadując wśród smrodu starych ksiąg, w towarzystwie dziwacznie powykręcanych drzew, żyjąc pośród wysokich traw, posępnych wieżyc i chłonąc pozornie chwalebne opowieści o moim rodzie, o zasługach pradziadka, wreszcie – obcując bezpośrednio z trwożącą do szpiku kości roślinnością przy bagnisku i w końcu badając owy zbiornik sam w sobie – odmieniłem siebie bezpowrotnie. Wszystko to tak mocno zakorzeniło się w moim rześkim umyśle i nieodwracalnie na niego wpłynęło, że nie myślałem nawet o innym żywocie – ale i przecież takiego nie znałem. Nie miałem praktycznie żadnego pojęcia o tym, cóż działo się w mieście czy nawet na wsi. Przez całą swoją młodość – czas, w którym wszystko chwyta i zapamiętuje się niesamowicie intensywnie – korzystałem tylko z jednej, konkretnej biblioteczki i najróżniejszych okultystycznych dzieł, których tytułów jednak nie ośmielę się tu spisać.

Wszakże od małego dręczyła mnie jedna, posępna myśl – myśl, której natura, już w okresie dzieciństwa, trwożyła mnie i niejednokrotnie była przyczyną wielu bezsennych nocy w mej zimnej komnacie. W każdej bowiem ze wspomnianych wyżej ksiąg odnajdywałem obszerne i częstokroć imponujące informacje o autorze danego dzieła, wraz z konsekwentnie dołączanym jego wizerunkiem. I nawet jeśli mój dziadek zmarł dosyć szybko i jego lico pamiętam jedynie jak przez mgłę, tak już twarz ojca zagnieździła się w mojej głowie zdecydowanie intensywniej. Jednakże nigdy, ani razu, spacerując jeszcze za młodu długimi komnatami i tajemnymi korytarzami oraz później, przeczesując piwnice i poddasza, a także obszary najdalej wysuniętych wieżyc – nie odnalazłem żadnego obrazu, żadnego przedstawienia, wizualizacji, po prostu wizerunku moich przodków. Zastanawiało



mnie to do głębi i z czasem podświadomie zaczęło niepokoić. Ojciec jednak nigdy nie wyjaśnił mi wprost powodu, dla którego artyści nie chcieli malować mych przodków – popularną tendencją były wówczas portrety już dojrzałych mężczyzn, dosyć naturalistyczne, ze zmarszczkami i pocziwym spojrzeniem pełnym bagażu doświadczeń. Drzę straszliwie, wiedząc już teraz o wszystkim.

Pozostałem wreszcie całkiem sam – ojciec opuścił mnie, gdy miałem niespełna dwadzieścia lat. Ostatnie miesiące jego człowieczego żywota były dla mnie, a z pewnością także i dla niego, nieopisaną i niewysłowioną makabrą. Już kilka lat przed swym odejściem zaczął przemawiać o mym pradziadku z jeszcze potężniejszym patosem i sypał pochwałami, snując zupełnie niezrozumiałe dla mnie opowieści. Tak, jak wcześniej bił od niego wyraźny strach przed czymś niespecjalnie skonkretyzowanym, groza i nieubłagana ludzka skończoność, a i słyszałem nawet, jak w zimne wieczory czy księżycowe, niespokojne noce zawodził i szlochał nad czymś straszliwie, tak u progu egzystencji całkowicie zatracił się w ponurych księgach, a przede wszystkim w dookolnej florz – z rozszałą i absurdalną uporczywością, maniakalną dewiacją i głęboką, chorobliwą konsekwencją odwiedzał bagnisko, studiując jego bąblastą naturę i towarzyszącą mu roślinność – a przede wszystkim okropne, duże bulwy na przeciwległym brzegu.

Przeraźliwym faktem było również to, że nigdy nie poznałem swej babki oraz mamy – zastanawiałem się nieraz, z czyjego łona właściwie wyszedłem. Zakazany jednak było mówić cokolwiek o tych kobietach. Choćby najmniejsza o nich wzmianka doprowadzała mojego ojca do straszliwego szaleństwa, toteż nie drażyłem nigdy więcej tematu...

Pamiętam sytuację, gdy postanowił pierwszy raz opowiedzieć mi wprost o owym bagnisku – to były ostatnie lata, kiedy miałem możliwość z nim rozmawiać. Nie były to rzeczy specjalnie zajmujące, widziałem jednak, że ojciec doskonale obeznał się w naukach przyrodniczych, co naprawdę mi zaimponowało. Raz tylko ujrzałem wtedy człowieka normalnego, po prostu ludzkiego, który nie plecie o mrocznych rytuałach i nazbyt głębokich, gęstych i śpiewnych lasach. Jak szybko jednak obraz ten został zburzony – gwałtownie, intensywnie i całkowicie bezpowrotnie – przekonałem się już następnego dnia. Oto bowiem wyszedłem z ojcem po raz kolejny nad przeklęte bagnisko, stanowiące swoiste centrum życia tej pustelniczej społeczności, jaką zapoczątkował i wykreował mój chory i grzeszny po wieki pradziad. Tym razem jednak obeszliliśmy je naokoło, aby dotrzeć na drugi kraniec i ustać u brzegu, pod koronami martwych drzew, które zanosily się liściastym szlochem. Ojciec spojrzał na mnie w kompletnej i nazbyt krępującej ciszy – ciszy, która niosła za sobą o wiele większy przekaz niż obfity wywód jakiegokolwiek filozofa. Niemalże machinalnie, nieludzko

i bez emocji wskazał swą kościstą dłonią obiekt największej grozy, czarnej rozpacz i wszechobecnego strachu; powodu nocnych zawodzeń, diabolicznych obrazów, bubonicznych<sup>1</sup> snów i przeokropnej martwoty! Oto spojrziałem na wskazany ręką mego ojca, wskazany tak zwyczajnie, och, tak zupełnie bezgłośnie, obiekt i symbol naszego rodu i skończonego jego ludzkiego żywota! A zaraz po tym ruchu posłyszałem z ust ojca całą historię, której świadkiem wkrótce się stałem i którym znów, nieubłaganie ponownie, staję się już dzisiaj!

Wetknąłem bowiem wzrok w ogromne i upiornie sterczące, białe b u l w y .

Wyglądem przypominały przerośnięte huby, obleczone w obfitą liszajowatość; przy zbliżeniu drażnił zaś me nozdrza smród godzien największego pożałowania i silnego rozkładu. Fetor ten jednakże był tak zadziwiający i tajemniczy, że nieporównywalny z czymkolwiek.

Dopiero z czasem pojąłem tę niemożliwą historię – gdy ojciec począł się przede mną kryć. Nie zapalał w komnatach choćby jednej, najdrobniejszej świecy i zaopatrzył się w ciężkie, krucze zasłony, które tylko pogłębiały melancholię tego archaicznego dworu i jego pustelniczość oraz niewypowiedzianą grozę i smutek. Ja także wpadłem wtedy w okropnie głębokie przygnębienie i z każdym dniem traciłem chęć do życia. Wcześniej jednak wpojone mi historii oraz postępująca, maniackalna depresja dosłownie zmusiły mnie do pozostania przy tym zatrutym bagnie i życia pośród szarzyzny zimnych murów. A teraz dodatkowo, za każdym razem, gdy patrzyłem na te obmierzłe bulwy u brzegu bagniska, pojmowałem powolnie grozę opowieści ojca, a jednak to wszystko wciąż było dla mnie jakoś tak bardzo nierealne, odległe i nieskonkretyzowane – nawet mimo tego, że wzrastałem przecież w kulcie najgłębszej irracjonalności i czarnej magii.

Życie moje diametralnie zmieniło bieg, gdy ojciec mój całkiem przypadkiem i z powodu ogromnej nieuwagi zsunął z siebie spiczasty, czarny kaptur ciężkiej szaty – w ostatnich miesiącach swej egzystencji chodził już bowiem tylko w tym umorusanym ciuchu, nie odzywając się do mnie słowem, a jedynie pisząc co jakiś czas skąpe listy, dostarczane mi przez wierną służbę. Stałem akurat u progu jego osobistej komnaty, gdy posłyszał nagle moje kroki i, wzdrygając się nazbyt intensywnie, odsłonił przede mną tak

---

<sup>1</sup> Mój własny neologizm. Nawiązanie do francuskiego *bubonique* czy angielskiego *bubonic*. W języku polskim odpowiednikiem tego przymiotnika może być chociażby wyraz *dżumny*, użyty np. w opowiadaniu E. A. Poe *Zagłada Domu Usherów* w znakomicie poetyckim przekładzie Bolesława Leśmiana. *Buboniczny*, czyli więc śmiertelny, czarną śmiercią obleczony, cuchnący nią, z nią się kojarzący – a w większej ogólności: przywodzący na myśl opar śmierci, rozkładu, strachu i stereotypowych, średniowiecznych mroków.



długo i skrzętnie skrywaną tajemnicę. I dopełniła się jego opowieść, przedstawiona mi tamtego ponurego dnia na przeciwległym brzegu bagniska i teraz uwierzyłem w pełni i wszystko zrozumiałem – i nigdy więcej nie pragnąłem już patrzeć na te wynaturzone, zgrzybiałe i smrodliwe bulwy! Och, krzyknąłem chyba wtedy, a może i nie zdołałem nawet wydać z siebie najmniejszego choćby dźwięku – ale wiem, że pogałem do swego pokoju i to z tak trupią bladością skóry i przerażeniem wypisanym bezpośrednio na moim licu, że już następnego dnia służba wyniosła się z naszej posiadłości. Ale sądzę, że musieli wiedzieć już wcześniej. Zнали tajemnicę ojca, ujrzeli jego przemianę o wiele rychlej, niż ja! I nie wytrzymali, i uciekli – lecz ja: nie miałem dokąd ani z kim.

Pisałem wcześniej, że ostatnie miesiące ojcowskiej egzystencji były prawdziwą makabrą – i owszem, po całym tym zajściu i odkryciu tajemnicy mego rodu, poczynając od pradziada, unikałem zarówno ojca, jak i bagniska niczym ognia. Nie mogłem spać, a nocami wtykałem sobie w uszy gorący wosk świec, aby zagłuszyć dziwne zaśpiewy płynące z bagna. Dreszcze, jakie mną wtedy wstrząsały, nieomal doprowadziły mnie do śmierci. Może i lepiej, gdybym zmarł już wtedy – ale i tak zaraz ze sobą skończę! Jeszcze kilka zdań, jeszcze trochę – ku przestrodze! Niechaj jakaś roztropna dusza odnajdzie ten list i zamieni to zamczysko w ostateczną ruinę! Ja zrobiłem wystarczająco – nie przedłużyłem tego plugawego rodu, nie myślałem zresztą o tym ani razu, ani przez moment!

Minęły chyba wtedy jakieś dwa miesiące i nagle śpiewy i krzyki ustały – i wsłuchiwałem się tylko w zimny wiatr, obserwując przez okurzone witraże nadchodzącą zimę. Zgłębiałem melancholijne wrzosowiska, gęste lasy i wysokie trawy, siniejące i jakby zwolna obumierające wraz z tą całą przeklętą ziemią. Potoki płynęły coraz ciszej, wiatr zaś tylko grał morową melodię – pieśń nocnych duchów, zmór z przeciwległych wymiarów i pozaludzkich przestrzeni. Zamek popadał w ruinę, a ja, wychudzony i zmizerniały, nie ważyłem się wychodzić z mojego pokoju, zbyt ciemnej i zimnej komnaty.

Ale później znów dotarły do mej złęknionej duszy i wyostrzonego słuchu nazbyt znajome dźwięki – charakterystyczny bulgot i typowe zawodzenie bulw. Od tak długiego czasu postanowiłem wychylić głowę i spojrzeć w stronę przeklętego, śmierdzącego bagniska. I wystarczyło mgnienie oka, szybki jego rzut na tę straszną kompozycję roślinności, abym utwierdził się w mych przekonaniach, abym krzyknął raz jeszcze i oszalał, stracił jakąkolwiek nadzieję i część, jeżeli nie całość, swojej duszy i człowieczeństwa. To jedno spojrzenie wystarczyło, bym pozostał w tym zamczysku do mojej śmierci i gnił beczynn timer w strachu i rozszalałej depresji! Och, te bulwy!

Z czasem zniknęła służba, którą jakimś cudem zdołałem tu ściągnąć – zniknął nawet pies, który kiedyś się przypalał i dzięki któremu na kilka dni rozpromieniony kroczyłem po mojej posiadłości – ja, pozornie dumny dziedzic, członek przeklętego rodu. Wtedy też właśnie zajrzałem do piwnic, odnalazłem listy i popadłem wnet w ponowną ruinę – i pies uciekł z piskiem i potwornie zwierzęcym wrzaskiem i poszczekiwaniami.

Którejś nocy, nie mam pojęcia, jak do tego doszło, zbudziłem się z krzykiem u stóp bąblastego bagniska – nieobecny i pozbawiony świadomości wzrok utkwiony miałem w toni i głębi bagna, a co gorsza – klęczałem tuż obok niechlubnych, makabrycznych bulw! Czym prędzej wróciłem do swej komnaty, ale nadaremnie uciekałem przed przeznaczeniem – przed tym morowym fatum, losem jakichś kapryśnych bogów, a raczej samych najczarniejszych i nigdy niezbadanych sił olbrzymich potworności.

Opisana sytuacja powtarzała się coraz częściej – w snach nawiedzały mnie irracjonalne obrazy, czułem smrody grzybów, a lizajowaty odór i stęchlizna ogarniały mnie w każdej niemal godzinie, która dodatkowo wypełniona była nieodstępującą mnie aż do teraz trwogą – ogromną i niemożliwą w całości do opisanego! Przychodziłem niczym lunatyk pod brzeg bagniska i badałem dokładnie całą roślinność – jego czarny majestat i brudną ziemię, skażoną grzechem i plugastwem. Mimowolnie dotykałem bulw i coraz mocniej się z nimi u t o z s a m i a ł e m ...

I tak mijały mi godziny i dni, niespokojne noce i duszne wieczory, a wreszcie całe lata – i obcowałem coraz częściej z przeraźliwą roślinnością, wsłuchiwałem się w jej subtelne szelesty, a innym razem w rozbuchane tyrady i przeklęte pieśni z głębi bagna. W makabrycznych bulwach począłem odkrywać ich drugą, zupełnie inną i niewidoczną dla niewprawionego oka naturę. Powoli i stopniowo zacząłem do nich przemawiać, wszystko jednak czyniłem w stanie potwornego opętania, nieświadomie, jak po ogromnej dawce alkoholu czy mocnego opium. W lunatycznych spacerach, w świetle posępnego, mrozącego księżyca, kroczyłem wzdłuż bagniska, zanurzając w jego brudzie i gęstwinie swe odkryte stopy. Wąchałem intensywnie przerośnięte liście, wchodziłem do zaśmierdłych, dusznych i mszystych grobli, węsząc i szukając czegoś nieświadomie. Bywały dni, gdy orientowałem się, cóż właściwie czynię i wtedy ponownie wpadałem w głęboką depresję, a strach paraliżował wszystkie moje członki. Tygodniami potrafiłem przesiadywać w najwyższej wieży, przy całkowicie zasuniętych kotarach, i wsłuchiwać się w niepojęte szepty, dolatujące prosto z bagna – a może i z mojego wnętrza? Jakiś głos nakazywał mi tam wracać, studiować fizjonomię tych bulw, niepojętą i schorzałą, i przystawiać uszy do ich okropnych wypustek, aby nasłuchiwać... Aby z czasem się p r z y z w y c z a j a ć i wszystko rozumieć...

I ujrzałem pewnego wieczora, że rzeczywiście poczynam się zmieniać. Nie tyle mentalnie, psychicznie, bo tę ewolucję stwierdziłem u siebie już w młodości, ile prawdziwie namacalnie – fizycznie.

Na samym początku zauważyłem, że zarówno spodnie, jak i buty są na mnie za duże. Nie potrafiłem tego wyjaśnić w żaden racjonalny sposób. Nie było możliwości, by ktokolwiek te rzeczy mi podmienił, cichutko i sprytnie, wśród ciemnej nocy, a moje osobiste skradł z zamczyska. Zmysły miałem bowiem tak doskonale wyostrzone, że momentami wydawało mi się, że słyszę nawet szmer każdego insekta, każde jego otarcie się swym plugawym korpusem o zimne cegły budowli.

W następnych tygodniach było już tylko gorzej – miewałem uporczywą suchość w gardle, wzrok podlegał nagłym, negatywnym zmianom, a moje ciało jakby po prostu się kurczyło. Nieraz musiałem korzystać z pomocy drabiny, aby zdjąć z okurzonej półki interesującą mnie książkę – podczas gdy jeszcze całkiem niedawno, a tak mi się przynajmniej wydaje, bez problemu do niej dosięgałem, zaledwie subtelnie podnosząc się na palcach. W nocy nie mogłem spać, kości potężnie mnie bolały, a głowa jeszcze bardziej. Bywało nawet tak, że całe dnie musiałem po prostu spędzić w swoim łóżku, dysząc ciężko i nadaremnie masując opuszkami palców rozgrzaną potylicę i skronie.

Pamiętam, gdy pędząc raz po sennych krainach, nagle zbudziło mnie coś nieoczywistego, a zaraz później niebывale trwożącego. Był środek zimnej, niespokojnej nocy. Mimo wielu prób przewrócenia się na lewy bok coś mi wadziło, coś przeszkadzało, a w efekcie całkowicie pozbawiło kamiennego snu. Podniosłem się i z choleryczną wściekłością zrzuciłem na posadzkę koc – lecz niestety, na łóżku nie znalazłem żadnej wypustki, żadnego wystającego pręta czy nazbyt twardej poduszki. I wtedy przeszedł mnie okropny dreszcz – pamiętam, że zemdlałem i obudziłem się po wielu zimnych godzinach. Sięgnąłem bowiem obiema dłońmi do swojego lewego biodra – i dosłownie zamarłem. Nim zdążyłem krzyknąć, nim przyjrzałem się temu dokładnie, leżałem już blady jak trup i nieprzytomny. Gdy zaś wreszcie odzyskałem jako taką żywotność, płakałem długo, rzewnie i żałośnie – i wtedy też postanowiłem, że popełnię samobójstwo.

Kilka miesięcy po tym wydarzeniu było już tylko gorzej. Na początku niemalże straciłem słuch – przeglądałem się w ogromnym lustrze, ze łzami w oczach, bo moje uszy całkowicie zmieniły swój naturalny, całkiem przyjemny wcześniej kształt. Wyglądały pokracznie, makabrycznie i zupełnie nierealnie. Nie miałem pojęcia, jak okropna choroba je dotknęła i w której grobli nabawiłem się takiego schorzenia. Lecz podświadomie wiedziałem przecież doskonale, jaka jest tego wszystkiego przyczyna – po prostu nie chciałem przyjąć

tych upiornych faktów do wiadomości. Machinalnie i natarczywie wyrzucałem te myśli z mej głowy. Zauważyłem także, że na moich plecach i dłoniach pojawiają się ropiejące szybko bąble – czerwone i naprawdę bolesne. Moje kolana też zamieniły się z czasem w dziwaczne, koślawe monstra i zwyczajna przechadzka stała się dla mnie największą trudnością.

Kilka godzin zajęło mi, bym zszedł do piwnicy. Gdy tego dokonałem, zacząłem przeglądać głębokie kufry i ciężkie skrzynie. Znalazłem sporo sztyletów, kilka kości, wyblakłych kartek i fiolek z niezidentyfikowanym płynem – całym sercem pragnąłem, by była to jakaś paskudna trucizna. Obmyślałem, w jaki sposób ze sobą skończę. Wiedziałem i wiem teraz, ciągle to wiem, cóż mnie czekało. Wtedy to też zabrałem stamtąd pióro i papier, aby spisać historię upadku tego rodu.

Wzrost mój zaczął wynosić już zaledwie jakiś metr. Nie widziałem dla siebie choćby cienia nadziei, jakiegokolwiek szansy na ratunek, na spokój mej plugawej i przeklętej duszy, skażonej tą straszliwą dynastią.

Kończmy już to, kończmy! Jestem praktycznie bez sił – moje palce, czerwone i pozbawione paznokci, ledwo nadążają za prędką myślą. Stawiają pokraczne znaki, mające przypominać konkretne litery. Dyszę ciężko i chcę wreszcie umrzeć – nim będzie na to za późno! A do tego dopuścić nie mogę!

Ostateczna makabra, finał i erupcja tych przeżyć i obrazów, historii i szeptów straszego bagniska – owa erupcja ostateczności wypełniła się wreszcie, zmanifestowała swą obecność najokropniej, jak tylko to możliwe. Śnił mi się wtedy obraz ojca – doskonale i intensywnie oglądałem we śnie to, co ujrzałem tamtego dnia u progu jego komnaty. Z każdym najmniejszym szczegółem dostrzegałem skryzalizowaną, bezpośrednio mi podaną makabrę. Był to najgorszy koszmar, jaki kiedykolwiek mnie nawiedził. Zbudziłem się wreszcie, gdy ojciec, we śnie, odwrócił się do mnie, zupełnie inaczej niż w rzeczywistości, i wlepił we mnie swoje zaropiałe oczy. Wrzasnął przeraźliwie i rzucił się na mnie, wyciągając w górę swoje zdeformowane kończyny i zrzucając na podłogę ciężką, czarną szatę.

Nie obudziłem się jednak z krzykiem! O, nie! Nic z tych rzeczy! Nadaremnie próbowałem wydusić z siebie jakiegokolwiek dźwięk, gdy wreszcie wyrwałem się z koszmaru! Wrzasnąłbym raz jeszcze, gdybym tylko mógł, gdy wejrzałem na swoje ciało – na miejsce, w którym powinny znajdować się moje skurczone kończyny. Ale nie! Nie było ich!

Jakaś nieokreślona forma zwisała z mojego makabrycznego, siniego tułowia.

Niewiele myśląc, sturlałem się frenetycznie z mego łóża. Zauważyłem także, że u jego stóp leżą moje paznokcie – przyobleczone w krew, nieokreślony śluz i najżywsze, ludzkie



mięso! Odpadły mi – sromotnie wszystkie odpadły, gdym spał tak bardzo niespokojnie. Dopiero teraz poczułem okropny ból, jaki przeszywał moje zmarnowane ciało, które od pasa w dół w ogóle nie przypominało człowieczego. Bardzo ciężko było mi też cokolwiek dostyszeć, ale i d o j r z e ć – wszystko było jakieś szare, zdeformowane i niewyraźne. Lustro! To była kolejna myśl, jaka wpadła mi do głowy. Muszę przejrzeć się w lustrze! Jak bardzo jeszcze się zmieniłem? Cóż najgorszego się ze mną stało tej przeraźliwej nocy?!

Och, jak wiele łez uroniłem wtedy przed tym ogromnym, okurzonym zwierciadłem! Jakie szaleństwo dopadło moją głowę, moje zepsute psychicznie wnętrze, rozbujane, rozbite i spalone – wypalone z człowieczeństwa! Patrzyłem na swoje lico i wprost nie mogłem uwierzyć! A zaraz przypominałem sobie wszystko – każde jaskrawe wspomnienie runęło na mnie, jak ogromne drzewo: scena z ojcem – moje biodro tamtej nocy – dziennik pradziadka – przeistoczenie jego nawiedzanej kobiety – zmiany wzrostu, wzroku... I wreszcie... Wreszcie! Przypominałem sobie... Przypominałem sobie te b u l w y !

Z możliwie najbardziej intensywnym impetem walnąłem głową i rękoma prosto w to przeklęte lustro – rozbiłem je, a niektóre szklane kawałki utknęły w moim czole. Lecz musiałem to zrobić! Nie miałem siły, by na siebie patrzeć – lecz czy to w ogóle byłem ja?!

W odbiciu ujrzałem bowiem postać najeżoną bulwami, sinymi guzami, wyrostkami i poczwarnymi grzybami. Moje lico zmieniło się diametralnie – usta, nozdrza i oczy przeistoczyły się w straszliwe fałdy skórne – białawe i chorobliwie brzydkie! Zwisły z mojej zdeformowanej twarzy, cuchnąc tajemnie, upiornie i bagniście. Straciłem swoją twarz – nie było już na niej żadnego ludzkiego elementu! Widziałem także dobrze okropne bulwy na swych biodrach, ale i nie tylko tam! Przerośnięte grzyby, cuchnące równie mocno, jak przeklęte bagnisko.

I znów postyszałem straszliwe, niesłychanie głośne i kakofoniczne zaśpiewy dobiegające znad bagna. Niemożliwe zawodzenia dolatywały do zamczyska prosto z gęstych lasów, z opustoszałych, cuchnących martwotą, smętnych łąk i głębokich pieczar, parowów i jarów – ale przede wszystkim z b a g n i s k a ...

Poczołgałem się do wyjścia – spojrzałem raz jeszcze, ostatni już raz, na przeciwległy brzeg smrodliwego, gęstego zbiornika. Na ten przeklęty, konkretny brzeg, przy którym rosły opisywane przeze mnie tak często straszne bulwy... I teraz to pojąłem! Teraz naprawdę wszystko pojąłem!

Szybko je policzyłem (dlaczego nigdy nie zwróciłem uwagi na ich liczbę?! ) i zawylem dziwacznie, straszliwie cicho, oślepiałem i żałowałem.

Pradziadek... Jego kochanka... Ojciec, mój dziad, ich kobiety... M ó j B o ż e !

Wszyscy – każdy z nich... Z ledwością mogłem na to patrzeć!

Od tylu lat, dotykając tych liszajowatych grzybów i przysłuchując się ich dziwacznym zaśpiewom, dotykałem i słuchałem moich własnych przodków! Zawodzili straszliwie, cierpiąc jakieś niepojęte męki – przeżywając w tej infernalnie brzydkiej formie największe katusze! Zrozumiałem, że wciąż posiadali świadomość!

Bulwy drżały teraz potężnie i intensywnie... Ryczały – raz ociężale, mrukliwie i basowo, po chwili zaś uderzały w nazbyt wysokie tony. I motały się konwulsyjnie... Jakaś wszechpotężna siła – siła od nich niezależna, a może i właśnie przeciwnie – pchała te bulwiaste i zgrzybiałe wytwory we wszystkie możliwe kierunki. Wydawało się, że zaraz nieomal wydostaną się z głębi tej skażonej ziemi, nieprzerwanie rycząc i wyjąc, zawodząc i rozwierając swoje bulwiaste fałdy, które rysowały się na nich coraz to wyraźniej i dokładniej. I krystalizowały się przede mną konkretne elementy... Ujrzałem... Ujrzałem ich twarze! Oni wszyscy... Wołali mnie i na mnie, na mnie właśnie spoglądali, przemawiając w tragicznym języku niemej, dzikiej i wybujałej roślinności! Roślinności przerośniętej, niebezpiecznej, morowej, smrodliwej i skażonej plugastwem pradziada! Przez chwilę zastanawiałem się, jak odczuwają rzeczywistość, jak bardzo muszą cierpieć w tej formie; jakież to okropny ból – egzystencjalny i fizyczny – trapi ich niemalże nieśmiertelne dusze! Wydawało się, że już na zawsze mają trwać w takiej formie – mają wyć przy tym bagnisku po wieczność – a mnie czekał los identyczny!

Nie, nie, nie! Ja tak nie mogę! Nie chcę!

Sztylet, ten zbawienny sztylet!!!



# CZERWONY BALON

Ludwik Cyfer

Na wstępie chciałbym powiedzieć wszystkim, którzy czytają tę historię, iż nie mam zamiaru się przedstawiać. Nie wynika to z braku dobrego wychowania lub też nieufności do Was. Kieruję się raczej chęcią zachowania resztek prywatności, z której i tak niewiele mi pozostało w ostatnim czasie. Jednocześnie wyrażam nadzieję, że moja anonimowość, a także jej przyczyna, zostaną dobrze zrozumiane i nikt nie będzie miał mi tego za złe. Jeśli jednak mimo wszystko ktoś poczuje się dotknięty, obiecuję wynagrodzić mu to szczerym wyznaniem historii, będącej moim udziałem, ze wszelkimi szczegółami, bez niedomówień, w całej swej okazałości.

Tyle tytułem wstępu. Teraz mogę już z czystym sumieniem oddać się pełnej relacji zdarzeń, którymi żyłem intensywnie w ostatnim czasie i które wlały w moje serce kroplę nadziei, będącej jak się później okazało... złudną.

Od kilku lat miejscem mojego zamieszkania jest Zakład Psychiatryczny położony w centralnej części kraju. Już widzę oczami wyobraźni Wasze zdumienie, może nawet podszyte lekko drwiącym uśmiechem. Nie mam Wam tego za złe, gdyż zapewne sam bym tak zareagował we wcześniejszym życiu. Użyłem określenia „wcześniejszym”, gdyż dzielę swoją dotychczasową egzystencję na dwa etapy. Jak łatwo się domyśleć, pierwszy z nich dotyczy wszystkiego, począwszy od moich narodzin, aż po wyrok sądowy, który sprawił, iż jestem teraz tu, gdzie jestem. Drugi etap to wszystko, co działo się później i dzieć się będzie prawdopodobnie do mojej śmierci. Jest to wciąż otwarta księga, do której codziennie dopisuję kilka stron. W ostatnim czasie znalazło się w niej kilka naprawdę interesujących rozdziałów, które pokrótce zamierzam Wam przedstawić. Zanim jednak to zrobię, cofnę się kilka linijek do góry, aby kontynuować rozpoczęty przeze mnie wyżej wątek wyroku sądowego, gdyż nie mogę go tak zostawić bez jakichkolwiek wyjaśnień. Mogłoby to wywołać niepotrzebne, często chybione domysły na temat mojej osoby, a także mych czynów, co zapewne w wielu przypadkach zakończyłoby się przerwaniem lektury tego opowiadania w momencie, w którym ono tak naprawdę jeszcze się nie zaczęło.

Otóż kilka lat temu dopuściłem się straszliwej zbrodni. Takie przynajmniej było zdanie sądu i prokuratora. Oczywiście mam zupełnie inny pogląd na tę sprawę, jednak mój głos nie został przez nikogo uwzględniony. W bezdusznej maszynie wymiaru sprawiedliwości liczy się tylko dowód, a ten źle zinterpretowany, bez umiejscowienia go w odpowiednim kontekście, może zakończyć się (tak jak w moim przypadku) niesprawiedliwym wyrokiem, łamiącym człowiekowi życie.

Padłem ofiarą ludzi, którzy mienili się być moimi przyjaciółmi. Skrzętnie wykorzystali moją wrodzoną ufność wobec innych i wplątali w sytuację bez wyjścia, która zakończyła się na sali sądowej. Zostałem oskarżony o zabójstwo, po tym jak patrol policyjny znalazł w bagażniku rozkładające się zwłoki trzech osób. Zapewne chcielibyście wiedzieć, co robiłem w tym samochodzie. Zgodziłem się pomóc moim nowym znajomym w przewiezieniu pewnej ważnej rzeczy, o której nie chcieli mi powiedzieć. Miałem nie otwierać bagażnika i dojechać tylko do wcześniej wskazanego miejsca. Jakże byłem głupi, wyrażając zgodę i ślepo ufając im. To właśnie za głupotę powinienem zostać skazany, nie zaś za czyn, którego tak naprawdę nie popełniłem. Jak to się stało, że moje odciski palców znalazły się na broni, z której została zastrzelona owa trójka? Do dzisiaj tego nie wiem. Myślałem, że w całym tym nieszczęściu los raz uśmiechnął się do mnie na sali sądowej, gdy wyrok z dożywotniego pozbawienia wolności zamienił się w pobyt w Zakładzie Psychiatrycznym do czasu całkowitego wyleczenia. Jak się później okazało, nie była to dla mnie aż tak szczęśliwa



decyzja. Wcale nie czułem i nie czuje się chory, tak więc patrzę na przyszłość bardzo pesymistycznie, gdyż nie mam bladego pojęcia, jak mam się zachowywać, żeby lekarze orzekli o pozytywnym przebiegu mojego leczenia i podjęli decyzję o jego zakończeniu. Po ostatnim moim „wybryku”, który stanowi główny powód, dla którego siedzę teraz i piszę te słowa, boje się, że wyjdę stąd dopiero wtedy, gdy moje serce przestanie już bić.

Choć jestem tu już kilka lat, wydaje mi się, iż spędziłem tu co najmniej kilka wieków. Dni dłużą się niemiłosiernie, a kiedy patrzę na zegar zawieszony na ścianie tuż nad małym oknem, będącym jedynym otworem na świat zewnętrzny, wskazówki wydają się pracować na zwolnionych obrotach, jakby specjalnie rozkoszowały się tymi torturami.

Najgorsze jest to, że od początku mojego pobytu, z przyczyn mi nieznanych, nie mogłem kontaktować się z innymi pacjentami, a także uczestniczyć w żadnych grupowych zajęciach. Nawet na spacer wychodziłem po zmierzchu, kiedy na dworze nie było już nikogo. Pielęgniarki, a od wielkiego święta lekarz prowadzący, to były jedyne osoby, z którymi mogłem porozmawiać. Zadawałem pytania, chciałem się dowiedzieć, dlaczego jestem tu przetrzymywany, lecz zbywali mnie jakimiś głupimi tekstami w stylu „Na początku terapii bla bla bla”. Ale ten początek trwał już kilka lat!

Podczas pierwszych tygodni w Zakładzie wydawało mi się, że jak na ironię losu to właśnie tutaj zwariuję, a biały strój bez rękawów stanie się moim jedynym ubraniem. Którejś nocy śnił mi się nawet mój pogrzeb. Nad trumną zdołałem ujrzeć tylko księdza, dwóch pomocników sypiących ziemię, moją nieżyjącą już matkę oraz dyrektora Zakładu. Wszyscy patrzyli w dół z wyraźnym obrzydzeniem, które wykrzywiało ich twarze w nienaturalny wręcz sposób. Ja zaś leżałem w trumnie, z zamkniętymi powiekami, lecz zamiast mieć na sobie garnitur, zegnałem się ze światem w kaftanie bezpieczeństwa, tak jakby matce było jeszcze mało wstydu za mnie, gdy jeszcze żyłem.

Potem przestałem już nawet śnić, pozbawiony ostatniej, a zarazem jedynej rozrywki w Zakładzie. Zamknięty w małym pomieszczeniu przypominającym pokój dziecięcy, czułem przygniatający, klaustrofobiczny lęk, dodatkowo podsycany przez umieszczoną w rogu kamerę, przez którą zapewne mnie monitorowano. Wydawało mi się to nieludzkie, naruszające podstawowe prawa człowieka. Czułem wzburzenie i demonstrowałem je, używając w tym celu zarówno krzyku, jak i uderzeń w ściany. Były to ataki silne, jednak trwające krótko, gdyż spotykały się szybko z reakcją pracującego tutaj personelu. Jeden zastrzyk w rękę, kilka siniaków od mocnego uścisku pielęgniarki i już mijała mi ochota na domaganie się czegokolwiek, zadowolając się patrzeniem w sufit i podziwianiem jego śnieżnobiałego koloru.

Przez kilka tygodni oczywiście odżywały we mnie jeszcze dawne instynkty, później zaś wszystko mi zobojętniało. W momencie, kiedy się uspokoilem, dyrekcja widocznie uznała, że w zamian powinienem dostać nagrodę w postaci książki dostarczanej raz w tygodniu. Nie były to pasjonujące lektury, ale czas płynął przy nich znacznie przyjemniej, a przede wszystkim szybciej. Wcześniej, to znaczy przed umieszczeniem w Zakładzie, nie należałem do wielkich entuzjastów literatury, ograniczając się do kilku książek w ciągu roku, czym i tak zapewne podwyższałem średnią krajową. Siedząc zamknięty w czterech szpitalnych ścianach, zacząłem też dużo rozmyślać. Nie osiągałem może wyzyna intelektualnych ani też nie dochodziłem do przełomowych dla świata wniosków, jednak odkryłem w sobie coś, czego wcześniej nie zauważałem bądź też nie byłem w stanie. Od tego czasu męczyła mnie potworna pustka, która nie pozwalała mi zasnąć. Im bardziej zagłębiałem się w jej przyczynę, tym mocniej ją odczuwałem. Wreszcie stała się tak uciążliwa, iż skoncentrowałem się tylko na znalezieniu czegoś, co by ją wypełniło. Pewnego ranka, jeszcze przed posiłkiem, poprosiłem pielęgniarkę o długopis i kartkę papieru. Na początku kręcił głową, lecz po moich nieustających prośbach zdecydował się zapytać kierownika o zgodę. Minął cały tydzień zanim doczekałem się odpowiedzi, jednak było warto. Dostałem dwa długopisy z czarnym tuszem oraz plik kartek z zastrzeżeniem, iż wszystkie notatki będą kontrolowane. Niezbyt mi się to uśmiechało, jednak cóż miałem począć? Zawsze mogłem wrócić do patrzenia się na biały sufit.

Początkowo zapisywałem coś na kształt dziennika. W związku z tym, iż brakowało mi rozmów z drugim człowiekiem, dzieliłem się swoimi myślami i uczuciami z kartką papieru. Ku mojemu zdziwieniu działało to niezwykle skutecznie na dotychczas gnębiące mnie uczucie pustki. Przeżywałem coś w rodzaju wewnętrznego oczyszczenia. Dzięki temu nie miałem już problemów ze snem, a w nocy doświadczałem dziwnych, acz interesujących wizji. Wtedy postanowiłem opisać je w formie opowiadań, porzucając dotychczasowe pisanie dziennika. To była dobra zmiana. Pochłonięty tworzeniem, czułem coś na kształt spełnienia, a uśmiech zagościł znów na mojej twarzy.

Nie trwało to jednak zbyt długo, gdyż lekarz prowadzący podjął decyzję, aby natychmiast zabrać mi długopis, kartki, a dotychczasowe notatki zniszczyć. Znów poczułem pustkę, odechciało mi się żyć. Byłem nieszczęśliwy i wściekły, a swoją frustrację wylewałem w atakach szału, które kończyły się kolejnymi zastrzykami. Leżałem beczynnym i myślałem o odebraniu sobie życia, jednak nawet tego nie mogłem zrobić, bo jak? Udusić się, wstrzymując powietrze? Po dwóch minutach nie wytrzymałbym z bólu, poza tym, czy to jest

w ogóle możliwe? Powiesić się? Ale jak, na czym? Z rozpaczą stwierdziłem, że zamiast do czyśćca, trafiłem prosto do piekła.

Odmówiłem przyjmowania posiłków, coś na kształt strajku głodowego, z tym że celem był mój zgon. Po dwóch dniach, kiedy gotów byłem jeszcze walczyć z uczuciem głodu, weszło dwóch pielęgniarzy. Jeden z nich mocno umięśniony, z kolorowym tatuażem na bicepsie, przedstawiającym smoka, złapał mnie na wysokości klatki piersiowej i wyłamał rękę do tyłu. Drugi, szczupły i chyba „nowy”, na co wskazywał jego przestraszony wyraz twarzy, pchnął mnie na łóżko i oboje przywiązali mnie skórzanymi pasami. Wbrew swojej woli przyjmowałem pokarm dożylnie, a w głowie świdrowała mi rozpacзлиwa myśl, iż będę w takim stanie do końca swych dni. W nocy modliłem się, by jak najszybciej nadeszły z ręki niewidzialnego anioła śmierci. Za dnia podawano mi coraz silniejsze lekarstwa, których działanie opisałem wcześniej. W pewnym momencie moja wegetacja w oczach tych, którzy non stop mnie obserwowali, wydała się na tyle niegroźna, iż decyzją lekarza prowadzącego zaprzestano przywiązywać mnie do łóżka, lecz było mi już wszystko obojętne, dlatego też przyjąłem tę zmianę bez jakichkolwiek oznak radości. Nie myślałem o niczym, nie miałem żadnych pragnień, pokornie przyjmowałem posiłki, aby uniknąć kolejnej wizyty pielęgniarza z wytatuowanym smokiem.

Kilka dni później, gdy uczucie pustki znów zaczęło mnie nawiedzać, wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Siedziałem na łóżku, nucąc nieudolnie jakąś melodię z czasów mojej młodości, gdy usłyszałem dziwne dźwięki zza ściany. Przypominały skrobanie jakimś ostrym narzędziem. Przyłożyłem ucho i zacząłem w skupieniu przysłuchiwać się temu, co działo się po drugiej stronie. Ktoś ewidentnie próbował wykuć dziurę w ścianie, aby dostać się do mojej części. Wydawał przy tym odgłosy, które wskazywały na to, iż było to zajęcie ciężkie. Po cichu wspierałem go, ciesząc się na myśl o spotkaniu z nieznanym. Wtedy przypomniałem sobie o kamerze i szybko wróciłem do poprzedniej pozycji, udając, iż nic nadzwyczajnego się nie dzieje.

Zacząłem zastanawiać się i martwić, co zrobią obserwatorzy, gdy zobaczą dziurę w ścianie. Przed oczami pojawił mi się obraz wielkiej igły, z której czubka spływała na ziemię ogromna kropla płynu, który raz na zawsze miał uczynić ze mnie warzywo. Podobny los prawdopodobnie spotka nieznanego zza ściany, pomyślałem i postanowiłem go ostrzec.

– Co robisz? Przecież tutaj są kamery! – powiedziałem, nie otwierając prawie ust. Skrobanie ustało. Odetchnąłem z ulgą, jednak po chwili nieznanomy zaczął uderzać o ścianę jeszcze szybciej i mocniej, tak jakby moje słowa wywołały efekt zupełnie odwrotny do zamierzonego.

– Przestań! Chcesz, żeby nas zabili? – tym razem nie mogłem się powstrzymać, by nie podnieść nieco głosu. Uznałem, że sytuacja wymaga ryzyka. Na nic jednak zdały się moje prośby. Skupiłem wzrok na drzwiach, czekając tylko, aż się otworzą i ujrzę w nich pielęgniarzy z szerokim, fałszywym uśmiechem. Skrobanie przeszło w głośnie kucie ściany i było coraz bliżej mojego łóżka, tak że odniosłem wrażenie, jakby część uderzała w moje ciało. Farba zaczęła odchodzić ze ściany, na której zaczęły pojawiać się czarne kreski, jak na skorupce jajka.

Chwilę później ujrzałem mały otwór, który z każdą sekundą rozrastał się. Nieznajomy znów przerwał na chwilę pracę i przystawił oko do dziury. Spoglądał na mnie, aż przeszły mnie ciarki po plecach. Znowu nastąpiło kucie. Jeszcze kilka uderzeń, jeszcze dwa, jedno... Wreszcie wyrwał znaczną część ściany, która leżała teraz na moim łóżku, brudząc pościel. Nie żebym był przesadnie wrażliwy na punkcie czystości, co innego pielęgniarze i dyrektor. Nieznajomy wychylił głowę. Wyglądał na jakieś trzydzieści parę lat, choć równie dobrze mógł być młodo wyglądającym mężczyzną pod pięćdziesiątkę. Patrzył na mnie wygłodniałym wzrokiem, tak jakby nigdy nie widział na oczy innego człowieka. Uśmiechnąłem się delikatnie, gdyż nie wiedziałem, z kim mam do czynienia, choć patrząc na miejsce, w którym obydwoj się znajdowaliśmy, mogłem domyślać się, że był czubkiem.

– Nie działają – powiedział, przeciskając się do środka przez dziurę.

– Co nie działa? – zapytałem odruchowo, nieco zaskoczony tym świeżo rozpoczętym dialogiem.

– Jak to co? Kamery – stwierdził, jakby było to znaną wszystkim oczywistością.

Przez chwilę nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Czy ktoś tutaj robi ze mnie wariata?

– W takim razie po co są tutaj założone?

Mężczyzna otrzepał się z tynku, który pokrywał jeszcze jego twarz, przez co wyglądał jakby pomalował się na Halloween.

– Po to, żebyś myślał, że cię obserwują. Wtedy kontrolujesz się, nie robisz głupstw takich jak na przykład składanie wizyt sąsiadowi – zaśmiał się. Sprawiał wrażenie człowieka, który spotkał na plaży znajomego i wdał się z nim w towarzyską pogawędkę. Nie do końca wierzyłem mu w historię z niedziałającymi kamerami, jednak gdyby faktycznie działały, któryś z pielęgniarzy na pewno by się pojawił.

Rozważałem również opcję, iż mężczyzna jest jednym z nich i jestem poddawany jakiemuś dziwnemu testowi. Tylko jakiemu i po co? Czy zrobiłem coś złego w ostatnim czasie? Prawdę mówiąc nie miało to żadnego znaczenia.



Postanowiłem być cały czas czujny wobec nowopoznanego. Brakowało mi towarzystwa, dlatego też nie chciałem się do niego całkowicie uprzedzać, jednak gdzieś w głowie paliło mi się czerwone światło, które ostrzegało przed zbytnim gadulstwem i zacieśnianiem z nim więzi.

– Długo tutaj jesteś? – zapytał nagle.

Zacząłem się zastanawiać nad odpowiedzią. Jego pytanie sprawiło, że zdałem sobie sprawę, iż tak naprawdę straciłem całkowicie poczucie czasu. Na początku mojego pobytu liczyłem dni, które powoli upływały, kreśląc na ścianie małe pionowe linie. Potem zapał mi minął i było mi całkowicie obojętne, czy siedzę tutaj rok, dwa lata czy dziesięć.

– Nie wiem – odpowiedziałem z rozbrajającą szczerością. Myślałem, że nieznajomy roześmieje mi się prosto w twarz, ten jednak tylko nieco posmutniał i zamyślił się przez chwilę.

– Ja też. Miałem nadzieję, że może chociaż ty liczyłeś dni. Ja poddałem się po pierwszych trzech miesiącach.

Zrobiło mi się go żal i jednocześnie poczułem z nim pewnego rodzaju więź. Coś nas łączyło.

– Za co tu trafiłeś? – teraz ja zadałem pytanie.

– Niestety tego też nie wiem. Jeszcze kilka tygodni temu pamiętałem, jednak od tamtego czasu podawali mi coraz mocniejsze środki, przez które moja pamięć wygląda jak ser szwajcarski, jeśli wiesz, co mam na myśli.

A co mam nie wiedzieć, czy wyglądam na jakiegoś przygłupa, pomyślałem sobie.

– Dobrze. Trochę sobie porozmawialiśmy, ale zaraz przynoszą obiad, więc lepiej będzie, jak już sobie pójdę. Wpadnę do ciebie wieczorem. Powiem ci coś, co może cię zainteresuje.

Mężczyzna znów przechodził przez dziurę w ścianie. Droga powrotna szła mu znacznie łatwiej. Na końcu odezwał się jeszcze.

– Ustaw tak łóżko, żeby zasłaniało tę dziurę. Lepiej, żeby o niej nie wiedzieli. Kiedy będę chciał cię znów odwiedzić, zapukam wcześniej, wtedy znowu je przestawisz.

Mężczyzna zniknął, wstawiając z powrotem część ściany, co przypominało trochę układanie puzzli. Widać było delikatne rysy tworzące kwadratowy szkic. Na upartego można było to nazwać nawet dziełem z nurtu ekspresjonizmu, w myśl zasady „zrób kupę i przekonaj innych, że to artystyczna wizja”. Przetawiałem łóżko tak, że idealnie zakrywało nierówności w ścianie. Kosztowało mnie to trochę wysiłku, jednak byłem bardzo zadowolony z końcowego efektu. Położyłem się na chwilę, choć nie czułem zmęczenia. W oczekiwaniu na

obiad, a przynajmniej na to coś, co nazywane było tutaj obiadem, rozmyślałem o mężczyźnie, który pojawił się w moim pokoju. Głównym przedmiotem mojego żywego zainteresowania były jego słowa o tym, iż ma dla mnie ciekawą informację. Już nie mogłem się doczekać wieczoru, kiedy to miałem się z nim spotkać. Całkowicie zapomniałem o podejrzeniach w stosunku do jego osoby.

Tuż po posiłku zmógł mnie sen. Wynikał raczej z nudy, która nastąpiła, kiedy opadła ze mnie pierwsza fala podekscytowania. Obudziłem się, usłyszawszy pukanie w ścianie. Początkowo wydawało mi się, iż jest to element snu, jednak po chwili, gdy wróciłem do realnego świata, zerwałem się na nogi. Krew uderzyła mi do głowy i przez chwilę straciłem równowagę, widząc przed oczami tylko ciemny obraz. Uderzenia w ścianę były coraz mocniejsze. Zachowałem równowagę i po chwili znów widziałem świat normalnie.

Odsunąłem prędko łóżko, starając się robić przy tym jak najmniej hałasu. W podnieceniu prawie przewróciłem się o nóżkę. Pukanie ustało. Chwilę ciszy przerwał dźwięk wyjmowanego kawałka ściany. Wydawał mi się teraz mniejszy, chociaż odrywał się na tych samych rysach. Znów ujrzałem twarz nieznanego mężczyzny, który wyglądał jeszcze weselej, niż poprzednio. Pomyślałem sobie, iż albo mam do czynienia z wariatem, albo z najbardziej pozytywną osobą na świecie. Na marginesie – jedno nie przeczyło drugiemu.

– Już myślałem, że cię zabrali – powiedział na powitanie.

– A niby gdzie mnie mieli zabrać? – zapytałem, zaciekawiony, iż może dowiem się znowu czegoś nowego.

– Nie wiesz, że od czasu do czasu zabierają niektórych pacjentów na badania, z których ci już nigdy nie wracają?

– Nie wiedziałem. Od kogo miałbym to usłyszeć? Przecież siedzę tu sam... do dzisiaj.

– Spokojnie, nie denerwuj się tak. Ja też siedzę sam, ale mam oczy i uszy otwarte. Czasem czegoś tam się dowiem.

Po tych słowach staliśmy chwilę w milczeniu. Mężczyzna rozglądał się po moim pokoju tak, jakby planował zrobić tu przemeblowanie. W międzyczasie zerknął na mnie.

– A wiesz, co jest najgorsze? – Nie próbowałem bawić się w zgadywanke. Spojrzałem na niego wzrokiem mówiącym „no, oświeć mnie”. – To, że obawiam się, że niedługo przyjdą po mnie.

– Skąd te podejrzenia? – zapytałem, coraz bardziej zainteresowany.

– Zawsze przed tym, jak zabierają klienta na badania, przez dwa tygodnie nikt go nie odwiedza. Ani pielęgniarze, ani kierownik. Tylko podają ci miskę z żarciem, żebyś przedwcześnie nie zdechł.

Chciałem zapytać się go o to, skąd wie to wszystko, jednak zapomniałem o tym zupełnie, zastanawiając się nad tym, od ilu dni w moim pokoju nie było żadnego pracownika Zakładu. Mężczyzna przyglądał mi się i chyba zaczął się czegoś domyślać.

– A ciebie kiedy ostatni raz odwiedzali? – zapytał tak, jakby znał już odpowiedź.

Spojrzałem na niego wymownie. Nie poruszyłem nawet ustami. Nie było to potrzebne.

– No to wygląda na to, że mają chrapkę na naszą parę – powiedział z uśmiechem na twarzy, który miał jednak raczej nerwowe podłoże.

– I co, będziemy tak spokojnie czekać, aż nas zabiorą i zrobią z nami Bóg wie co? – zapytałem odruchowo, pchnięty instynktem podsycanym chęcią przetrwania.

– No nie, na pewno nie. Pamiętasz, jak mówiłem ci dzisiaj, że wieczorem powiem o czymś ciekawym?

Skinąłem głową.

– Więc trzeba to będzie wprowadzić w życie szybciej niż myślałem.

– To znaczy co?

– A jak myślisz? Mam plan ucieczki z tego Zakładu.

– Żartujesz? – zapytałem, nieco z niego drwiąc.

– A niby czemu? – odparł, lekko obruszony. – Jeszcze przed sekundą pytałeś się mnie, czy będziemy beczynnie czekać, aż nas zaprowadzą na rzeź, a teraz kpisz sobie ze mnie? Nie chcesz stąd wiać, to nie. Owszem, samemu będzie trudniej, ale dam radę. – Powiedziawszy to, skierował się w stronę otworu w ścianie. Oczywiście był to teatralny gest, gdyż zaraz po usłyszeniu mojego głosu zawrócił z błyskiem w oczach mówiącym „wiedziałem, że nie odmówisz”.

– Spokojnie, po prostu wydaje mi się to mało realne – próbowałem go uspokoić. – Powiesz mi coś więcej na temat tego planu?

Mężczyzna usiadł na łóżku, wziął głęboki oddech, dodając swojej opowieści szczyptę dramaturgii, po czym zaczął objaśniać mi szczegóły tego genialnego (w jego mniemaniu) planu.

– Mam na zewnątrz bardzo dobrego znajomego. Zajmuje się różnymi konstrukcjami. A to zbuduje samodzielnie łódkę, a to pojazd napędzany energią słoneczną. Naprawdę zdolny chłopak.

– A co on ma wspólnego z twoim planem?

Mężczyzna spojrzał na mnie zły, że mu przerwałem. Postanowiłem więcej mu nie przeszkadzać.

– Teraz pracuje nad swoim pierwszym latającym pojazdem. Pracuje to za mało powiedziane, prace nad nim są już na ukończeniu. Zdołałem się z nim skontaktować i byłby bardzo zainteresowany wypróbowaniem swojego nowego dzieła, przy okazji pomagając przyjacielowi w ucieczce.

Kiedy skończył, spojrzał na mnie pełen entuzjazmu, czekając, aż udzieli się on również i mnie. Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć, tak by wyrazić to, co tak naprawdę sądziłem o tym pomysśle, a jednocześnie nie urazić go i nie tracić towarzysza do rozmów.

– A co to za pojazd? – zapytałem, gdyż żadna rozsądna odpowiedź nie przychodziła mi do głowy.

– To najzwyczajniejszy w świecie balon. Nawet wiem jaki ma kolor. Czerwony – Usłyszawszy to, ledwo powstrzymałem się od śmiechu. Zachowanie powagi wymagało ode mnie wiele wysiłku. Facet naprawdę miał nie po kolei w głowie i bardzo dobrze, że go tutaj zamknięto. Na moje nieszczęście umieścili go w pomieszczeniu obok mnie. Zastanawiała mnie jeszcze kwestia tego, jak porozumiewa się ze swoim niby przyjacielem-konstrukтором z zewnątrz. Zdałem sobie jednak sprawę z tego, że taki wariat może sprzedać mi każdą historię i nie zdziwiłbym się, gdyby odpowiedział mi, że kontaktuje się z nim za pomocą zdolności paranormalnych. – Musimy uciekać w tym tygodniu – powiedział na koniec, a w jego oczach widziałem coraz większy obłęd.

– No dobrze. Mamy balon, ale jak stąd uciekniemy? – zapytałem, chcąc się przekonać, jak chorą wyobraźnię miał mój rozmówca.

– Mój przyjaciel przyleci na główny plac, który znajduje się za naszymi oknami.

– Oknami? – zdziwiłem się mocno.

– Przepraszam, zapomniałem, że u ciebie nie ma okna. Ale u mnie jest.

– A ja tyle czasu zastanawiałem się, co się znajduje za tą ścianą. Czym sobie zasłużyłeś na taki luksus jak okno?

– Nie wiem. Ale może zrobili to dla zmyłki, by uspić moją czujność, a potem dobrać się do mojego mózgu na tych sławnych badaniach.

Może nie byłoby to dla ciebie takie złe, pomyślałem w duchu. Spojrzał na mnie przez chwilę tak, jakby czytał w moich myślach, zaraz jednak jego twarz znowu przybrała wyraz szaleńca zafascynowanego ideą zrodzoną w jego chorym umyśle.

– Uciekamy jutro – wypalił zniechęcony. Zaskoczyła mnie ta deklaracja i gdybym w tym samym momencie delektował się smakiem kawy, na pewno zakrztusiłbym się (może nawet i śmiertelnie).

– Jak to jutro? – zapytałem całkiem naturalnie, nie wiedząc, o co innego mógłbym zapytać.

– A co, jutro masz jakieś ważne spotkanie albo inne pilne zajęcie? – odpowiedział wyraźnie podirytowany moimi pytaniami. – Jutro mijają dwa tygodnie od kiedy ostatni raz odwiedzali mnie pielęgniarze, więc to moja ostatnia szansa. Zresztą twoja też, bo za kilka dni przyjdą również po ciebie.

Zaskoczyła mnie siła tych słów, które mocno podziały na moją wyobraźnię. W jednej chwili opuścił mnie nastrój do drwienia sobie z pomysłu mojego rozmówcy i jego planu. Co więcej, gdy widmo śmierci zjrzało mi w oczy, zacząłem realnie rozważać swój udział w ucieczce. Może nie stałem się w przeciągu kilkunastu sekund gorącym entuzjastą ewakuacji ze Szpitala za pomocą czerwonego balonu, chciałem jednak ratować swoje życie.

– Wykułem otwór prowadzący z mojej celi na podwórko, więc wszystko jest przygotowane. Uciekamy zaraz po tym, jak podadzą nam śniadanie. Zapukam trzy razy i wtedy przejdiesz do mnie, zakrywając z powrotem dziurę w ścianie. Potem biegniemy ile sił w nogach do mojego przyjaciela, który będzie na nas czekał. A potem czeka nas wolność.

– A jeśli ktoś zauważy wcześniej twojego przyjaciela i nie uda nam się do niego dobiec?

– Dlatego musimy działać szybko. Wyląduje zaraz po śniadaniu, więc jest duża szansa na to, że jednak zdążymy. Owszem, zawsze jest ryzyko, ale czy masz lepszy pomysł?

– Nie – odparłem i uderzyła mnie moja niemoc.

– W takim razie do jutra, przyjacielu. Jutro będziemy cieszyć się wolnością.

– Oby... – powiedziałem niewyraźnie, tak że tylko ja wiedziałem, co mówię.

Całą noc nie mogłem zasnąć, próbując odpowiedzieć sobie na kilka pytań, których liczba rosła z każdą kolejną minutą. Nie wiedziałem, czy opowieść o balonie jest prawdziwa, czy też nie, lecz nie miałem innego wyjścia, jak tylko w nią uwierzyć.

Nazajutrz obudził mnie dźwięk wsuwanej tacy ze śniadaniem. Zerwałem się na nogi. Chciało mi się wymiotować, jednak na szczęście zdołałem powstrzymać ten odruch. Czekałem zniecierpliwiony na sygnał zza ściany. Do głowy przychodziły mi różne myśli, lecz starałem się je odpędzać. Każda sekunda dłużyła mi się niemiłosiernie, jednak po jakimś czasie stwierdziłem, że coś jest nie tak. Zacząłem chodzić po celi w jedną i drugą stronę. W pewnym momencie spojrzałem na ścianę, przy której stało moje łóżko. Podszedłem bliżej,



odsunąłem je i zamarłem. Nie było widać żadnych śladów kucia, które wcześniej tak wyraźne musiałem zakrywać, by nie budzić podejrzeń pielęgniarzy. Usiadłem kolanami na podłodze i zacząłem gładzić ścianę rękami, tak jakbym oczekiwał na jakiś cud. Kiedy ten nie nadszedł, zacząłem pukać, a następnie walić pięściami w ścianę. Krzychałem, próbując nawiązać kontakt z moim sąsiadem, daremnie.

Nagle usłyszałem dźwięk zasuwki otwierającej drzwi do mojej celi. Chwilę później ujrzałem dwóch pielęgniarzy, w tym jednego z tatuażem, który odezwał się jako pierwszy.

– Stęskniłeś się za nami? Nie widzieliśmy się dwa tygodnie.

Kiedy usłyszałem ostatnie zdanie, wiedziałem już, po co przyszli. W akcie desperacji spróbowałem kopnąć w miejsce, w którym jeszcze wczoraj był otwór, przez który dostał się do mojej celi sąsiad. Jedyne, co uzyskałem, to ból w stopie, a następnie w wygiętych przez pielęgniarzy ramionach.

Ciągnęli mnie przez korytarz niczym zwierzę prowadzone na rzeź. Krzychałem, ile sił w płucach, odniosłem jednak wrażenie, że nikt mnie nie słyszy. Na siłę wepchnęli mnie do jakiegoś pomieszczenia. Zobaczyłem jakiegoś człowieka w białym fartuchu, który stał do mnie tyłem. Szukał czegoś w torbie, po czym ujrzałem jego twarz. Była to twarz mojego sąsiada.

– Panie doktorze. Z tym chyba mieliśmy największe kłopoty. Rzuczał się jak dziki i bredził coś o czerwonym balonie.

– Dobrze, zostawcie nas samych.

Po tych słowach pielęgniarze opuścili pokój i zamknęli drzwi. Patrzyłem na doktora w milczeniu, próbując uporządkować sobie wszystko w głowie. Gabinet, w którym się znajdowaliśmy, choć elegancki, miał w sobie coś upiornego.

– Proszę, usiądź – powiedział uprzejmie mężczyzna przypominający mojego niedawnego sąsiada, wskazując na krzesło stojące po drugiej stronie biurka. Niepewnym krokiem ruszyłem w jego kierunku. Usiadłem, cały czas patrząc mu prosto w oczy.

– Co się tutaj dzieje? – odezwałem się po chwili.

– Przez ostatnie miesiące byłeś poddawany leczeniu przy pomocy najnowszych metod farmakologicznych. To była ostatnia nadzieja na pełne wyleczenie cię z choroby. Efektem ubocznym przyjmowania leków są różnego rodzaju omamy słuchowe i wzrokowe. Stąd też wydawało ci się, że odwiedza cię sąsiad, który wykuł dziurę w ścianie i zaproponował udział w ucieczce. Ciekawe jest, że w twoich wizjach pojawiał się motyw czerwonego balonu.

Słuchałem wszystkiego z lekkim niedowierzaniem. Czułem się tak, jakby ktoś w środku nocy wyrwał mnie ze snu, w którym jeszcze jedną nogą pozostawałem. Podjąłem próbę wybudzenia się.

– Czemu to jest ciekawe?

– Żebyś to zrozumiał, najpierw muszę wyjawić ci prawdę o tym, dlaczego znalazłeś się w tym Szpitalu. Wielokrotnie ci już o tym mówiłem, jednak żyjąc w poczuciu winy, twój umysł zastosował metodę ochronną polegającą na okłamywaniu samego siebie poprzez wymyślenie alternatywnej, pozytywnej dla ciebie wersji wydarzeń, w którą z biegiem czasu zacząłeś sam wierzyć.

– Do czego pan zmierza? – zapytałem, choć podświadomie bałem się usłyszeć odpowiedź.

– Zabiłeś trzy młode osoby. Jechałeś swoim autem i trzykrotnie zatrzymałeś się po drodze, żeby zabrać autostopowiczów. Dwie dziewczyny i jednego chłopaka. Zabiłeś wszystkich w odstępie pięciu godzin. Ciała schowałeś do bagażnika i kontynuowałeś swoją podróż.

Ręka zaczęła mi drżeć, nie mogłem nad nią zapanować. Na twarzy pojawił mi się nerwowy uśmiech. Przełknąłem ślinę z ogromnym trudem, tak jakbym miał jakąś metalową kulę w przełyku.

– Nadal nie rozumiem, co w tym ciekawego, oprócz tego, że pomylił pan pacjentów.

– Policja znalazła cię w przydrożnym motelu, w którym zatrzymałeś się wieczorem, w dniu, kiedy zamordowałeś tamtą trójkę. Motel nazywał się CZERWONY BALON.

Po tych słowach do gabinetu weszli ponownie pielęgniarze. Przytrzymali mnie, a lekarz zaaplikował mi silną dawkę znanego lekarstwa. Poczułem się bardzo senny.

– Kontynuujemy leczenie, teraz tylko podawajcie mu podwójną dawkę.

– Ma się rozumieć, panie doktorze.

Obudziłem się na łóżku w swoim pokoju. Po kilku minutach wyszedłem z odrętwienia, odzyskałem czucie w kończynach, zacząłem poruszać ustami. Powoli usiadłem na łóżku i nabrałem powietrza, czując silny ból w klatce piersiowej.

Zastanawiałem się nad słowami, które usłyszałem od lekarza. Przez chwilę byłem skłonny uwierzyć w swoją winę, lecz zaraz zrzuciłem to na stan, w którym znajdowałem się po przyjęciu zastrzyku.

Podszedłem do drzwi, chcąc zawołać kogoś z personelu, gdyż uczułem straszliwy głód. Kiedy zbliżałem zaciśniętą pięść do drzwi, zamarłem i stanąłem w bezruchu jak jakaś

figura woskowa. Odwróciłem głowę, a na ścianie ujrzałem pojawiające się rysy. Sąsiad zza ściany znowu zaczął kuć.



# DIABEŁ ALBINOS I BRUDNY CZŁOWIEK

Krzysztof Matkowski

Wchodzą: jeden piękny jak noc, drugi szpetny jak dzień.

## 1. Pakt

Uśmiechy spelzły z twarzy, rozmowy umilkły. Klienci baru utkwili spojrzenia w czubkach zabłoconych butów i pogrążyli się w ponurych myślach. Nikt nie zwrócił uwagi na wysokiego bruneta, który szczyrzył nieskazitelne zęby i podśpiewywał. Nikt, z jednym wyjątkiem.

Cezary Zawada ostatnio patrzył na każdego mężczyznę, patrzył nie byle jak, lecz nienawistnie, jakby ta nienawiść miała mu pomóc w rozpoznaniu. Teraz jego oczy się zwężyły, wargi zacisnęły, a dłoń próbowała zmiażdżyć kufel.

Brunet wyczuł spojrzenie, pomachał Cezaremu, a następnie, jakby po namyśle, wziął piwo i podszedł.

– Co dobrego? – zagadnął, przysiadając się.

– Chyba mnie z kimś pomyliłeś, kolego.

– Może. – Brunet wyszczerzył się i łyknął trochę piwa. Pił jasne. – Ale mój siódmy zmysł podpowiada, że właśnie tobie trzynastego listopada około pierwszej w nocy pewien człowiek zgwałcił córkę.

– Skąd... – zaczął podniesionym głosem Zawada, ale szybko umilkł, zdając sobie sprawę z panującej w barze ciszy. Rozejrzał się. Spuszczone głowy, zasmucone twarze.

– Na pewno chcesz wszystko wiedzieć? – zapytał nieznajomy. – Nie daję informacji za darmo. Mogę się co najwyżej przedstawić, jeśli ci to do czegoś potrzebne. Żyję pod nazwiskiem Białołęcki. Białołęcki Albert. Ale wydaje mi się, że bardziej interesowałoby cię inne nazwisko. Może adres. Może coś więcej.

W błękitnych oczach Cezarego zapłonęły iskierki, by po sekundzie zniknąć, jakby coś je stamtąd wysssało. Od trzynastego listopada myślał tylko o jednym. Jaka cena mogłaby być niewarta spokoju duszy? Dotknął wiszącego na piersi medalika z Matką Boską. Lodowaty.

– Nie – powiedział.

– Napijmy się – odparł diabeł.

\*\*\*

Albert Białołęcki zmieniał mijanych ludzi, zabierając im uśmiechy z twarzy, słowa z ust i błyski z oczu; natomiast Żubrówka zmieniała Cezarego. Po drodze rozmawiali trochę o różnych sprawach: o świecie, gwałceniu i zemście. W miarę jak zbliżali się do celu, rosło podniecenie diabła.

– To moje osiedle – oznajmił w pewnym momencie, wskazując przed siebie. – Wolę je za dnia, kiedy jest kolorowe. Nocą bloki wyglądają jak nagrobki.

– Myślałem, że tacy jak wy lubią cmentarne klimaty – odparł Cezary.

– Takich jak my jest tylko jeden.

Zawada zaśmiał się, ale krótko, bo czarci głód natychmiast zareagował.



Weszli do jednego z bloków. Jadąc windą, Cezary przyglądał się w lustrze swoim pustym oczom, bladej twarzy, siwiejącym włosom. Ta powłoka, z każdym rokiem żałośniejsza, kryła coś, co interesowało diabła. Cezary zastanawiał się, czy to coś interesuje też jego samego, skoro od trzynastego listopada myśli zaprzętało tylko jedno.

Dotarli na czwarte piętro. Po lewej znajdowały się drzwi do mieszkania Alberta. Gospodarz otworzył je teatralnym pstryknięciem, wyszczerzył zęby, po czym powiedział:

– Gość w dom, Bóg w dom.

Weszli. Pierwszym, co zwracało uwagę, było mocne oświetlenie. W samym przedpokoju stało kilka lamp. Cezary nie zdążył się jednak nad tym zastanowić, ponieważ dostrzegł fotografie.

Setki starych zdjęć, głównie czarno-białych. Wszystkie podobne. Na każdym obecne dwie osoby. Albert i ktoś jeszcze, różni ludzie. Mężczyźni i kobiety, dzieci i starcy, brzydcy i piękni.

Wszyscy uśmiechnięci.

– Co to? – zapytał Zawada.

– Ci, którym pomogłem.

– Bez sensu. Każdy, kogo mijalesz, smutniał.

– Tylko na chwilę.

Albert zaprosił gestem do salonu. Tam na ścianach także wisiały wizerunki dwóch zadowolonych osób, z których jedną był wyglądający zawsze tak samo Białołęcki: wysoki, przystojny, ubrany na czarno. Oprócz fotografii w skład kolekcji wchodziły malunki i szkice. Cezary nie znał się na tym, ale niektóre wyglądały na bardzo stare.

Diabeł przyniósł nalewkę z bzu i dwa kieliszki. Dał znak, by zasiąść przy hebanowym stole; polał. Wypili.

– Nie rozumiem – powiedział Zawada.

– Więc wyjaśnię. – Albert nachylił się. – Pomogę ci go znaleźć i zabić, jeśli taka twoja wola.

– Zniszczyć – sprecyzował Cezary. – Chcę, by ten skurwysyn rozpadł się od środka.

– W takim razie zniszczyć. Jak już się tym zajmujemy, zapłacisz.

– Czym?

Gospodarz uśmiechnął się szeroko.

– Pomyśl, przyjacielu. Piłeś ze mną czystą, poznaliśmy się co nieco. Wiesz, czego potrzebuję.

Nie czekając na odpowiedź, polał. Wypili.

- I jak zapłacę, to zrobisz sobie ze mną takie zdjęcie? – zapytał Cezary.  
– Nie. – Diabeł błysnął zębami. – Z twoją córką. Ty się już nie będziesz uśmiechał.

## 2. Z.

To nie on się zgodził. O zgodzie zdecydowały noce, kiedy nienawistnie się modlił, zdecydowały dnie, kiedy nieustannie wypatrywał, zdecydowały oczy utkwione w stygnącym jedzeniu, usta wiecznie zamknięte, głowa spuszczone, plecy zgarbione, zdecydowała Pola.

Cena była nieistotna – biedak grający *va banque* nie ma nic do stracenia.

– Co dobrego? – przywitał się diabeł, przyszedłszy w końcu na stację benzynową.

– Nic. Przestań pytać.

– Mógłbyś chociaż spróbować się uśmiechnąć. No spróbuj.

Cezary nie spróbował. Albert mruknął coś w stylu „a szlag by cię...”, po czym oparł się o maskę samochodu Zawady, zamknął oczy i wystawił twarz do słońca, ale tak delikatnie, niezachłannie, bo gdyby wystawił mocniej – zrobiłoby się odrobinę ciemniej i chłodniej.

– I co? – zniecierpliwiał się Zawada. – Miałeś mi go pokazać.

– Zaraz zobaczysz. Ciesz się słońcem. – Diabeł na ułamek sekundy otworzył oczy, które wydały się ciemniejsze niż zwykle, a zarazem nieco czerwone, jakby rozgrzane. – Póki możesz się cieszyć.

Chwilę później na stację wjechał bordowy fiat. Wsiadł z niego młody, niewysoki mężczyzna o słomianych włosach i pospolitej twarzy. Cezary zmrużył oczy – po części z przyzwyczajenia, po części z powodu słońca – i obserwował, jak kierowca fiata tankuje, idzie zapłacić, a potem kieruje się do toalety na tyłach budynku.

– Niebywałe – powiedział Albert. – Na wszystkich patrzysz z taką nienawiścią, jakby twoją córkę zgwałcił każdy mężczyzna na świecie.

Cezary zacisnął pięści, jak zawsze na dźwięk bolesnego słowa. Nic więcej nie mógł zrobić. Szczególnie diabłu.

– Na wszystkich tak samo. – Białolecki zacmokał, kręcąc głową. – A wiesz, że to był tylko jeden, przypadkowy gość?

– Zamknij się.

– Wiesz. – Albert się zaśmiał. Przez chwilę milczał i cieszył się słońcem. – Ciekawe – podjął, nie otwierając oczu – jakie masz wobec niego oczekiwania? Jak wygląda twarz, którą

co noc masakrujesz w swoich pólśnach? Jak brzmi głos, który błaga o litość, choć nigdy jej nie zazna? Jak pachnie...

– Zamknij się, do kurwy nędzy.

– ...jego krew, która pryska na twoje ciało, a w końcu kał i mocz, które wyciekają, gdy ten wyimaginowany skurwysyn umiera? – Diabeł otworzył oczy. – Powiedz mi, proszę.

Cezary dyszał jak rozjuszony byk. Koszula przesiąkła potem, dłonie bolały od wpijających się w skórę paznokci. W końcu spojrzął na czarta i odpowiedział:

– Dobrze. Dobrze wygląda, dobrze brzmi, dobrze pachnie.

Albert parsknął śmiechem.

– Za to was kocham – oznajmił. – Dobra, mieliśmy umowę. – Wskazał na toaletę na tyłach stacji. – Tam jest ten skurwysyn.

Cezary otworzył usta, zamknął, i znów otworzył, i znów zamknął. W końcu do niego dotarło. Ruszył, czując ciężar w nogach i pustkę w brzuchu. Wiedział, co robić. Wyobrażał sobie tę sytuację setki razy. Nie on miał zakatować gwałciciela. W tej długo wyczekiwanej chwili to bezsenne wyczekiwanie świtu i bezsensowne wypatrywanie zmierzchu miały unieść pięść do ciosu, to niewypowiedziane słowa i niestłumione łkanie miały wybić zęby, to wreszcie wiara i nadzieja miały zacisnąć się na gardle – wiara i nadzieja, które nigdy nie będą już takie, jak dawniej.

Albert dogonił go tuż przed wejściem do toalety i potrząsnął.

– Widziałeś, prawda? – zapytał. – Widziałeś, że to śmieć, szcur, nikt. Gówna się nie da zniszczyć. Najpierw trzeba by coś z niego ulepić, coś stworzyć. Jak już będzie miał cokolwiek do stracenia, wtedy go...

Urwał, bo z łazienki właśnie wyszedł sprawca i winowajca, gwałciciel i skurwysyn – Dariusz Kozik. Rzucił pobieżne spojrzenie wysokiemu brunetowi – siwiejącego mężczyzny nie zaszczylił nawet tym – i wrócił do bordowego fiata.

– Daj mi czas – powiedział diabeł do Cezarego. – Daj mi czas, a zrobię tak, żebyś miał co zniszczyć.

\*\*\*

Każdego dnia mógł pójść na policję i podać nazwisko. Wymyśliłby historyjkę, w której nie byłoby diabła. Skurwysyn trafiłby na przesłuchanie. Wyglądał na takiego, który szybko wymięka. Śledztwo ruszyłoby do przodu, Pola musiałyby identyfikować sprawcę.

W końcu rozpoczęłyby się proces, a wraz z nim – z nową mocą – dziewczęce łkanie w poduszkę, milczenie całymi dniami, niepatrzenie w oczy.

Każdego dnia dziękował Bogu za diabła i uśmiechał się, póki jeszcze mógł.

Z Polą było trochę lepiej. Próbowwała odbudować życie jak dziecko odbudowuje zamek z piasku zniszczony przez morską falę. Jednak Cezary wiedział, że w końcu przyjdzie – jeśli nie przyływ, to ulewa. Dziewczyna też patrzyła na wszystkich mężczyzn, choć inaczej niż ojciec, bo nie z nienawiścią, lecz ze strachem, jakby ten strach miał ją wyleczyć. Rozumiała, że pewnego dnia może zobaczyć na ulicy niewysokiego mężczyznę o słomianych włosach i pospolitej twarzy. Rozumiała, że może go spotkać w sądzie. Nie wiedziała, co gorsze.

Ona także miała półsny: o wyglądzie twarzy, o brzmieniu głosu, o zapachu ciała. Jednak – w przeciwieństwie do tych ojcowych – były to wspomnienia. Dopisywała im własne zakończenie.

Diabeł zadzwonił trzynastego listopada.

– Gotowe – powiedział i podał adres.

Był wieczór, gdy spotkali się przed położoną na uboczu kawiarnią.

– Jest już lepiej – oznajmił Albert bez zbędnych wstępów. – Może nie idealnie, ale nie mam na tę sprawę wieczności. Przynajmniej ja.

Cezary jak zwykle nie zareagował na czarci dowcip.

– Co zrobiłeś?

– Wygrana na loterii nie dałaby mu poczucia, że sam to wszystko zdobył – powiedział Białołęcki. – Zatem wkręciłem skurwysyna w pewną firmę, w której szybko wspiął się na szczyt. Jednocześnie poznał nowych przyjaciół i oświadczył się pięknej kobiecie. Odkrył też w sobie pasję do pianina i szachów, choć z tym ostatnim może przesadziłem, bo to debil jest, muszę mu podstawiać głupich przeciwników. W każdym razie chłop jest nieźle ustawiony. A teraz mu to wszystko odbierzemy.

– Jak?

– Zaczniemy kiczowato... – zaczął diabeł.

– ...od pocałunku – dodała piękna kobieta, która dosłownie wynurzyła się z cienia. Miała na sobie czarno-białą obcisłą sukienkę. Mimo współczesnych makijażu i fryzury urodą przypominała aktorkę ze starych filmów.

– Kto to? – zapytał Cezary.

– To jest, mój drogi Czarku, jeden z filarów skromnego, prostego świata, który stworzyłem Dariuszowi Kozikowi.

– Jest prawdziwa?

– O tak, prawdziwa jak przeszłość. Utkąłem ją z dobrych wspomnień, które zabrałem jednemu z twoich poprzedników. Tak samo zresztą zrobiłem z pozostałymi elementami. Teraz cały ten świat powoli legnie w gruzach. Potrwa to około cztery tygodnie. Potem, jak to sobie wymarzyłeś, Dariusz Kozik rozpadnie się od środka.

Diabeł zerknął na zegarek.

– Za parę minut będzie tędy przebiegał. Zawsze zerka na klientów kawiarni, bo czasem siedzi tu jego przyjaciel.

– Przyjaciel z czyichś wspomnień, które odebrałeś.

– Tak. Tym razem go nie będzie. Będziecie za to ty i Sylwia. Ładne imię, nie? Je także pożyczyłem... Sylwia będzie wiedziała, kiedy cię pocałować. Tak to wszystko zorganizowałem, byś mógł w tym pięknym upadku uczestniczyć jak tylko się da. Resztę wytłumaczę ci na bieżąco.

Cezary spojrzął na kawiarnię, Sylwią, diabła. Wiedział, co robić. Kiedy ruszył do wejścia, czuł lekkość w nogach i ciepło w brzuchu.

### 3. Nagroda za grzechy

Potem diabeł zabrał Cezaremu Zawadzie całe dobro.

Tego dnia Cezary spał snem sprawiedliwego, pierwszy raz od ponad roku. Następnego ranka nie zauważył w córce żadnej zmiany. Musiało minąć trochę czasu, nim przypadkiem – czyli dzięki czarciemu działaniu – Pola odkryła zdjęcia człowieka, który popełnił wyjątkowo niefortunne samobójstwo. Prawie by go nie rozpoznała, bo miesiące półśnów zrobiły swoje. Twarz, która zbyt często pojawiała się przed oczami, twarz, którą masakrowała w najszybszych fantazjach, różniła się od tej, którą zobaczyła w Internecie.

Jedno je łączyło – obie były zakrwawione.

To, co wtedy poczuła, zachowała tylko dla siebie. Z każdym kolejnym porankiem chodziła coraz pewniej, prostowała plecy, unosiła głowę, na nowo uczyła się patrzeć w oczy. Zmiany drobne, lecz zauważalne. Cezarego żadna z tych rzeczy nie cieszyła, żaden krok naprzód nie przynosił satysfakcji. Nie czuł smaku zemsty, ani gorzkości, ani słodkości, niczego.

Był za to spokój.

Jednak spokój także zniknął, gdy wiele miesięcy później Pola wyjawiała, że poznała wspaniałego chłopaka, wysokiego, przystojnego bruneta. Cezarego to nie zdziwiło. Od początku wiedział, jaka będzie cena. Diabeł miał zabrać wszystko, co dobre. Na swoje nieszczęście zostawił to – co złe.

\*\*\*

Z chłodnego spokoju trudno się otrząsnąć, więc kolejne wydarzenia przeciękły Zawadzie między palcami.

Tak oto para młoda stała pod kościołem i szczyrzyła do fotografów zęby. On na czarno, ona w bieli, on brunet, ona blondynka, on czarci, ona ludzka. Dookoła wiwatowali krewni i bliscy, wszyscy głośni, śmiejący się, pełni życia – a Białółęcki z jakiegoś powodu im tego nie odbierał. Cezary wmieszał się w tłum i patrzył, szczególnie na gości od Alberta, na twarze sprzed lat, na postaci żyjące jedynie w tym dziwnym diable. I choć byli nierealni, potrafili się cieszyć – szczęście w ich oczach wyglądało na prawdziwe. Cezary tylko napinał odpowiednie mięśnie w długo trenowanej imitacji uśmiechu. W oczach nie kryła się żadna wesołość, ale bynajmniej nie były puste.

– Teść! – krzyknął nagle Albert. – Niech teść nam zrobi zdjęcie!

Wszyscy spojrzeli na ojca panny młodej.

– Nie, ja... ja nie... – zająknął się Cezary. – Ja nie umiem.

– Tato! – zawołała Pola.

Nie mógł jej nie posłuchać. Nie w tym dniu, kiedy była taka szczęśliwa.

Biorąc do rąk aparat, zastanawiał się, czy doszłoby do tego, gdyby nie on i diabeł? Czy córka stałaby tutaj z jakimś innym mężczyzną, z radością w całym swoim jestestwie, z zabliznionymi ranami na ciele i duszy, a także z drobną (nic nieznaczącą w obliczu tak doniosłej chwili) niepewnością, że gwałcieł może się jeszcze w jej życiu pojawić – czy to jako człowiek, czy to jako koszmar, czy to jako ożywiony po latach letargu strach?

Na pewno, uznał. Doszłoby do tego prędzej czy później.

Pod garniturem gotował się z wściekłości. Wiedział jednak, jak wykorzystać zło do osiągnięcia swoich celów. Uczył się od jednego z najlepszych. Prośba o zrobienie zdjęcia tylko mu o tym przypomniała.

– Uśmiech – powiedział.

#### 4. Kara za miłość

Ponoć nie był normalnym diabłem. Wyznał to Cezaremu podczas jednej z rozmów, zanim jeszcze zniszczyli skurwysyna, który zgwałcił Polę. Jego czarci bracia zła pragnęli i złem się sycili, on natomiast szukał w ludziach dobra. Śmiał się, że jest takim diabłem albinosem.

– Często nie wychodzi tak, jak powinno wyjść – pożałił się w chwili słabości. – Ja grzebię w człowieku, szukając czegoś miłego, ładnego, fajnego, a na powierzchnię wychodzą same brudy. I jest potem ten człowiek taki rozkopany: częściowo czysty, jakby świeżo z kąpieli wyszedł, a częściowo cały zakurzony, zablocony, zaświniony, jakby nie wiadomo co robił. Trochę mi go szkoda, ale każdy z nas jest, jaki jest, każdy bierze, co musi brać. Zostawiam go później takiego obrabowanego i próbuję uciec.

– Uciec?

– W normalność, w szarość. Między was. Wtulić się, ukryć się i żyć. Ci ludzie na zdjęciach... To moje ucieczki.

Potem umilkł, jakby zawstydzony. Wykonał też jakiś dziwny gest ręką, może nerwowy tik, a może czarcią sztuczkę, by Cezary nie drażył.

Zawada myślał teraz o tym wszystkim, myślał nienawistnie, bo ta nienawiść była wszystkim, co miał. Szczególnie myślał o tym wykonanym przez Alberta geście. Zastanawiał się, ile szczęścia Poli jest po prostu kwestią takich czarcich trików, sztuczek i uroków.

W końcu z rozmyślań, tłumionych uczuć i tych części Cezarego Zawady, które pozostały, wykluła się decyzja, by pokazać córce diabła.

\*\*\*

Szkice, obrazy, fotografie. Na wszystkich ta sama postać, ubrana stosownie do epoki, ale zawsze tak bardzo na czarno, jak tylko się dało. Pola wodziła wzrokiem i kręciła z niedowierzaniem głową.

– Niektóre wyglądają tak prawdziwie...

– Bo to autentyki.

– Żartujesz.

– A pamiętasz, kiedy ostatnio tak naprawdę żartowałem? – zapytał Cezary.

Popatrzyła na niego, jakby dotarło do niej to, z czego za sprawą czarciego uroku nie zdawała sobie sprawy. Otworzyła usta, zamknęła, i znowu otworzyła, i znowu zamknęła – zupełnie jak ojciec, kiedy nie wiedział, co powiedzieć. Wyglądała, jakby chciała zadać jakieś pytanie, ale żadne nie wydawało jej się wystarczająco sensowne.

– To diabeł – powiedział Cezary. – Zaraz tu będzie. Pokazał mi to mieszkanie w noc, kiedy go poznałem. Parę dni temu udało mi się zdobyć klucz. I oto jesteśmy. Pewnie zaraz też się zjawi.



Ona usiadła na kanapie, on skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o framugę. Czekali.

Albert wszedł mimo zamkniętych drzwi. Spojrzał na Polę, ale krótko, dłużej natomiast popatrzył na Cezarego. Potem się uśmiechnął.

– Chyba możemy skończyć przedstawienie. – Z lewej kieszeni wyjął fotografię. – Trzymaj.

Cezary wziął i wpatrywał się przez kilka minut. Diabeł podśpiewywał.

– To nieprawda – rzekł w końcu Zawada, drąc odbitkę na drobne kawałki.

– Zatem może coś mocniejszego. – Sięgnął do prawej kieszeni.

Drugie zdjęcie sprawiło, że coś w Cezarym pękło. Z piersi wydobył się szloch, z oczu pocięły łzy. Skapywały na fotografię, która przedstawiała Polę z pociętymi nadgarstkami. Dziewczyna leżała w wannie wypełnionej czerwonym płynem.

Nie uśmiechała się – w przeciwieństwie do ojca z podartej fotografii, który pozował u boku diabła.

– To nieprawda...

Albert pstryknął, a siedząca na kanapie iluzja Poli zniknęła. Cezary upadł na kolana i zapłakał. Diabeł podśpiewywał. Minęła dłuższa chwila, zanim mężczyzna w końcu zapytał:

– Kiedy?

– Jakiś czas po tym, jak odkryła, że ten skurwysyn nie żyje. Problem niby był z głowy, prawda? – Diabeł wyszczerzył się, pokiwał głową. Potem uśmiech spelzł z jego twarzy. – Gówna prawda. Nawet to nie pomogło, dziewczyna nie wytrzymała.

– Przecież widziałem, jak jej się poprawia.

Diabeł pstryknął. W pomieszczeniu pojawił się ciemny fortepian. Diabeł znowu pstryknął. Na fortepianie pojawiła się kryształowa butelka z nalewką z czarnego bzu oraz dwa kieliszki. Diabeł pstryknął, a butelka przechyliła się i rozlała trunk.

– To też widziałeś, prawda? – Pstryknął po raz czwarty i wszystko zniknęło. – No właśnie.

– Dlaczego? – zapytał Cezary. – Pamiętam, jak mówiłeś, że jesteś innym diabłem. Że szukasz dobra. Że chcesz się wtulić w ludzi...

– Inny diabeł? – przerwał Albert. – Co by to w ogóle miało znaczyć? Że jestem dobry?

– Pokręcił głową. – Świat nie jest czarno-biały, mój drogi Czarku. Mogę być bardziej ludzki od człowieka, a ty podlejszy od diabła. Tak też jest ciekawiej.

Diabeł kucnął i nachylił się do mężczyzny.

– Pamiętasz, jak zniszczyliśmy tamtego śmiecia? – zapytał, a kąciki jego ust drgnęły.

Cezary pamiętał.

– To samo zrobiłem z tobą. – Uśmiech powrócił na czarcie oblicze. – Dałem, a potem odebrałem. Jednak gdyby nie ty, nie byłbym tak zadowolony. Dostarczyłeś mi inspiracji, drogi Czarku. Właściwie to inspirowaliśmy się wzajemnie. – Spoważniał. – Ale jak już powiedziałem: koniec przedstawienia.

Wstał, zdjęcie martwej Poli schował do prawej kieszeni, z lewej wyciągnął nienaruszoną fotografię przedstawiającą jego i Zawadę – uśmiechniętych, pozujących jak przyjaciele. Pstryknięciem wyczarował ramkę, oprawił nowy element kolekcji i powiesił na ścianie. Potem spojrzął na Cezarego, na człowieka, którego nie rozsadził od środka, lecz subtelnie opróżnił ze wszystkiego, co istotne.

– Idziemy – warknął.

Cezary Zawada bezwiednie wstał i pokierował się do drzwi, choć za progiem i tak nie miał dokąd pójść. Diabeł podążył za nim.

Wychodzą: obaj tacy, jak widać.

rys. Alicja Tempłowicz



# DO OJCA BERTOLDA

Łukasz Kuliński

Do ojca Bertolda,

przeora klasztoru Braci Benedyktynów pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny w Spale

Marzec, 18...

Wybacz mi Ojczy, albowiem zgrzeszyłem.

List mój, przekazany Ci przez zaufanego posłańca, z pewnością wywoła w Tobie zdziwienie i radość. Radość, gdyż nie mając wieści ode mnie, szlachetny przeorze,

przypuszczać musiałeś moją zgubę. Wiedz jednak, że Twoje modły o zachowanie w Bożej opiece mego nędznego żywota wysłuchane zostały przez Wszechmogącego. On opromienia nieskończoną łaską nawet najlichszych i najpodlejszych, wszyscy bowiem jesteśmy Jego dziećmi. Zdziwienie zaś, gdyż listem tym pragnę wypowiadać się z grzechów, które ciążyą na mej duszy i stały się brzemieniem, którego nie mogę unieść.

Nędzna naturo ludzka! Ty sprowadzasz duszę ku zatraceniu i podcinasz jej niebiańskie skrzydła. Przeklęta bądź na wieki, gdyż w tobie lęgnie się grzech i nieposłuszeństwo.

Błogosławiony bądź, Boże, gdyż Ty jesteś źródłem wszelkiej łaski, wszelkiego szczęścia i wszelkiej dobroci.

Ojcze, módl się za mnie i moje odkupienie. Zdecydowałem się porzucić stan kapłański i nigdy nie powracać na łono klasztoru. Kiedy posłaniec z listem wyruszy do Ciebie, udam się do Ziemi Świętej. Upadnę na kolana tam, gdzie Nasz Pan wydał pierwsze tchnienie. Zapłacę nad moimi grzechami i wyznam ich treść. Niechaj usłyszysz ogrom winy i hańby swego sługi. Niechaj skarże moją nieśmiertelną duszę na wieczne potępienie lub, w swym miłosierdziu, zmaże z niej brzemień plugawego grzechu. Tymczasem bądź mi podporą, Ojcze. Wysłuchaj i módl się w intencji odkupienia. Nade wszystko zaś błagam Cię, abyś nie odwodził mnie od mego postanowienia ani nie próbował zatrzymać. Jestem grzesznikiem, niegodnym, aby powracać w czcigodne mury klasztoru.

Zgodnie z Twoim życzeniem dołączyłem do oddziałów partyzanckich. Pomny udzielonych mi rad i nakazów starałem się być dla tych dzielnych chłopców, których wziąłem pod skrzydła, podporą i pocieszeniem. Ze wszystkich sił wspierałem mężnego, polskiego ducha i rozpaląłem płonąca żagiew odwagi i wiary w Chrystusa Pana. Starałem się być dobrym pasterzem.

Nasza grupa utrzymała się przez niecałe dwa tygodnie. Dwunastego dnia wpadliśmy w zasadzkę nad rzeką. Rzeź była okrutna. Nie mieliśmy szans. Przykro mi Ojcze, że muszę przekazywać Ci takie wieści.

Jednakże Bóg mnie uratował. Raniony w bok kulą z muszkietu wpadłem do rzeki. Nurt poniósł mnie daleko od miejsca kaźni moich towarzyszy. Nie łudzę się jednak myślą, że ktoś jeszcze uniknął śmierci. Wojna jest okrutną panią, której wyroki nie znają umiarkowania. Żałuję, że nie podzieliłem losu pozostałych. Zaszczytnie i pięknie byłoby zginąć w walce, słowem i czynem wspierając szlachetnego ducha wolności i sprawiedliwości. Zamiast tego ocalałem. Co gorsza, uszedłem z życiem tylko po to, aby oddać się na pokuszenie i zatracić zacne uczynki ohydny grzechem. Przeklęty losie, okrutny brzemieniu człowieczy!

Gdy zbyt dużo krwi uszło z rozprutego boku, a woda dostała mi się do ust, straciłem przytomność. Pozbawiony świadomości pozwoliłem, aby strumień poniósł mnie w swoich objęciach. Chrystus czuwał nade mną, gdyż nie poszedłem na dno.

Obudziłem się całkowicie zagubiony i zdezorientowany. Leżałem w miękkim łóżku, otoczony pierzynami, z głową złożoną wygodnie na delikatnych poduszkach. Było mi przyjemnie i ciepło. Rana po kuli została starannie zaszyta i obandażowana, a na moim czole spoczywał chłodny opatrunek. Grała muzyka.

Zaś obok mnie tańczył anioł.

Nie obawiaj się jednak, gdyż nie postradałem zmysłów. Anioł ów, ta cudna istota, miał postać kobiety. Młodego dziewczęcia właściwie, o delikatnej budowie ciała, skórze białej jak śnieg i jasnych włosach.

Nie dziw zatem, że skoro stanął przede mną tak niesamowity obraz, wydałem z siebie okrzyk zachwytu. Dziewczę obróciło się wtedy i ku mojemu przerażeniu uciekło, spłoszone jak sarna. Próbowałem się podnieść, dogonić ją, przeprosić. Na próżno jednak – nie byłem w stanie. Zamiast tego stoczyłem się bezwładnie z łóżka, gdy świeża jeszcze rana odezwała się paraliżującym bólem, wywołanym gwałtownym ruchem. Przez czas jakiś leżałem na podłodze, zwijając się w agonii. Wkrótce jednak złapały mnie silne ręce i uniosły na powrót w królestwo miękkich pierzyn i puchu.

Straciłem przytomność.

Gdy ponownie wróciłem do zmysłów, ujrzałem twarz mężczyzny. Był to starzec o licu poznaczonym bliznami i srogim, marsowym spojrzeniu. Szarpiąc się za białe wąsy, przyglądał mi się z mieszaniną złości i współczucia.

Był to Kazimierz Pokorski, herbu Gozdawa. To on, jak wyjaśnił mi w tamtej chwili, znalazł mnie nad brzegiem rzeki, wyrzuconego przez wartki strumień. Nieprzytomnego zabrał do swojego dworku, ukrytego w głębi Puszczy Pilickiej, opatrzył i otoczył opieką. Zaś dziewczę, które zobaczyłem podczas pierwszego przebudzenia, to jego córka Franciszka.

Tym ludziom, szlachetny Ojczy, zawdzięczam ratunek. Ocalili moje życie i niczym dobrzy Samarytanie dali dach nad głową.

Kiedy spokojny sen i ciepły posiłek przyniesiony przez gospodarzy przywróciły mi dość sił, abym mógł przemówić, pobłogosławiłem oboje znakiem krzyża i wzniosłem krótką modlitwę w intencji ich szczęścia. Stała się wtedy rzecz dziwna. Milczący dotąd Kazimierz gwałtownie wstał z krzesła, z którego obserwował mnie w zamyśleniu, i z wielkim przejęciem zapytał, czy jestem duchownym, mężem oddanym Chrystusowi. Jego pytanie wydało mi się zrozumiałe ze względu na odzienie i brak tonsury, zgolonej na czas wojennej

konspiracji. Gdy odpowiedziałem, że jest tak w istocie, zapytał, czy przybyłem w odpowiedzi na jego pismo skierowane do Spalskiego klasztoru.

Czy wiadomo Ci coś o tym, Ojczy? Czy taki list dotarł do Ciebie? A jeśli nie, czy to Bóg umyślnie schował je przed Twoim wzrokiem i skierował mnie do przeklętego Pilickiego dworu, aby przetestować moją cnotę i hart ducha? Jeśli tak, to lękam się podwójnie, gdyż zawiodłem nie tylko siebie, ale i Jego wiarę we mnie.

Gdy wyjaśniłem powód, dla którego przebywałem w pobliżu jego ziem i odpowiedziałem wprost, że o żadnym liście nie miałem pojęcia, Kazimierz wpadł we wściekłość. W afekcie obrzucił mnie obelgami i trzaskając drzwiami, zostawił całkowicie osłupiałego.

Zostałem, po raz pierwszy, sam na sam z jego piękną córką. Zawstydzona zachowaniem rodzica, wzięła moją dłoń i delikatnie ucałowała, przepraszając za niesprawiedliwe traktowanie, którego doświadczyłem. Zapewniła również, że jestem mile widziany w ich domu oraz że dołożą wszelkich starań, aby doprowadzić moje zszargane zdrowie do dawnej kondycji.

Przyznam, że uczułem wtedy coś więcej niż tylko wdzięczność do tej niebiańskiej istoty. Być może zbyt intensywnie patrzyłem w jej niebieskie oczy lub nazbyt mocno trzymałem delikatną rączkę w swoim uścisku. Lecz dziewczyna odwzajemniała się tym samym. Iskra grzechu zapaliła się wtedy między nami, w tym intymnym momencie, w którym jej usta spoczęły na wyciągniętej przeze mnie dłoni. Pieszczota tego dotyku była zbyt czuła, zagrała między nami dysharmonia erotycznego pobudzenia, cielesnego pożądania.

Spędziłem w łóżku tydzień. Franciszka dbała o mnie i codziennie o świcie odwiedzała, przynosząc śniadanie i swoje towarzystwo. Była dla mnie dobra, nieskończenie troskliwa i czuła. Rana po kuli, poddawana codziennym kuracjom, szybko się goiła. Dowiedziałem się kilku rzeczy.

Dziewczyna mieszkała we dworze tylko ze swoim ojcem. Cała służba opuściła ich dawno z powodu choroby, która dotknęła pobliską wieś. Pokorscy jednakże, nie zważając na niebezpieczeństwo i silnie wierząc w Bożą opiekę, pozostali na ojcowiznie. Obecnie, jak mnie zapewniała, nie brakowało im niczego prócz towarzystwa. Pytana o dziwne zachowanie ojca milczała lub unikała odpowiedzi. Również sam Kazimierz nie pojawił się więcej, unikając mojej osoby.

W trakcie naszych długich rozmów zmieniło się też zachowanie samej Franciszki. Być może zawstydzona młodzieńczą pasją, którą okazała podczas pierwszej rozmowy, spokorniała. Nabrała dystansu i nasza relacja zaczęła odpowiadać wymogom obyczajowości

i dobrego wychowania. Z przyjemnością opowiadała mi o sobie i słuchała odwzajemnianych historii, jednakże zachowując odpowiedni dystans i szacunek wobec mego duchownego stanu. Również ja opamiętałem się w uczuciach i zacząłem zachowywać tak, jak przystało na sługę Bożego.

Po tygodniu gotów byłem wstać z łoża. Wtedy też zwiedziłem dom i jego okolice.

Sam dwór nie odznaczał się niczym wyjątkowym. Kilka przestronnych, jasno oświetlonych pokoi, łaźnia, w której mogłem zregenerować obolałe ciało, oraz kuchnia, w której Franciszka szykowała posiłki. Bardziej interesujące okazały się natomiast okolice. Po zachodniej stronie znajdowało się piękne jezioro, którego rozmiar ze wszech miar przeraził mnie i zachwyił. Był to akwen dziki i nieokiełznany, otoczony bujną roślinnością. Pokorscy nazywali go Diabelskim Okiem. Kusił do spaceru drewnianym mostkiem, jednakże ojciec surowo wzbraniał dziewczynie zbliżać się do niego, gdyż ta nie potrafiła pływać.

Obok zaś, ukryty za gęsto rosnącymi drzewami, wyrastał kościół. Był to budynek wzniesiony w starym, gotyckim stylu, zapuszczony i nadgryziony zębem czasu. Wszechobecna roślinność gęsto porosła jego mury i przytuliła się doń, nadając mu wyjątkowo mroczny i nieprzyjazny wygląd. Witraże w oknach, powybijane, ziały pustkami i jedynie chłodny wiatr zawodził przez ponure otwory. Krzyż na szczycie przechylał się niebezpiecznie do przodu, grożąc upadkiem. Główne wrota zaś zabite były naглуcho. Zdało mi się, że budowla ta była teatrem jakiejś dramatycznej utarczki między nieznanymi siłami, po której Dom Boży został porzucony i zamknięty. Wiedziałem jednak, że nie jest całkowicie opuszczony. Przez czas spędzony z żołnierzami nauczyłem się odczytywać ślady. Uzbrojony w tę umiejętność nie mogłem nie zauważyć ścieżki prowadzącej od dworu do bocznej nawy, w której odkryłem ukryte wejście.

Kiedy w końcu spotkałem się z Kazimierzem i podziękowałem za gościnę oraz opiekę, zapytałem o to miejsce. Ojciec dziewczyny zakazał mi zapuszczać się w tamte okolice i odmówił jakiegokolwiek wyjaśnienia takiego stanu rzeczy. Mimo ciekawości, wdzięczny za okazane dobro, obiecałem trzymać się od sanktuarium z daleka i nie pytać o związane z nim tajemnice.

Moich myśli zresztą, wybaczcie mi to, Ojczy, wcale nie zajmował kościół. Całą swą uwagę poświęcałem Franciszce. Byłem nią całkowicie zafascynowany i każdą wolną chwilę starałem się spędzać w jej towarzystwie. Gdy zaś zajęta była obowiązkami, zastanawiałem się, jak doprowadzić do spotkania.

Wspólnych chwil było jednak mnóstwo. Wspólnie jedliśmy śniadania i zabawialiśmy się rozmową. Odbywaliśmy spacer po bezkresnych lasach wokół domu, podczas których



dziewczyna opowiadała o sobie i swojej rodzinie. Czytywaliśmy poezję z imponującego zbioru w jej biblioteczce i graliśmy na pianinie, które spoczywało na honorowym miejscu w salonie. Szczególnie zaangażowani byliśmy w to ostatnie, czasem dając popisy prawdziwej wirtuozerii, gdyż jej wykształcenie muzyczne wcale udatnie komponowało się z moim, dając nam mnóstwo przyjemności. Nie było przy tym żadnej sztuczności czy zawstydzenia, gdy nasze ręce przypadkowo spotkały się podczas gry na instrumencie. W istocie zamieniliśmy go w scenerię grzesznej gry, podczas której dawaliśmy upust tłumionym pokusom. Nigdy jednak otwarcie. Zawsze zachowywaliśmy odpowiedni ton, a gdy zabrnęliśmy za daleko, gdy dłonie splotły się zbyt mocno lub gdy przytulaliśmy się, pozornie zajęci muzyką, kwitowaliśmy podobne sytuacje wesołym śmiechem i szybko oddalaliśmy się od siebie.

Postarałem się również o bliższy kontakt z Kazimierzem. Traktowałem go wszak jako właściwego gospodarza i moim obowiązkiem było odplacić za okazaną gościnę. Ten jednak wzbierał się przed rozmową, tym bardziej przed próbami zadośćuczynienia. Wzruszał jedynie ramionami i kwitował moje słowa lekceważącym machnięciem ręki. Z czasem zaprzestałem więc podobnych gestów i stałem się jedynie cichym uczestnikiem jego popołudniowych medytacji, przy fajce nabitej dobrym tytoniem i wiosennym słońcu grzejącym twarz. Nawet jeśli z początku irytowała go moja obecność, to z czasem przyzwyczał się do niej, a po kilkunastu dniach sam zaczął mnie szukać i bez słów wskazywał puste krzesło lub wręczał woreczek z tytoniem.

Widzisz więc Ojcze, że mimo tragedii w Pilickim lesie udało mi się znaleźć spokój i radość. Wkrótce jednak zaczęły się nieszczęścia.

Wraz z Franciszką, kuszeni wizją drobnego nieposłuszeństwa, zaczęliśmy odbywać wieczorne spacerunki wokół Diabelskiego Oka. Często zapuszczaliśmy się na koniec mostka, siadając na kruchych deskach i maczając nogi w zimnej wodzie. Wtedy też, patrząc na stary kościół, dopadał nas nastrój melancholii i wychodził skrywany w duszy niepokój i smutek. Szczególnie dziewczyna wydawała się mocować z jakąś niezrozumiałą dla mnie wtedy zgrzyotą, która objawiała się za każdym razem, gdy spoglądaliśmy na ponure oblicze zniszczonego kościoła. Przeto, wiedziony troską o jej stan, zaproponowałem Franciszce święty sakrament spowiedzi. Przyznaję jednak, że kierowała mną nie tylko intencja oczyszczenia jej strapionego sumienia, ale również zaspokojenia mej zdrożnej ciekawości. Dziewczyna przystała na propozycję i w przypiływie ufności otworzyła przede mną serce.

Drżącym od emocji palcem wskazała stary kościół, który majaczył za szuwarami. Powiedziała, że w środku znajduje się przekleństwo, przez które opuścili dwór Pokorskich wszyscy dawni mieszkańcy. Zdziwiony, zapytałem o naturę owego zła. Odparła mi wtedy, że

jest to choroba. Nie taka, która wywołuje dolegliwości ciała, lecz zgnilizna duszy, której bać się należy mocniej i która o wiele groźniejsza jest dla człowieka. Oto bowiem w środku, zamknięta za grubymi kratami, uwięziona jest jej siostra, Anna. Gdy całkowicie zaskoczony indagowałem Franciszkę, zanosła się głośnym szlochem i w porywie naglej hysterii rzuciła się biegiem w kierunku dworu. Z nieskładnego wyznania, które poczyniła, zrozumiałem tylko jedno zdanie, które zmroziło mnie i pozostawiło niemego w uścisku przerażenia.

„Jest opętana przez diabła”.

Wróciłem do domu i chcąc uspokoić Franciszkę oraz własne, skołatane nerwy, delikatnie zapukałem do drzwi jej pokoju. Ta jednak nie chciała mnie wpuścić i zażądała, abym pozostawił ją w spokoju. Nie uczyniłem tego jednak i uparcie stałem pod drzwiami, domagając się, aby porozmawiała ze mną i pozwoliła upewnić się o swoim zdrowiu. Upór i stanowczość tego postanowienia dały w końcu pewien rezultat. Usłyszałem ciche kroki, a następnie skrzypienie podłogi. Moja oblubienica usiadła po drugiej stronie dzielących nas drzwi i zaczęła recytować słowa Pisma Świętego, domagając się wspólnej modlitwy. Uczyniłem zadość jej prośbie i tamtej nocy odprawiłem ową dziwną celebrę, mszę świętą dwojga kochanków, którzy pragnęli uspokoić siebie nawzajem. Gdy skończyliśmy, wymusiła na mnie przysięgę milczenia. Obiecałem nigdy więcej nie przywoływać tej mrocznej tajemnicy, którą wyjawiała w chwili uniesienia.

Następnego dnia wróciliśmy do naszej codzienności. Nie rozmawialiśmy o poprzednim dniu, starannie unikając niebezpiecznego tematu. Coś się jednak zmieniło. Zapanowała między nami krepująca niezręczność, potęgująca się tym bardziej, im dłużej utrzymywaliśmy znowę milczenia. Nawet nasze spacerunki zmieniły swój normalny rytm, gdyż oboje unikaliśmy zachodniej części dworu, nie chcąc ujrzeć zagadkowego kościoła.

Jednak noc w noc wracałem do niego myślami. Odkąd straszliwy sekret objawił się przede mną, nie potrafiłem go zignorować. Czy była to prawda? Czy w istocie ten dziwny budynek był więzieniem opętanej kobiety? Czy to stąd wzięło się zaskoczenie Kazimierza, gdy dowiedział się, że jestem kapłanem? Czy w zaginionym liście, który miał dotrzeć do Was, przeorze, zawarta była rozpaczliwa prośba o przybycie egzorcysty? Dobry Boże! Musiałem się przekonać.

Gdy stary zegar w pokoju wybił godzinę trzecią, najciszej jak potrafiłem wysunąłem się z pościeli i otworzyłem okiennicę. Tak, aby moje ruchy nie zostały usłyszane przez resztę domowników, wymknąłem się na zewnątrz. Od pewnego czasu podejrzewałem, że stary Kazimierz sprawdza mnie i upewnia się, że w nocy nie opuszczam sypialni. Kilka razy zdawało mi się, że słyszę jego kroki za drzwiami. Zawsze jednak sądziłem, że ojciec robi to

w obawie o cnotę córki. Musiał wszak widzieć zażyłość jaka powstała między nami i domyślać się gorącego uczucia, które zapłonęło. Nie dziw, że nie ufał w moją wierność wobec stanu kapłańskiego, skoro ja sam w obliczu urody Franciszki i jej niewysłowionego powabu zacząłem oddalać się od Boga i przywdziewać niegodną szatę grzechu.

Zatem, opuszczając w sekrecie sypialnię, udałem się w kierunku kościoła. Dobrze pamiętałem ścieżkę, która wzbudziła moje podejrzenie, gdy pierwszy raz oglądałem tamte okolice. Także i teraz, mimo ciemności, udało mi się ją odnaleźć. Tym sposobem znalazłem się przed wejściem do bocznej nawy.

Niestety, drzwi były zamknięte.

Niezrażony pierwszą porażką, a coraz mocniej zaciekawiony, rozpocząłem poszukiwania. Obszedłem budynek, usiłując znaleźć inne wejście. Główne wrota pozostawały niedostępne i jedyną możliwą drogą okazały się okiennice. Rana na boku zagoiła się już na tyle, że gotów byłem zaryzykować wspinaczkę. Bujna roślinność rosnąca wokół była mi sprzymierzeńcem i szybko odnalazłem dogodne podejście. Nie minęło wiele czasu nim, mimo pewnych trudności, wspiałem się po chropowatej ścianie i przeszedłem przez okno z wybitym witrażem.

W środku panował półmrok. Słaby blask księżyca przebijał się przez otwory w ścianach, ale oświetlał wnętrze jedynie fragmentarycznie. Trudno mi było rozeznąć się w architekturze kościoła, gdyż huczała mi w skroniach mieszanina strachu i ekscytacji. Powoli i najostrożniej jak potrafiłem, skierowałem kroki w kierunku ołtarza. Samo wnętrze nie wydawało się zdewastowane. Rzekłbym nawet, że świątynia gotowa była na przyjęcie kapłana, który mógłby od razu poprowadzić błogosławione rytuały. Zakurzone Pismo Święte spoczywało na ozdobnej ambonie. Uchylone tabernakulum czekało, aby wyjąć zeń błogosławioną hostię. Z obrazów i płaskorzeźb spoglądały na mnie sylwetki świętych, złaknionych modlitwy, zapomnianych i okrytych ciemnością, odseparowanych od blasku Bożego.

Z sercem drżącym w piersi przeszedłem prezbiterium i skierowałem się ku zakrystii. Tam znalazłem okrężne schody prowadzące do piwnic. Chwilę poświęcić musiałem na znalezienie źródła światła, bowiem dalsza wędrówka, z powodu gęstniejących ciemności, okazała się niemożliwa. Kościół był jednakże dobrze wyposażony lub też Kazimierz, który musiał tu przychodzić, pozostawił lampę oliwną na jednej z półek. Skrzesawszy iskrę, zapaliłem kaganek i zszedłem na dół.

Poruszałem się z największą ostrożnością, ważąc każdy krok i wstrzymując oddech w obawie przed wykryciem. Nie szedłem długo, gdyż tunel nie był głęboki. Pełen obaw skierowałem wzrok przed siebie i ujrzałem kobietę.

Leżała na prostym sienniku, za zakratowanymi drzwiami. Jej duszną celę oświetlała lampa oliwna, identyczna do tej, którą zabrałem z góry. Jeśli rzeczywiście była siostrą Franciszki, to prezentowała się skrajnie od niej odmiennie. Miała na sobie zgrzebne szaty pokutne, które ledwo okrywały ciało. Zlepione od brudu włosy spływały jej na twarz i nie byłem pewny, czy śpi, czy też obserwuje mnie z głębi więzienia. Materiał jej odzienia odchylił się, ukazując obfite piersi, obscenicznie wystawione na pokuszenie dla mego głodnego spojrzenia. Ciemny kształt brodawek kontrastował z gładkością skóry. Nie mogąc się opanować, złapany w szpony gwałtownego podniecenia chłonałem ten widok, mimo woli zbliżając się do krat. Przesuwałem spojrzenie po jej korpulentnym ciele, sycąc się widokiem uniesionego kolana i odsłoniętego pośladka. Łaknąłem tego widoku, grzesznie pożerałem go, starając się dojrzeć kształt kobiecości, ukryty między ciemnością a niefortunnym położeniem nogi.

Była piękna. Pełna ciała, obfita i wypełniona lubieżnością. Mimo zniewolenia wydała mi się pełna zwierzęcego wigoru i pasji. Nie mogłem nadziwić się tym widokiem, nie mogłem się uwolnić z gwałtownych kajdan erotycznego uniesienia, które we mnie wywołała. Mimo że leżała za kratami, to ja czułem się jej więźniem.

Kiedy w zapomnieniu zbliżyłem się zbyt mocno, kobieta gwałtownie otworzyła oczy i wbiła we mnie spojrzenie.

Targnięty do tyłu gwałtownym strachem, wydałem z siebie piskliwy krzyk. Potem rzuciłem się do ucieczki, szarpany panicznym przerażeniem, które mną ośwodziło. Nie pomny na nic wbiegłem na górę i upadłem na kolana przed krzyżem i wizerunkiem Chrystusa. Nie wiem, jak długo klęczałem, zanosząc się szlochami i bezgłośnie wymawiając słowa modlitwy. Wiem, że w końcu zdołałem się opanować na tyle, że zatarłem ślady obecności i przed nastaniem świtu wróciłem do pokoju.

Przez następne dni uważnie obserwowałem Kazimierza, starając się wybadać, czy odkrył nocną eskapadę. Zdawało się jednak, że niczego nie podejrzewał. Spędzaliśmy wspólne popołudnia, jak zwykle rozkoszując się smakiem dobrego tytoniu i aromatycznej herbaty przyrządzanej przez Franciszkę. Słowem nie odezwałem się na temat kościoła i uwięzionej kobiety. Narastało jednak we mnie poczucie zwątpienia i głębokie utrapienie. Kim była Anna? Czy rzeczywiście nosiła na sobie znamiona opętania? Z pewnością odczułem gwałtowny wpływ jej osobowości, który rozpałił moje lędźwie i pobudził wyobraźnię. Czy

jednak był to efekt szatańskich sztuczek? Może była całkowicie niewinna, a pobudzenie zrzucić należy na moją skłonność do grzechu i nieposłuszeństwa wobec złożonych ślubów? Wciąż wracałem do tego myślami.

Tymczasem zajmowałem się Franciszką. Udało nam się wrócić do dawnej zażyłości i na nowo korzystać mogliśmy z dobrodziejstw naszej zabawy. Teraz jednak wydawała mi się ona dziecinna i pozbawiona smaku. Odczuwałem radość, ganiając za dziewczyną wśród drzew i śmiejąc się z nieznaczących dotknięć i głębokich spojrzeń. Jednak wciąż myślałem o jej siostrze.

Pewnej nocy nie wytrzymałem. Mimo obaw i głębokich wątpliwości przygotowałem się do kolejnej wizyty w kościele. Upewniwszy się, że wszyscy domownicy śpią, wymknąłem się oknem sypialni. Tym razem uzbrojony w krucyfiks i Pismo Święte, chciałem przekonać się o prawdziwej naturze Anny. Podobnie jak poprzednio, wspiąłem się do jednej z okiennic i tą drogą dostałem do środka. Nie zauważyłem żadnych zmian, za wyjątkiem lampy, która stała w innym miejscu niż to, w którym pozostawiłem ją ostatnio. A więc Kazimierz musiał tutaj schodzić. Nie zwróciłem na to uwagi uprzednio, oglądając jej celę, ale przekonany byłem, że karmił kobietę oraz przynosił jej wodę.

Zszedłem na dół i recytując słowa modlitwy, z uniesionym krzyżem, stanąłem przed okratowanymi drzwiami.

Czekała na mnie. Gdy ją ujrzałem, głos uwiądnął mi w gardle, a ręka ze świętym symbolem bezwiednie opadła wzdłuż ciała. Leżała na sienniku. Gdy tylko padło na nią moje spojrzenie, odrzuciła okrywającą ją szatę i ukazała się w całkowitej nagości. Jej usta wilgotne były od śliny. Światło lampy rzucało refleksy na pełne piersi, ozdobione ciemnymi brodawkami. Obfite, naturalne krągłości jej ciała poranione były od niewygodnej szaty i ciężkich warunków. Oglądałem blizny, zadrapania i rany, z których wypływała krew. Ona zaś węzowym ruchem dłoni gładziła się po bokach, ukazując mi tajemnice swojej bezwstydnej nagości. Jej ręka powędrowała po linii pępka, wzdłuż łona, wprost między szeroko rozwarte uda. Prowokując mnie spojrzeniem i opierając kształtne stopy o zimne okratowanie, zaczęła pieścić się na moich oczach. Byłem świadkiem jej grzesznej, perwersyjnej zabawy. Dla mnie, ku mojej zwierzęcej ucieście, zagłębiała palce w swej kobiecości i przewiercała mój umysł głośnym, podniecającym jękiem.

Bez słowa doczekałem do końca owego lubieżnego spektaklu. A kiedy zakończyła i na powrót okryła się szatą, odszedłem na górę. Wiedziałem już wtedy, że stałem się niewolnikiem jej uroku. Oszołomiony i odurzony nowym doświadczeniem wróciłem do

cichej sypialni i na wzór biblijnego Onana uwolniłem lędźwie od ciężaru palącego mnie pobudzenia.

Mijały kolejne tygodnie. Nie wiem jak wiele, gdyż kompletnie zatraciłem się w nieprawej i pozbawionej rozsądku działalności. Za dnia oddawałem się niewinnym i słodkim zabawom z anielską Franciszką. Nie było końca uśmiechom, potajemnym pocałunkom i schadzkom w zakamarkach Pilickich lasów. W nocy zaś oddawałem się w pełni celebrze nowego nałogu, grzeszyłem, oglądając wyuzdane spektakle jej diabelskiej siostry, która trzymała mnie w swoich szponach, deprawowała i niszczyła. Nigdy nie zamieniliśmy słowa. Zawsze powtarzaliśmy ten sam schemat, w którym ona oddawała ciało na pokaz moim zmysłom, a ja, również w jej obecności, dawałem upust pragnieniu, zaspokajając się z dziką, niemożliwą do okiełznania satysfakcją. Zawsze jednak dzieliły nas kraty. Mimo że pragnąłem ją osiąść, marzyłem o tym, nie mogłem sforsować zamka.

Wiedziałem jednak, kto posiadał klucze.

Którejś nocy, gdy obudziłem się w mokrej pościeli, wypchnięty z lepkich objęć sennych mar, udałem się do kuchni i sięgnąłem po nóż. Idąc w kierunku sypialni Kazimierza, wciąż czułem w nozdrzach zapach skóry Anny, pamiętałem smak jej spoconego ciała, wilgość ust i gorąco ud. Ogarnięty szaleństwem, opętany mocą piekielną, zagłębiłem ostrze w jego krtani i zamordowałem tego biednego człowieka. Wybacz mi, Boże! Zrobiłem to, wyobrażając sobie Annę, gwałcąc ją w myślach, sycąc wyobraźnię jej jękami i krzykami podniecenia. Drżącymi z podekscytowania palcami przeszukałem odzienie ofiary i wyłuskałem upragnione klucze. Pchnięty niemożliwą do opanowania chucią, biegiem udałem się do piwnic pod kościołem.

Znów na mnie czekała. Wiedziała. Kiedy gubiąc kontakt z rzeczywistością, z omamami wirującymi w rozszalałej, rozgorączkowanej wyobraźni, otwierałem drzwi celi, leżała na ziemi z rozłożonymi nogami. Wzrokiem błagała mnie o to, abym dał upust mrocznemu pragnieniu, abym posiadał ją, abym zgwałcił jej spragnione rozkoszy ciało. Rzuciłem się na nią. Trzymając za szyję, ustami ugniatałem jej wargi, gryzłem piersi, rękoma błądziłem po pośladkach, udach i brzuchu. Trzymałem ją silnie za włosy i wyłem z przyjemności, kiedy silnymi pchnięciami wlewałem nasienie w mokre i gorące łono.

Krzyk mojej rozkoszy był w istocie potępieńczym wyciem rozrywanej przez grzech duszy.

Gdy akt dobiegł końca, pozbawiony świadomości osunąłem się w otchłań piekielnych wizji. Wędrowałem cuchnącymi siarką kazamatami, słuchałem żalosego zawodzenia podobnych mnie grzeszników, którzy cierpieli nieskończone męki w domu Diabła. Słyszałem

gardłowy rechot Anny, która popędzając mnie uderzeniami bata, wskazywała na niewyobrażalne i niemożliwe do opisanja katusze, których przyjdzie mi doświadczyć.

Czyż jednak nie zasłużyłem na ten los? Czy nie skierowałem się na ścieżkę plugawego grzechu? Czy nie odwróciłem się od światła Bożego i sam nie sięgnąłem po potępienie?

Gdy odzyskałem przytomność i otwarłem oczy, byłem sam. Wiedziony przecuciem wyszedłem na zewnątrz i skierowałem się wprost ku Diabelskiemu Oku. Zawędrowałem na koniec drewnianego mostka i zapłakałem, gdy na spokojnej tafli jeziora ujrzałem kształt białej sukienki i zastygniętą w przerażeniu twarz martwej Franciszki.



www.kostnica.com.pl

# KOSTNICA

**POZORNIE MARTWA STRZA**

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



[www.kostnica.com.pl](http://www.kostnica.com.pl)

RECENZJE  
OPOWIADANIA  
GALERIE  
NOWOŚCI  
KONKURSY  
FILM  
KSIĄŻKA  
GRA  
KOMIKS



# Pamięć boli, ale nie sposób się od niej uwolnić...

Najnowszą powieść Grzegorza Gajka mogę z czystym sumieniem polecić wszystkim miłośnikom grozy... Poza kolekcjonerami obrazów. Po lekturze „Malowidła” nawet największy pasjonat malarstwa uzna bowiem, że jest to zbyt niebezpieczne zajęcie, by warto ryzykować. ■

Kazimierz Kyrz Jr – pisarz

Jeśli ktoś chciałby wykupić prawa do ekranizacji „Malowidła”, zrobiłby interes życia. Te plastyczne opisy, inteligentne i pełne żywego języka dialogi, napięcie... to aż prosi się o sfilmowanie! ■

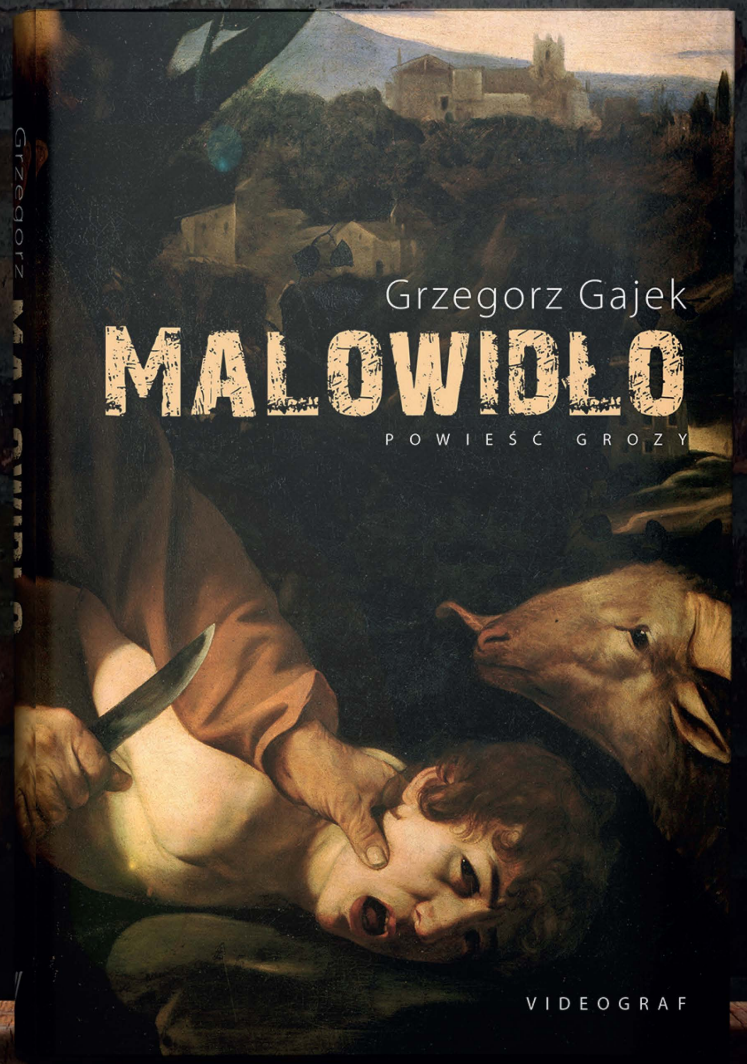
Ksenia Olkusz – Creatio Fantastica

Nawiedzony obraz. Banal? Może i tak, jednak w sprawnych rękach nawet banalna z pozoru opowieść może okazać się fascynująca. Mnie „Malowidło” kupiło gęstym klimatem i nieoczywistym zakończeniem historii. Polecam. ■

Agnieszka Brodzik – carpenoctem.pl

powieść nominowana  
do tytułu książki roku 2016

 lubimy czytać.pl



VIDEOGRAF POLECA

Dowiedz się więcej

Darmowy fragment  
w formacie epub



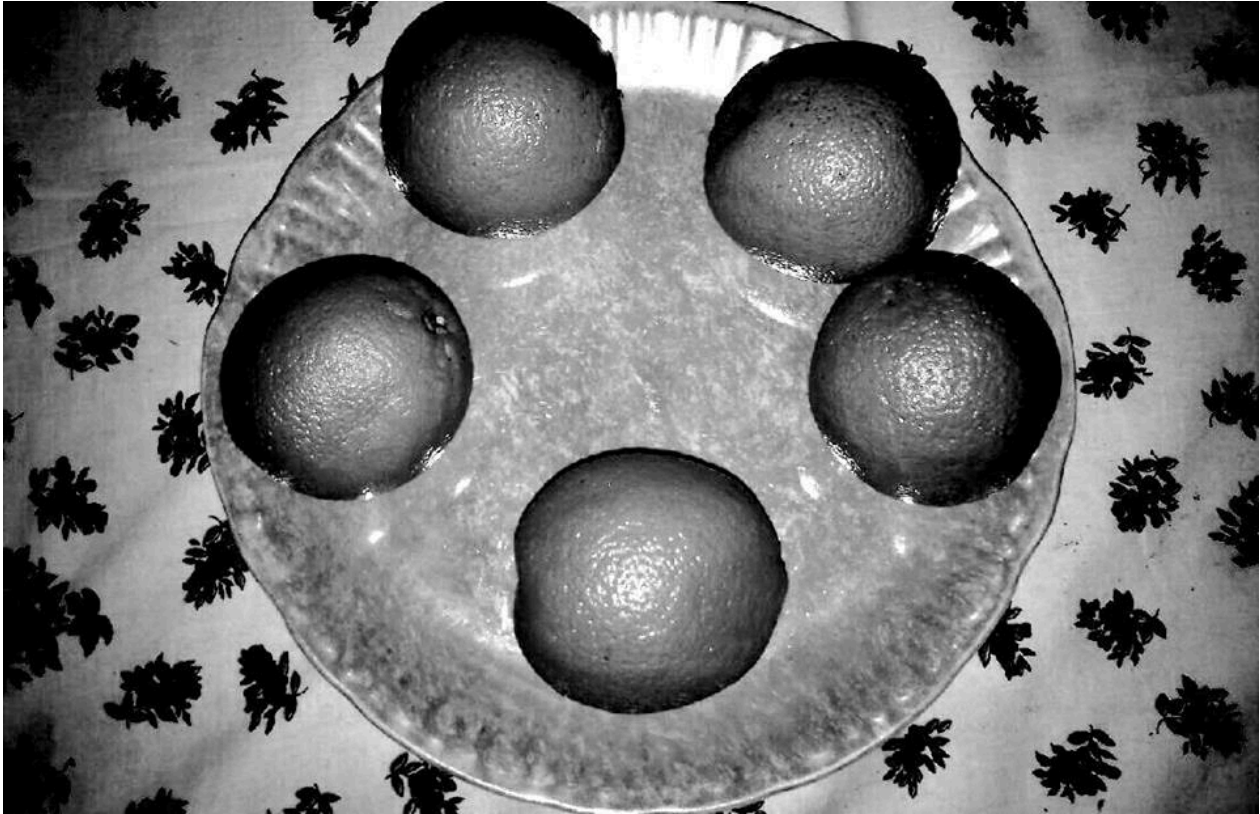
Strona  
autorska



Kup online



Czasem wystarczy moment. Tragedia, rozbite życie, nawet nie wiesz, co się stało. Tak było z Karolem. Dlatego uciekł – od miasta, od firmy, od znajomych. Dlatego kupił stary dom na Śląsku. Nie wiedział o obrazie, o młodzieńcu, który tam na niego czekał, w ukryciu, cierpliwie. Nie wiedział, w jak dziwne miejsca zawiedzie go droga ku zapomnieniu. Czy obsesyjne zgłębianie tajemnicy obrazu pomoże mu rozwikłać przyczyny rodzinnej tragedii? ■



# KIEDY KOLBAMI W DRZWI ZAŁOMOCA

Marcin Zwoleń

W kamienicy przy Polnej 15 od rana huczało jak w ulu. Wśród mieszkańców poszła wieść, że wybuchła wojna. Mówiło się, że to było do przewidzenia i w końcu musiało do tego dojść. W powietrzu od dawna czuło się narastające napięcie, które wreszcie znalazło ujście. Adaś, mimo swoich lat, doskonale rozumiał, co to znaczy. Wiedział też, że wojnę własnemu narodowi wypowiedział „Jaruzel”.

Duch oporu wobec systemu towarzyszył chłopcu od wczesnego dzieciństwa. Jego wychowanie przebiegało w oparach sprzeciwu i niechęci rodziców do socjalistycznej władzy. Mama z tatą byli mocno zaangażowani w walkę z komuną, opieką nad chłopcem obarczyli

babcię, która teraz wznosiła ręce do Boga, błagając Go, byle tylko Ruscy nie weszli do Polski. Bo ta czerwona zaraza jeno grabi i gwałci bez opamiętania, biadoliła.

Z wcześniej podsłuchanych rozmów między dorosłymi i wnikliwych obserwacji Adaś sam nakreślił sobie obraz tego, co od jakiegoś czasu działo się wokół niego. Domyślał się, że jego dom nie jest zwyczajny, jak domy jego kolegów. Uważał, że uczestniczy w czymś wyjątkowym, o czym oni mogą wyłącznie pomarzyć. Wszechobecna zasłona tajemnicy, której nie sposób było nie odczuwać, utwierdzała go w tym przekonaniu. Na odmiennie, jak na ośmiolatka, postrzeganie rzeczywistości wpływ w dużej mierze miał także Zbyszek. Starszy o dziesięć lat brat mógł już brać udział w tajnych spotkaniach ze znajomymi rodziców. Bywało, że ich dom odwiedzało kilkanaście osób naraz. W ich gronie przeważali brodacze w znoszonych swetrach i okularach w grubych oprawkach. Zawsze kiedy tylko wychodzili, babcia długo wietrzyła mieszkanie z dymu po tanich papierosach.

Pytania ciekawskiego brata o przebieg spotkań Zbyszek zwykle zbywał wymijającymi odpowiedziami. Lecz bywały chwile, kiedy uchylił rąbka tajemnicy lub najzwyczajniej w świecie coś chlapanął. Jak wtedy, gdy wpadł podekscytowany do ich wspólnego pokoju, ciesząc się, że drukarnia ma nowy, elegancki powielacz.

Malec wiedział, co to bibuła i co oznacza „drugi obieg”. Nieraz dolatywały go przed snem nocne dialogi rodziców, że trzeba uważać na ZOMO i nie należy lizać sobie mordy z komuchami. Niepewne czasy, jak mawiał tato, każą być czujnym i nie każdemu ufać.

Nie zdziwiło go zatem, kiedy jeszcze tego samego grudniowego poranka, gdy ogłoszono stan wojenny, tato pośpiesznie zniknął z domu. Na tłumaczenia mamy, że musiał nagle wyjechać w pilnych sprawach służbowych, Adaś absolutnie nie dał się nabrać. Wiedział swoje. Kiedy zostali sami w pokoju, zniecierpliwiony zasypał brata gradem pytań.

– Jak myślisz kiedy tato będzie mógł do nas wrócić? – Z wypiekami na twarzy niespokojnie wiercił się na łóżku. – Długo będą go szukać? Czy my też będziemy musieli się wynieść?

– Co ci przyszło do głowy? – zdziwił się Zbyszek. – Tato wróci, jak tylko pozalátwia swoje sprawy. Nikt go nie szuka, a my nie musimy się nigdzie wynosić.

– Akurat! Nie wciskaj mi kitu. Myślisz, że nie wiem, że tato jest działaczem Solidarności i musi się ukrywać.

– Wiesz, co myślę? Że lepiej dla ciebie będzie, jak przestaniesz sobie i innym zawracać głowę takimi wymysłami – odparł złowieszczco starszy brat.

Proszę bardzo, tobie mogę nie zawracać, myślał rozeźlony Adaś, ale nie zabronisz mi wierzyć, że tato jest kimś ważnym. Może nawet zostanie bohaterem, jak Kościuszko?



Już za moment, gdy natarczywe walenie do drzwi zakłóciło domowy spokój, chłopiec przekonał się, że racja stała po jego stronie. Spięta jak nigdy mama wolnym krokiem podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. Do środka wtargnęło trzech ubranych w czarne płaszcze mężczyzn. Ich maniery były tak odległe od ideału jak Ziemia od Księżyca. Bez słowa odepchnęli mamę i rozproszyli się po mieszkaniu niczym karaluchy. Przestraszony Adaś, wczepiony w spódnicę babci, spodziewał się najgorszego. Na jednym wojennym filmie widział raz, jak Niemcy zabierali z domu całą żydowską rodzinę. Na samą myśl przeszedł go dreszcz. Pamiętał, że to było okropne – krzyki i bicie. Najście agentów bezpieczeństwa, na szczęście, obyło się bez przymusowej eksmisji i rękoczynów. Siepacze przeszukali każde pomieszczenie i zorientowawszy się, że nie znaleźli tego, po którego przyszli, przystąpili do rutynowego przepytывania. Do przodu wysunął się zwalisty, jakby wyciosany z kamienia drab. Kanciasta szczęka i boksyerski nos absolutnie nie dodawały mu uroku.

– Czy tutaj zameldowany jest Tadeusz Majdan? – zapytał groźnie. – Syn Leokadii i Wiesława.

– Tak – odpowiedziała przerażona mama.

– Gdzie poszukiwany aktualnie przebywa?

– Wyjechał.

– Wyjechał? Dokąd?

– Do Wrocławia.

– W jakim celu?

– W sprawach zawodowych.

– Kiedy wraca?

– Za kilka dni. Ale o co chodzi? – drobna postać odważyła się zapytać.

– Dobrze wiecie, o co. – Zimny wzrok wbił się w przepytывaną. – Sprawdzimy wasze zeznania. Jeśli okaże się, że kłamiecie, wówczas tu jeszcze wrócimy.

Krótkim warknięciem rzucił komendę w stronę podobnych sobie sługusów reżimu i cała trójka opuściła mieszkanie. Po porannym zajściu mama postanowiła nie utrzymywać Adasia dłużej w niewiedzy. Przeprowadziła z nim zatem poważną rozmowę, mówiąc mu o rzeczach, które w większości już nie były dla niego tajemnicą. Poznane powody, dla których tato musiał ich opuścić, napawały go dumą, a nawet dodawały otuchy. Zwłaszcza wtedy, gdy dopadał go smutek lub tęsknota. Wówczas powtarzał sobie, że jest synem bojownika o wolność kraju i dzięki temu trzymał się dzielnie.

Kolejne dni grudnia upływały w umiarkowanym spokoju, chociaż atmosfera w mieszkaniu była napięta. Nikt z domowników wciąż nie wiedział, gdzie znajduje się głowa

rodziny i kiedy wróci. Adaś słyszał raz, jak mama szeptała do babci, że ciągle wrze i że Tadzik już kilka razy musiał zmieniać lokal. Najść i rewizji szczęśliwie więcej nie było, jednak od tamtego dnia pod kamienicą po drugiej stronie ulicy zaczął parkować samochód bezpieki.

\*\*\*

Kartki z kalendarza spadały jak jesienne liście. W powietrzu powoli wyczuwało się świąteczny nastrój. Zwłaszcza nagłówki gazet informujące, że statki z cytrusami już płyną i lada dzień zawitają do ojczyźnianych portów, jasno wskazywały, że zbliża się Boże Narodzenie. Święta w PRL-u, czyli odwieczny problem, jak zrobić coś z niczego. Większość produktów była reglamentowana na kartki i mimo stania w długich kolejkach nigdy nie miało się pewności, czy towaru aby starczy dla wszystkich. Dlatego też zdobycie chociażby kawałka polędwicy niejednokrotnie graniczyło z cudem. A zdarzało się czasami i tak, że puszka sardynek musiała zastąpić karpia. Kryzysową sytuację w kraju ratowały co roku owe tony pomarańczy z zaprzyjaźnionej Kuby. Kto tylko mógł, a raczej komu się udało, fundował sobie odrobinę luksusu na święta.

– Popatrz, Martuniu, jakie te pomarańcze w tym roku dojrzałe – babcia zwróciła się do mamy wypakowującej z papierowej torby przydziałowy kilogram owoców. – Nie to co ostatnio.

– Ostatnio przyplłynęły dużo wcześniej i dlatego były zielonkawe.

– Faktycznie, masz rację, że też tego nie zauważyłam. Ale dlaczego teraz są tak późno?

– Może po ostatnich wydarzeniach w Polsce Castro czekał, czy zamiast cytrusów nie będzie musiał podesłać generałowi do pomocy kubańskich komandosów – zasugerowała mama. – Kiedy po paru dniach okazało się, że Jaruzelski świetnie sobie radzi, Fidel zdecydował się na pomarańcze, które przez ten czas zdążyły dojrzeć.

– No właśnie, nic dobrego z tego nie wyniknie. Żeby Polak stawał przeciw Polakowi, toż to koniec świata. – Babcia załamała ręce.

– Co też mama? To dopiero początek! – wzburzyła się Marta. – Aby mogło powstać nowe, musi upaść stare. Doprowadzimy do tego, że tak się stanie. Może teraz przewaga jest po ich stronie, ale wierzę, że wkrótce zatańczymy na gruzach komuny!

– Martuniu, bój się Boga, takie rzeczy mówić. Jeszcze ktoś usłyszy.

– Poniosło mnie, przepraszam. Po prostu już sama nie wiem, jak to się skończy. – Rozpląkała się nagle. – Czasami nie daję rady, tak bardzo bym chciała, żeby Tadzik tu był.

– Już dobrze, uspokój się. Mnie też go bardzo brakuje. – Starsza pani objęła córkę ramieniem i przytuliła. – Ale musimy to wytrzymać i wytrzymamy.

– To będą pierwsze święta, których nie spędzimy wspólnie.

– Nie te, to inne. Pamiętam, jak twojego tatę zesłali do łagrów. Nie poddałam się. Na jego powrót czekałam dobrych kilka lat. Ale się doczekałam.

– Najgorsza jest ta niepewność. Gdzie Tadzik teraz jest? Jak długo to jeszcze potrwa? Co będzie dalej?

– Będzie dobrze. Trzeba w to wierzyć i modlić się o to. Co dzień proszę Boga, żeby ludziom rozum wrócił i żeby to wszystko dobrze się skończyło.

– Oby tak było.

– Ale, ale... – Babcia raptem złapała się z głowę. – Całkiem o czymś zapomniałam.

– Co takiego?

– Chodzi właśnie o pomarańcze. Pojutrze Wigilia, a ja obiecałam Helence przynieść kilka sztuk. Wiesz, ta choroba prawie całkiem przykuła ją do łóżka.

– No właśnie, jak ona się teraz czuje?

– Jest bardzo słaba, ledwo się rusza i w ogóle nie wychodzi z domu. Na szczęście ma opiekunkę, która odwiedza ją parę razy w tygodniu. Pierwszego dnia świąt planuję złożyć jej dłuższą wizytę.

Staruszka wybrała trzy dorodne owoce i włożyła je do siatki na zakupy. Stanęła w korytarzu, po czym sięgnęła po płaszcz.

– Pójdę, póki nie ma godziny milicyjnej.

– Niech mama poczeka – powstrzymała ją Marta, spoglądając na kuchenny zegar. – Do godziny milicyjnej jest jeszcze trochę czasu. Adaś je zanieś. To przecież niedaleko. Uwinie się raz, dwa.

\*\*\*

Tylko dwa przystanki dzieliły go od ulicy Akacjowej, gdzie mieszkała przyjaciółka babci. Adaś zawsze chętnie chodził do niej w odwiedzinach. Oprócz pysznej szarlotki, której kawałek zawsze się dla niego znalazł, kusił go przede wszystkim wojskowe pamiątki po zmarłym mężu starszej pani, oficerze kawalerii. Wszelkiego rodzaju drobiazgi z czasów wojny i fotografie z tamtego okresu rozbudzały chłopięcą wyobraźnię.

Największa atrakcja w domu pani Heleny znajdowała się w salonie. Na ścianie wisiały skrzyżowane dwie ułańskie szable. Kiedyś staruszka zdjęła jedną z nich i pozwoliła mu ją potrzymać. To było coś niesamowitego. Poczul się wtedy jak prawdziwy kawalerzysta.

Tramwaj zatrzymał się ze zgrzytem hamulców, ośmiolatek wyskoczył na zewnątrz i rozejrzał się na boki. Porozstawiane posterunki już nie napawały go lękiem, tak jak w pierwszych dniach stanu wojennego. Teraz raczej z ciekawością przyglądał się niewiele starszym od jego brata, skupionym wokół koksowników żołnierzom.

Do przejścia pozostał mu jeszcze niewielki odcinek ulicy. Dom znajdował się tuż za słabo oświetlonym skrzyżowaniem. W ciemnościach i lekkiej zadymce, która właśnie się zerwała, szukanie przejścia dla pieszych nie miało sensu. Zasypana ulica skrupulatnie chowała pod śniegiem miejsce jej przepisowego przekraczania. Adaś, jak go uczono, spojrzął szybko w obie strony i wkroczył na jezdnię.

W jednej chwili zrobiło się jasno jak w dzień, w około rozlał się snop żółtego światła. Zza zakrętu wyskoczył rozpędzony pojazd. Niebieska nyska nie musiała dostosowywać się do ograniczeń prędkości, jej bok przecinał biały napis MILICJA. Dwa jaskrawe reflektory zajrzały w szeroko otwarte przerażeniem oczy chłopca. Moment, w którym wyłowiły jego sylwetkę z ciemności był za krótki, by kierowca zdążył wyhamować bądź ją wyminąć. Głuchy huk rozniósł się po ulicy. Furgonetka przetoczyła się po ciele dziecka, po czym zatrzymała. Dookoła, wraz z grubymi płatkami śniegu, zaległa ciężka cisza. Czas stanął w miejscu.

\*\*\*

Ciemne wnętrze milicyjnej nyski rozproszyło mętne światło podsufitowej lampki.

– Niech ktoś sprawdzi, co się stało – pierwszy przemówił szpakowaty mężczyzna w brązowej jesionce.

Drzwi szoferki otworzyły się od strony pasażera i na zewnątrz wyskoczył milicjant w stopniu sierżanta. Kuląc się przed zacinającym śniegiem, pobiegł na tył samochodu. Kilka metrów dalej ktoś nieruchomo leżał na jezdni.

– Melduję, panie kapitanie, że potrąciliśmy dziecko. – Mundurowy po chwili wrócił do kabiny.

– Kurwa jasna mać! – zaklął wściekle przełożony. – Akurat teraz.

– Żyje? – zapytał pobladły kierowca. Dłonie trzymał kurczowo zaciśnięte na kierownicy.



– Wygląda na to, że nie.  
– Jezus Maria – wyszeptał. – Przejechałem dziecko.  
– To nie wasza wina, Sobczuk. Dzieciak wszedł wam prosto pod koła.  
– Zabiłem je! – Tylko chwila dzieliła milicjanta od ataku hysterii.  
– Natychmiast się uspokójkcie! To rozkaz!  
– Co robimy? – zapytał sierżant.  
– Powinniśmy wezwać pogotowie i radiowóz do oględzin – odezwał się z tyłu milczący dotąd pasażer. – Będziemy musieli na nich poczekać.

Siedzący obok cywil nie podzielał zdania swojego młodszego kolegi.

– Mowy nie ma. Nikogo nie zawiadamiamy i na nikogo nie czekamy. Musimy jechać dalej.

– Ale, panie kapitanie...

– Nie ma żadnego „ale”. Nie mamy czasu. To jest nasza niepowtarzalna szansa na ujęcie jednego z najgroźniejszych przestępców w regionie. Jeśli otrzymane przed chwilą informacje o miejscu jego pobytu są prawdziwe, to jeszcze dziś będziemy świętować zwycięstwo.

– Ale jakim kosztem – zaprotestował milicjant. – Tam leży martwe dziecko.

– Ot, nieszczęśliwy wypadek, jakich jest wiele, podporuczniku Żyglu. Nikt nie musi wiedzieć o naszym udziale. Zostawimy je tutaj i anonimowo zgłosimy o tym incydencie.

– To nieludzkie.

– Dosyć! – ryknął kapitan. – Stulcie pysk! Zrobicie to, co ja każę!

– Napiszę na pana raport.

– Śmiało piszcie, tylko zastanówcie się, gdzie potem znajdziecie jakąkolwiek pracę. Proponuję wam zamknąć gębę na kłódkę i niech to zostanie naszą słodką tajemnicą. To też się tyczy was dwóch – zwrócił się do pozostałych funkcjonariuszy.

Podporucznik zamilkł. Niestety jego zwierzchnik miał rację. Kariera młodego oficera milicji była w jego rękach.

– Sierzancie, przenieście zwłoki na chodnik, niech nie blokują przejazdu – wydał rozkaz najstarszy stopniem. – A pan, podporuczniku, niech mu pomoże.

Milicjanci bez słowa wyszli z furgonetki, minęli rozsypane pomarańcze i pochylili się nad ciałem. Chłopiec ciągle oddychał. Przychodziło mu to z ogromnym trudem, ale nadal żył i był przytomny.

Kapitan Korzeń odpalał właśnie *Carmena*, gdy boczne drzwi nyski otworzyły się z hałasem. Na zewnątrz stał mundurowy z potrąconym dzieckiem na rękach. Tuż obok Żygło zdejmował z siebie skórzaną kurtkę.

– Do cholery, co tu się dzieje?! – wybuchnął zwierzchnik, wypluwając papierosa. – Przecież jasno powiedziałem...

– On żyje – przerwał podporucznik, po czym zwrócił się sierżanta. – Połóżcie go tutaj. Tylko delikatnie.

Na podłodze nyski rozłożył kurtkę i pomógł podwładnemu ułożyć na niej chłopca. Poblądła twarz malca wykrzywiona była w grymasie bólu. Z kącika ust, które chciwie łapały powietrze, spływała cienka strużka krwi. Przygaszonym wzrokiem błędził po obcych, nie wzbudzających zaufania twarzach.

– Jest ciężko ranny – odezwał się podporucznik. – Musimy zawieźć go do szpitala.

– Powiedziałem już, że nie zmieniamy planów – nie odpuszczał kapitan.

– Tak nie można. On umrze.

– Co nie można? Wszystko można – powiedział szyderczo. – Wy, podporuczniku, chyba nadal nie rozumiecie, o co toczy się gra? Pochwycenie Tadeusza Majdana, człowieka, którego od dziesięciu dni szuka całą bezpieką, jest w tej chwili najważniejsze. Towarzysze już mają dość jego bandyckich, antyrządowych występków. Jeśli go złapiemy, to awans mamy w kieszeni. Pomyślcie, nie chcielibyście wspiąć się odrobinę wyżej?

Znowu zapadła grobowa cisza. Młody podporucznik wiedział, że niewzruszony przełożony nie zmieni swojego zdania.

– Będzie się pan za to smażył w piekle.

– Razem będziemy – zaśmiał się dowódca. – Tylko najpierw trzeba w nie uwierzyć. No, dość tego pieprzenia. Sierzancie!

– Ta jest, panie kapitanie?!

– Zastąpcie Sobczuka za kierownicą. Jedziemy po tego wywrotowca.

– Ta jest!

Milicjant zaszalutował do daszka niebieskiej czapki. Żywo doskoczył do kabiny nyski, przesunął roztrzęsionego kierowcę na miejsce pasażera, po czym zajął jego fotel.

Bezwzględny kapitan przelotnie spojrzął na małego ofiarę wypadku.

– Jeśli akcja się powiedzie – odezwał się – przez radio zawiadomimy pogotowie, żeby podesłali nam na miejsce karetkę po chłopca. Nie ma na co dłużej czekać. Na Zieloną 6 do kryjówki Majdana. Gazu!

\*\*\*

Światła za oknem migotały coraz szybciej. Wszystko wkoło zaczęło nagle wirować jak na karuzeli. Adaś bezwiednie odpływał w błogostan. Pojedyncze słowa rozbrzmiewały pustym echem w jego głowie. Tato... Kryjówka... Milicja...

\*\*\*

Suchy trzask pękającej gałęzi natychmiast wyrwał go z półsnu. Zwinnie niczym pantera opuścił łóżko i doskoczył do zaciemnionego okna. Uchylił zasłonę, po czym ukradkiem spojrzął na chodnik i ulicę. Wokoło nie było żywego ducha. Jeszcze raz czujnym wzrokiem zlustrował okolice. Dopiero teraz w nikłym świetle ulicznej latarni dostrzegł przyczynę hałasu. Gałąź topoli, która nie wytrzymała pod naporem śniegu, leżała odłamana tuż obok drzewa. Fałszywy alarm. Odetchnął z ulgą i sięgnął po papierosy. Odpalił jednego z nich, głęboko się zaciągając. Z popielniczką w ręku usiadł na skraju łóżka.

Który to już dzień ucieczki, zamyślił się. Wychodziło na to, że dziesiąty i kto wie, jak długo to jeszcze potrwa? Tydzień, miesiąc, rok, kalkulował. Tylko czy da się tyle wytrzymać? Jak na razie wielka niewiadoma wisiała nad jego przyszłością. Jedyne, co było pewne, to stres, który towarzyszył mu od pewnego czasu. Jakże tu nie żyć w napięciu, dumął, gdy radio i telewizja na okrągło nadają o nim komunikaty, przedstawiając go jako niebezpiecznego kryminalistę i apelują do narodu o pomoc w jego ujęciu.

Po kilku dniach poza domem wystarczająco dosyć miał ukrywania się przed władzą. W każdej kryjówce był zmuszony zachowywać się bezszelestnie, tak jakby go tam w ogóle nie było. Często, kiedy zapadał mrok, nie mógł palić światła i sam musiał siedzieć w ciemnościach. Wszystko to po to, by nie wzbudzić podejrzeń sąsiadów.

Świadomość niebezpiecznych czasów sprawiła, że stał się wyczulony na każdą drobnostkę. Aż do przesady. Notorycznie nasłuchiwał i bezustannie zerkał na boki. Stał się kłębkim nerwów. Prawie w ogóle nie spał, jadał też niewiele. Przerzucany z miejsca na miejsce, był już zmęczony ciągłymi zmianami adresu. Nie do zniesienia było też to permanentne czekanie na nie wiadomo co. Czy to będzie kolejne przeniesienie do nowego lokum, czy może w końcu najście milicji i zatrzymanie go? Momentami czuł się jak zaszczute zwierzę. Teraz jak nigdy potrzebował otuchy i wsparcia.

Czasem myślał, że dłużej tego nie wytrzyma. Wówczas do głowy przychodziły mu nierozsądne myśli. Zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej, gdyby go wreszcie złapali? W

końcu przestałby czekać i bać się nieznanego. Może mógłby zobaczyć rodzinę, za którą już strasznie tęsknił. Co prawda internowani rzadko mają prawo do widzeń, ale zawsze lepsze to niż ta cholerna niewiedza. Bez przerwy przecież zastanawiał się, co w domu? Jak się mają chłopcy? Jak żona i teściowa? Marta nie poznałaby go teraz, odkąd schudł i przestał się golić postarzał się o parę lat.

Niespodziewany blask, skrzący się tuż za matową szybą drzwi pokoju, wyrwał go z rozmyślań. Nikłe światło, jak gdyby z latarki, pulsowało po drugiej stronie w korytarzu. Czyżby wrócił gospodarz, pan Stanisław? Właściciel parterowego domku przy Zielonej 6 już od dwóch dni nadstawiał karku, udzielając schronienia ważnemu działaczowi opozycji.

– Panie Stanisławie, to pan? – zapytał przyciszonym głosem.

Odpowiedziała mu głucha cisza. A co, jeśli to milicja? Strwożył się. Trzeba uciekać. Tylko którędy? Szybko spojrzał w kierunku okna. Powinno się udać. Chociaż dom pewnie jest obstawiony. Myśli błyskawicznie przelatywały mu przez głowę. A może warto to skończyć i się poddać? Zawahał się przez moment. Podniósł się z łóżka i podszedł do drzwi. Czujnym uchem próbował wyłowić jakieś dźwięki. Po drugiej stronie słychać było jedynie tykanie wiszącego na ścianie zegara z kukułką. Trochę za cicho jak na funkcjonariuszy MO, pomyślał. A co tam, niech się dzieje wola nieba. Położył dłoń na klamce i nacisnął ją – drzwi stanęły otworem. Oczekiwane spotkanie twarzą w twarz z przedstawicielami władzy nie nastąpiło, ujrzał bowiem coś, co wprawiło go w niemałe zdumienie. Nie mógł wierzyć własnym oczom.

W połowie korytarza stał chłopiec. W ciemnościach nie widział go zbyt wyraźnie, jednak otaczająca dziecko jasna łuna pozwalała mu rozpoznać, że to jego syn. Nikt inny jak on nie miał takiej czerwonej narciarskiej kurtki przywiezionej z Niemiec. A do tego ta kolorowa czapka z pomponem zrobiona na drutach przez babcię.

– Adaś? – zapytał i zrobił krok w jego stronę. – Skąd tu się wziąłeś, synku?

W momencie, gdy się ruszył, chłopiec zaśmiał się i rzucił do ucieczki. Tylko na sekundę w głowie Tadeusza Majdana rozbłysła myśl, czy aby nie są to początki oblędu, ale zignorował ją i rzucił się w pogoń za synem.

– Adasiu, nie uciekaj! Poczekaj na mnie!

Korytarz skręcał w lewo i zahaczając o kuchnię, prowadził prosto do sieni. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Chłopca nigdzie nie było widać. Majdan wybiegł przed dom i zaczął szukać go wzrokiem. Ledwo rozproszony światłem latarni mrok oraz prószący śnieg nie ułatwiały poszukiwań. W amoku wpadł na ulicę i jak opętany rozglądał się naokoło.

Nagle jest! Dostrzegł ośmiolatka. Stał na środku jezdni, kilkanaście metrów dalej i machał do niego. Mężczyzna ruszył w jego stronę.

– Syneczku, proszę cię, nie ruszaj się – przemówił, podchodząc bliżej.

I chociaż Adaś nigdy nie był krnąbrnym dzieckiem, to tym razem nie posłuchał swojego taty. Odwrócił się na pięcie i ponownie zaczął uciekać w górę ulicy, zanosząc się przy tym śmiechem. Rodzic bez zastanowienia ruszył za swoim dzieckiem. Wczepiony wzrokiem w oddalającą się czerwoną kurtkę, pokonywał metr za metrem. Po kolejnych kilkudziesięciu historia powtórzyła się, Adaś znów stanął w miejscu i z wesołą miną dłonią przywoływał do siebie tatę. Ten zaś zatrzymał się w pewnej odległości od malca i ciężko łąpał oddech. Gdy już się uspokoił, zrobił parę spokojnych kroków do przodu. Starł się nie śpieszyć, nie chciał znowu go spłoszyć. Chłopiec tym razem nie szykował się do ucieczki, stał w milczeniu i kiwał na niego. Poświata nadal go nie opuszczała, spowijając całego świetlistym całunem.

– Zostań tam – powiedział do syna.

Tym razem ośmiolatek spełnił ojcowskie polecenie. Nawet nie drgnął. Majdan zbliżał się powoli, był już dostatecznie blisko, prawie na wyciągnięcie ręki. Już czuł, jak dotyka jego drobnej twarzyczki, jak bierze w ramiona i ściska. Właśnie pochylał się, by przytulić go i powiedzieć, jak bardzo za nim tęsknił, gdy zamiast na chłopca trafił w pustkę. Jego zdumienie było niezwykłe. W jednym momencie wszystko nagle się skończyło. Adaś znikł bez słowa, jakby rozpląnął się w powietrzu. Jego tato zachwiał się przez chwilę, po czym ciężko padł na kolana. Zdezorientowany, z otwartymi ustami wodził wzrokiem na boki.

– Syneczku, pokaż się! – zawołał. – Gdzie jesteś?!

Żadnego odzewu. Nic, tylko mrok i śnieg.

Jezu, co tu się dzieje? Otrząsnął się. Momentalnie odzyskał orientację i jasno zaczął oceniać całe zajście. Do tej pory, zaślepiony, kompletnie zignorował fakt, że wychodząc na zewnątrz, ryzykuje zdemaskowanie się. Przez ten stres chyba wariuję i mam halucynacje, pomyślał, podnosząc się. Zauważył, że za daleko odszedł od kryjówki. Na szczęście peryferie miasta, na których przyszło mu się ukrywać, były o tej porze wyludnione. Podobnie samochody stanowiły w tej okolicy rzadkość, ruch był tu praktycznie żaden.

Dlatego też kiedy dwa strumienie światła niespodzianie wylały się na jezdnię, spłoszony opozycjonista wcisnął się między wystawione przed najbliższym domem kubły na śmieci. Zdążył schować się w chwili, gdy samochód, ślizgając się na pokrytej lodem nawierzchni, przeleciał tuż obok. W ostatniej sekundzie kątem oka zarejestrował kształt milicyjnej „suki”.

Grudki śniegu wystrzeliwały w powietrze spod kół pędzącego pojazdu. Furgonetka zjechała w dół ulicy i zatrzymała się niżej, tuż przed domem pana Stanisława. Z jej wnętrza wysiadło czterech mężczyzn, jeden z nich, żywo gestykulując, komenderował resztą. Grupka rozproszyła się w oka mgnieniu. Dwóch przeskoczyło ogrodzenie i skierowało na tyły budynku, zaś pozostała para, skradając się, podeszła od frontu.

Kryjówka między metalowymi koszami po drugiej stronie ulicy była idealnym punktem obserwacyjnym. Tadeusz Majdan widział dokładnie, co działo się na posesji przy Zielonej 6. Stało się, pomyślał. Serce waliło mu jak oszalałe. Przyjechali po mnie! Widok funkcjonariuszy przywołał pierwotny instynkt przetrwania. Poszukiwany działacz Solidarności już nie myślał, czy oddać się w ręce milicji, tylko zrobił to, co robi każda istota, której życie jest w niebezpieczeństwie. Salwował się ucieczką. Gdy przedstawiciele władzy zniknęli we wnętrzu domu, cicho wydostał się spomiędzy śmietników i ruszył pędem wzdłuż jezdni. Przy najbliższej przecznicy skręcił w prawo, minął kilka zabudowań i wypadł w płataninę wąskich uliczek. Padający śnieg oblepił go całego aż po czubek głowy. Ubranie przemokło i przykleiło do ciała, lecz zdesperowany nie zważał na to, tylko wciąż biegł przed siebie. Jedna myśl napędzała go do przodu. Uciekać stąd jak najdalej!

\*\*\*

Z milicyjnej notatki:

Dnia 24 grudnia 1981 roku o godzinie 7:43 w okolicach Opola z Odry wyłowiono zwłoki dziecka. Chłopiec w przedziale wiekowym od siedmiu do dziesięciu lat. Włosy koloru ciemny blond, znaków szczególnych brak. Ubrany w czerwoną kurtkę narciarską, produkcji niemieckiej oraz granatowe spodnie typu „dżinsy”. Na nogach obuwie zimowe marki Relax. Z obrażeń wynika, że...

rys. Dawid Boldys



# LATAJĄCY OLENDER

Dagmara Adwentowska

*14. maja 1809 r.*

Pamiętam ich, jakby bitwa, to, co przed nią i po niej, wydarzyła się wczoraj. W istocie, porywy szalonej odwagi i zgoda na najwyższe ofiary odciskają się w duszy śladem tak wyraźnym i trwałym, że nawet po latach, pod przymkniętymi powiekami starca, malują się te wspomnienia obfite w detale, żywe i barwne. Jakbym wczoraj usłyszał, iż siły arcyksięcia Ferdynanda d'Este maszerujące spod Warszawy zagarnęły Kępę Tokarską, jedną z wysp wiślanych pod Płockiem, i że tutaj właśnie właśnie rzekę będą przekraczać, by dalej iść ku

Prusom, wciągnąć je w wojnę przeciwko Francji. Raniony zostałem jeszcze w czasie walk o stolicę, nim padł rozkaz wycofania się. Żołnierzy podobnych sobie miałem: wyczerpanych, osłabionych, pościąganych z pryczy w tymczasowym płockim lazarecie rekonwalescentów z głowami ciężkimi od koron z bandażu. Niektórzy bardziej do widm niż do żywych ludzi byli podobni, a i w oczach ich płonął ogień jakowyś nieziemski, moc, której nie mierzy się siłą ciała.

Jednakże i nas zatrzymało to samo, co początkowo wstrzymało Austriaków. Wisła. Toczyła ospałe, mętne fale, a drugi brzeg zdawał się odleglejszy niż Francja i Napoleon, od którego próżno teraz było wyglądać pomocy. Wyspy wiślane były poza naszym zasięgiem, zbyt naiwnie liczyłem, że na miejscu, w nadrzecznych wioskach, znajdziemy potrzebne łodzie czy nawet barkę. Czekałem więc, nie wiedzieć na co... chyba aż Bóg Wszechmogący każe się Wiśle rozstąpić przed moim oddziałem jak Morzu Czerwonemu przed Izraelitami prowadzonymi przez Mojżesza. Lub przynajmniej objawi mi drogę jakąś, rozwiązanie, sposób na wyjście z impasu. I ziściło mi się, choć do dziś nie wiem, kto odpowiedział na me modlitwy w szemrzącym ulewą olsie pod Płockiem. Czy to Bóg był, czy raczej Szatan?

Przy płynęli tuż przed zmierzchem, jeszcze bardziej szarym przez gęste, szemrzące ściany deszczu. Dwie łodzie dobiły do pomostu ukrytego w tatarakach, wiosła zostały schowane, a cumy zadziergnięto szybko i z wprawą znamionującą ludzi rzeki. Kroki przybyłych zadudniły mocno po deskach pomostu. Wszyscy jednak byli odziani; ciemne, wełniane spodnie z nogawkami w cholewy wysokich butów powpuszczali, perkalowe koszule ozdobili kolorowymi chustkami zawiązanymi na szyi, a dla ochrony przede słońcem na granatowe surduty narzucili płaszcze o wykładanych na wierzch charakterystycznych kołnierzach.

— Olendrzy — mruknął z niechęcią Hieronim Skowroński, mój adiutant. — Niemieckie nasienie, powinniśmy ich pognać precz. To niemieccy osadnicy Austriakom statków użyczyli do abordażu na Kępę Tokarską...

Uciszyłem go gwałtownym gestem. Tamci opuścili już pomost, podążali pewnym krokiem ku drewnianym budynkom nadwiślańskiego tartaku, w których ukryłem mój oddział. Na przedzie postępowało dwóch siwych, ogorzałych mężów, zapewne należących do starszyny którejś z okolicznych olenderskich osad. Mimo wieku trzymali się dumnie i prosto, a odziali się odświętnie jak na niedzielne nabożeństwo. Tedy może nie odmówią wsparcia przeciw austriackiemu zaborcy. Zresztą, choćby i nie wspierali, niechaj łodzi użyczą i nie przeszkadzają.



— Michaël Malmin — przedstawił się jeden z nich. Mówił z ciężkim, podobnym do niemieckiego akcentem. Z ronda czarnego, filcowego kapelusza, którego przede mną uchylił, spłynęła struga wody. — Starszy nad Kampe... wy mówicie: Kępą Ośnicką. Pan kapitan ułanów Łagowski?

— Jam to — poświadczyłem, zdziwiony cokolwiek, skąd miano moje zna.

— Waści ranny. — Wyblakłe oczy starca omiotły mnie od stóp do głów, powróciły do prawej ręki w temblaku zawieszanej, najbardziej widocznego z obrażeń, jakie odniosłem na przedpolach Warszawy.

— W Płocku do sił powracałem i odzyskałem ich dość, by do boju znów stanąć — uciąłem szorstko dalsze dywagacje na temat mego stanu. Choć prawda była taka, że stałem tam przed nimi siłą własnej woli jeno trzymany. Zbyt wiele krwi straciłem, by tak krótki wywczas wystarczył mi do pełnego powrotu do zdrowia. Wziąłem głęboki oddech. — W imieniu księcia Józefa Poniatowskiego, naczelnika siły zbrojnej Księstwa Warszawskiego, oczekuję, że...

— Pomożemy — skwitował krótko Malmin. — Taubowie i Rynasowie z Tokarskiej Kępy także.

Zamrugłem zaskoczony. Szykowałem się na rozmowy, negocjacje, bój na argumenty i apele do przyzwoitości, miłości i wdzięczności do ojczyzny, która ich karmiła, nawet jeśli korzenie ich w innej tkwiły ziemi.

— Za dwie godziny padać przestanie i opar się znad rzeki podniesie — ciągnął Malmin z pewnością tak wielką, że aż dziwną. — Mamy kilka łodzi jeno, barkę naszą w górze rzeki ukryliśmy na trzciniowisku, by w ręce ichnich patroli nie wpadła. Gotowi bądźcie, panie kapitanie. Dziś w nocy przeprowić musimy wszystkich waszych ludzi.

— Czemuż to? — zapytałem, jeszcze nie dowierzając temu bezwarunkowemu poparciu, szukałem kłamstwa w jasnych oczach Malmina, wyrachowania w jego słowach, zdrady w planach się dopatrywałem.

— Bo Austriaki szykują się do przerzucania przeze kępy nasze mostu pływającego, po którym większe ich siły Wisłę sforsują. Bo jeszcze jeńców z waszego oddziałku, co na Tokarskiej stał, nie rozstrzelali. Lecz bardziej... Bo dowodzący tutaj generał Geringer podkomendnych opuścił i do Gąbina pojechał sobie — objaśnił spokojnie i zimno starszy Olender. — Bo mgła dziś, nie jutro się podniesie. Tej nocy diabeł nam sprzyja.

— Bóg chyba? — spojrzałem wówczas koso na Malmina, a ten uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Pan kapitan wszystkich sojuszników potrzebuje, których pozyskać może. My także. To nasze kępy. Jam był jednym z tych, co się na pierwszej umowie dzierżawy wysp podpisali i powiadam panu: mojego przybłędom nie popuszczę.

W jasnych oczach Olendra błysnęły okruchy gniewu i coś jeszcze – prócz zrozumiałej i jakże ludzkiej zawziętości. Coś obcego, przebiegłego, zimnego i złego, a jednocześnie znużonego. Widziałem to, a jednak zignorowałem. Jak i to, że inni ze starszyny olenderskiej osady na wyspie popatrywali na Malmina ze strachem i żaden prócz niego nie ozwał się do mnie choćby słowem. Zbyt mi zależało na wsparciu, którego Michaël Malmin w ich wszystkich imieniu poprzysiągł udzielić przeciwko austriackim żołnierzom. Toteż wszystko, co stało się później, i moje obciąża sumienie. Przyjmuję to brzemień bez skargi, tak jak bez fałszywej skromności wypinałem później pierś, do której przypinano mi ordery za męstwo w boju. Za tę samą noc należy mi się sprawiedliwie zarówno hołd i żołnierska sława, jak i potępienie.

Wszystko wydarzyło się podle słów starego Olendra. Godzinę po tym, jak tamci powrócili na Kępę Ośnicką, by przygotować wszystko na nasze potajemne przybycie, deszcz wpięrew osłabł, by ustać po chwili zupełnie. Dwa pacierze później nad dwiema wyspami wiślanymi opar snuć się począł, zrazu rzadki jak pasma dymu z fajki, plółł się w warkocze, gęstniał jak mleko. Nisko przy wodzie się trzymał i narastał, aż przysłonił rozgwieżdżone niebo, lecz początkowo – pewny jestem tego jak własnego imienia – dobywał się z północnej części Kępy Ośnickiej, prządlł się nad jednym z gospodarstw.

We mgle i cisi jak mgła wsiedliśmy w łodzie, które przyplłynęły po nas z wyspy. Nie padło ni jedno niepotrzebne słowo. Skryci w białym całunie przed oczami Austriaków, prześlizgnęliśmy się po wiślanych falach tuż obok nieświadomych niczego wart. Gdy stanęliśmy na Kępie Ośnickiej, opar był tak gęsty, że nie widziałem, dokąd nas prowadzi młody Olender. Z mgły raz po raz dobywały się niewyraźne kształty – a to kapliczka, z krzyżem kamiennym, ale na podobieństwo drewnianych polan rzeźbionym, a to dom, z wysuniętym podcieniem lub długi, tak długi, że koniec ginął w mlecznych oparach. Między gospodarstwami, które mijaliśmy w cichym marszu ciągnęły się nasypy grobli, służących też chyba za drogi między domostwami osady, obsadzonymi gęsto starymi wierzbami i oplecionymi płotami z witek wierzbowych. Czuję zapach rzeki i – na ile zamknięty w pudełku z mgły byłem w stanie zorientować się o swym położeniu – zmierzaliśmy na północ.

Gospodarstwo było zaniedbane, co mnie uderzyło, gdyż olenderscy osadnicy słynęli z zamięłowania do porządku. Co dziwne – w sieni domu, do którego nas wprowadzono, stały zakryte dwa skopki na mleko, lecz nie słysząc było zwierząt ani nie czuło się ich woni...

a wiedziałem, że bydło i konie pod jednym dachem w takich domach żyli, ścianą jeno rozdzieleni. Za szerokim stołem z wiekowej dębiny w zatłoczonej kuchni czekał już na mnie Malmin. I inni z osady się tu zebrali, lecz tak jak pierwej – wszyscy czekali z jakimś lękiem wypisanym na obliczach, aż starzec odezwie się pierwszy.

— Tedy jesteście, kapitanie Łagowski.

— Tedy jestem — potwierdziłem i sam się zdziwiłem, jak zduszony był mój głos. Jakby mgła zalepiła mi gardło.

— Ludzi pięć setek zostawił Geringer — rzekł na to Malmin ospale i mrugnął pomału. Pomarszczone, opuchnięte powieki przykryły na moment jasne, przenikliwe oczy. — Dwie armaty. Na całej Tokarskiej płoną ogniska, lecz o to się pan turbować nie musi. W odpowiedniej chwili zagasną.

Towarzysze Olendra pokiwali głowami, ale w ich postawie było coś dziwnego. Uciekali oczami przed moim spojrzeniem, a ich twarze były bielsze niż mgła na zewnątrz.

— Jakim sposobem? — zaniepokoiłem się i zacząłem naciskać.

— Ludzie moi ugaszą ogień — objaśnił niewzruszenie starzec i nie miałem powodów, by wziąć jego słowa za łoż. Zresztą, wielce chciałem uwierzyć. Pozostawał jednak jeden ważki problem.

— Wisła nas od Austriaków oddziela. Może twoi ludzie chodzą po wodzie, panie Malmin, moi sztuki tej nie posiadli.

Olender zaśmiał się chrypliwie i nieprzyjemnie, złożył brodę na pięściach rąk wspartych o stół.

— Oddziela, bośmy chcieli, by tamci myśleli, że oddziela. Tokarska i Ośnicka czasem są jedną wyspą, czasem dwiema. Zależy, jak wysoko woda się podniosła. W tym roku przyszły wielkie roztopy, zalało nas i odgrodziło od Tokarskiej, lecz jest przejście, gdzie się wyżej kolan nie zamoczycie. Nawet wam się za cholewy oficerek nie przeleje. Nasi poprowadzą, przodem przeze wodę pójda.

Reszta Olendrów pokiwała głowami. Najwyraźniej plan ataku uzgodnili przed moim nadejściem... lecz to oni znali teren, nie ja. Musiałem i chciałem im zaufać. Jemu – Malminowi, bo choć mienił się tylko jednym ze starszyny, zdawało się, że od niego zależało tu wszystko i wszyscy posłuch dawali jego słowom.

— Pan, mości Malmin, z nami też pójdzie? — spytałem, bacznie przyglądając się jego twarzy.

Zaśmiał się znowu, krótko i gardłowo, i zaprzeczył znużonym ruchem głowy.

— Z rzeki atak przypuszczę, mówiłem, barkę ukrytą mamy. Weźmiemy ich w kleszcze. — Rozczapierzył palce sękatych dłoni i złożył je gwałtownie razem.

To był dobry plan. Nie miałem co do niego uwag jako wojskowy, tylko gdzieś z tyłu głowy coś szeptało ostrzegawczo, że lepiej by było, gdybym z władczyim i dziwnym starcem nie miał niczego wspólnego. Zimny rozsądek kazał jednak wyśmiać mi irracjonalne obawy własnej intuicji, a grzeczność zawrócić do domostwa Malmina, gdy przewodnik już nas z niego po wszelkich ustaleniach wyprowadził, by powieść ku płyciźnie między wyspami. Zapomniałem starcowi podziękować, a wszak zginąć podczas odbijania Kępy Tokarskiej mógł... jak i ja.

Już przed domem tknęło mnie, że mgła tu gęstsza się zdaje niż kędy indziej i opary dobywały się z sieni. Ostrożnie zerknąłem do środka, górną połowę drzwi uchylając. Dwa skopki ujrzałem, z których białe kłęby się sączyły... Wszedłem. Nachyliłem się nad cebrzykami. Nie mleka ani śmietany były pełne, lecz zwykłej wody, wiślanej, sądząc po woni – i ta woda falowała lekko, jej powierzchnia drgała i rodziła mgłę. Cofnąć się chciałem, odejść, lecz postyszałem rozmowę. Malmin nie był sam.

— My nierychliwi, ale sprawiedliwi — mówił jakiś głos, ni męski, ni kobiecy, w języku mi obcym, a być może wszystkich językach świata. Choć słowa nieznane mi były, rozumiałem sens doskonale, jakby mi ktoś go przez lejek wprost do głowy wlewał. Malmin burknął coś cicho i zdaje się, że obelżywie, a jego dyskutant zaśmiał się srebrzyście.

— Och, nie powiem, że nie było to sprytne, ta ucieczka z otwartych mór, unikanie czarostwa, osiedlenie się na tej wysepce wśród bogobojnych ziomków, co się przed, po i w trakcie każdej czynności modlą z oddaniem, czas swego żywota na tym padole dzieląc między studiowanie ewangelij, suszenie owoców, wyplatanie koszy i bycie porządnymi ludźmi, w ogóle i w szczególności. Niechaj mnie piekło pochłonie, ale się tu musiałeś nudzić serdecznie, Van der Decken! — Obcy zaśmiał się znowu. — Przyznaj się, żeś mnie ze znużenia wezwał, monotonią pobożnej codzienności struty, marazmem zwyczajności! Tyś do wielkich rzeczy przeznaczony!

— Nie kadź mi — burknął starzec. — Statek oddawaj.

— Panie kapitanie... najpierw nam uciekasz spod kurateli, a teraz dobytka żadasz, któryś, uciekając, pogubił?

— Wróć. Jeny na tę noc jedną statek mi oddaj. Jam człek honoru i słowa dotrzymuję. Nikt nie wie tego lepiej niż ty...

— Prawda li to. Wierny byłeś wielce – do czasu ucieczki. Założmy, że w dobrą wolę uwierzył. Jak, twoim zdaniem, mam podprowadzić ci żaglowiec na tym strumyczku? Moje możliwości kończą się tam, gdzie zdrowy rozsądek. To ten z góry gustuje w cudach.

— Dobrze... statek mi niepotrzebny. Mam barkę. Daj mi załogę.

— Daj, daj, daj... Z pustego i Salomon nie nalał. Zaciąg poczyń, a ja zrobię, co do mnie należy.

Ciekawość zwyciężyła. Zerknąłem szybko przez szparę do kuchni. Nie ujrzałem tajemniczego rozmówcy Malmina. Jenó cień na ścianie – szczupłą, długą czaszkę z dwoma zagiętymi ku sobie rogami.

Kilku następnych chwil nie pamiętam. Wypaść musiałem z gospodarstwa starego Olendra i rzucić się na oślep przez mgłę za mým oddziałem. Biegłem w każdym razie, potykając się i klucząc, aż potknąwszy się, zsunąłem się z grobli w grząski, podmokły grunt, między gęste, młode wierzby. Wtedy też ujrzałem Malmina po raz ostatni. Szedł nasypem, wzburzając połami płaszczka skłębione wiry oparów białych jak jego włosy. Oczy lśniły mu ogniem przedziwnym, a prawicę zaciskał na stylisku siekiery, tak mocno, że z sękatej dłoni odpłynęła chyba cała krew.

Przyznać muszę ze wstydem, że w tej czarnej godzinie zwątpiłem w tego człowieka i słowo, które mi dał. Gdyby nie niewzruszony upór Olendrów, którzy mieli poprowadzić nasz oddział przez płyciznę, zaatakowałbym od razu, gdy tylko rozstawiłem ludzi i wydałem dyspozycje.

Przewodnicy jednak się zaparli.

— Malmin rzekł: czekajcie, aż ognie pogasną.

Chciałem mu odrzec, że ich starszy konszachty z diabłem za ich plecami uprawia i nie wiadomo, do jakiej zguby przywieść nas może – lecz coś w oczach tego młodzika, i oczach innych Olendrów, kazało mi zamilknąć. Zrozumiałem. Oni od dawna wiedzieli.

Ogniska za wodą, przesączone przez mgłę, zdawały się lampami o mlecznych szybkach. Czasem, wygłuszony i niewyraźny, docierał do mnie strzęp rozmów z drugiej wyspy, narzekanie wartownika na wilgoć, mgłę i nocny chłód. Wtem w głosy Austriaków wkraśl się niepokój, stawały się tym głośniejsze, im bardziej kurczyły się pomarańczowe kule światła ognisk. Noc je pożerała jedno po drugim, dusiła je mgła, aż na Kępie Tokarskiej zaległy zupełne ciemności, w których austriaccy żołnierze nawoływali się nawzajem w nagłej trwodze.

Szabla, która wiernie mi służyła w walkach o Warszawę, wysliznęła się z pochwy, trąc o utwardzaną skórę z dźwiękiem, który zdawał mi się głośny jak wrzask w cichej nawie kościoła. Adiutant mój także szabli dobył i pistolet wyciągnął, a fizylierzy, stanowiący trzon

mego poskładanego pospiesznie w Płocku oddziału, na panewki karabinów proch jęli podsypywać.

— Jedna salwa — przypomniałem ich podoficerowi. — Potem za bagnety i pałasze.

Olendrzy, którzy prowadzić nas mieli, skoczyli w mgłę i ruszyliśmy za nimi. Odgłos naszych kroków, pluski wzburzanej wody znów wydały mi się głośnie. Jednak albo były takie tylko w mym wyobrażeniu, albo mgła tłumiała dźwięki. Prawdę też mówił Malmin – wody na płyciźnie między wyspami w miejscu, gdzie nas poprowadzono, nie było wyżej niż do kolan. Z bijącym sercem stanąłem wreszcie na zalanej mrokiem Tokarskiej i dopiero wtedy gdzieś z mroku przede mną dobiegło:

— Halt! Wer da!

Fizylierzy ustawić się już zdążyli, odpowiedzią był rozbłysk i palba. Dałem sygnał, by do ataku iść i przedzieraliśmy się ku armatom, które zdobyć musieliśmy, jeśli bitwa nasza zakończyć się miała sukcesem. Pistoletu po palbie się pozbywszy, rąbałem szablą i parłem naprzód, ale duch mi słabł w słabym ciele. Buty ślizgały mi się w błocie przemieszonym z krwią, deptałem po trupach naszych i wrogów, a z każdym kolejnym ciosem ranioną mą rękę coraz mocniej chwytała bezwładna martwota. Widziałem, że artylerzyści już się do strzału sposobią, widzieć we mgle dobrze nie mogli... zapewne strzelą w tumult, nas i ich skłębionych w śmiertelnej walce, jednakie straty obu stronom zadając. Tyle że Austriacy mogli sobie na nie pozwolić. Ich było pięciuset. Nas dwa razy mniej, rannych, strudzonych i słabych. Ale parliśmy naprzód z ślepym, przerażającym uporem i tamci wiedzieli, że tylko śmierć nas zatrzyma.

Widziałem we mgle na kopcu ponad nami, że artylerzysta lontownicę do działa pochyla. Armata huknęła. Spłynęła na mnie lepka, cuchnąca krwią i Wisłą ciemność wypełniona wrzaskami walczących i jękami tych, co już konali. Potem zaległa cisza.

Ocknąłem się twarzą w grząskim, krwawym błocie. Walka trwała, trwać musiała, słyszałem wystrzały i szcęk broni, krzyki... I rozpaczliwe pluski gdzieś w wodzie, gdzieś dalej... Uniosłem się na obu rękach, wstałem chybotliwie i zebrawszy resztki sił, ryknąłem jak ranione zwierzę i skoczyłem ku austriackim armatom, na które adiutant mój szarżę prowadził w mym zastępstwie.

Wypalić kolejny raz nie zdążyli, widziałem, jak jeden z Olendrów lontownicę wyrwał z rąk artylerzyście, nim go nasi obalili na ziemię, przeskoczyłem przez nasyp z trupów i konających ułożony i spojrzeniem powiodłem wokół, by w sytuacji rozeznac się, nowe wydać rozkazy. Mgła rzedła, a Austriacy po pierwszym zaskoczeniu zaczęli się przegrupowywać.

I wtedy wśród rozplatających się warkoczy oparów ujrzałem jego – upiora. Nie kształt nawet, lecz przecucie kształtu, mrok, cienie i mgła zlewały się w rozedrgany kontur barki wiślanej, przez widmowy kształt widziałem drzewa na przeciwległym brzegu rzeki. Na pokładzie nasi żołnierze do strzału się składali, grenadierzy, co widać było po mundurach i rogatywkach. Przy sterze stał starzec o jarzających się jak bagienne ognie oczach i długich, białych włosach. Ich kosmyki falowały, choć nie było wiatru...

Austriacy bliżej stali, musieli widzieć więcej i wyraźniej. Przez nieuformowane jeszcze poprawnie szeregi przebiegły okrzyki śmiertelnej trwogi. Ktoś wypalił z przestachu, ktoś zaczął wzywać Boga.

— Ładować! — krzyknąłem. — Armaty także!

Szablą wskazałem cel, sam środek ogarniętego paniką austriackiego oddziału. Jakiś oficer krzykiem próbował jeszcze zaprowadzić porządek i zewrzeć szyki. Na darmo! Jeszcze zanim gruchnęła nasza palba, a pośród żołnierzy wybuchły kartacze, siekąc i raniąc odłamkami, pierwsi ogarnięci histerią Austriacy rzucili się ku łodziom i barkom zacumowanym przy brzegu Kępy Tokarskiej. To nie był odwrót wojska, to była fala przerażonych zwierząt i gestem nakazałem, by przestać strzelać. Tamci w przerażeniu porzucali broń, bezładnie próbowali odbić od wyspy, ci, co nie dostali się na pokład, czepiali się burt. Gdy nurt pochwycił pierwszy statek, ten, przeciążony i nieprowadzony wprawną ręką, położył się na burcie i począł tonąć. Zderzyła się z nim następna barka, żołnierze wypadali lub ogarnięci paniką skakali do wody. Przed naszymi oczyma rozgrywał się przerażający teatr wojny i śmierci... Gdy jednakże odwróciłem się, by na drugą stronę spojrzeć, tam, gdzie się wśród oparów objawiła widmowa krypa, nie ujrzałem nic prócz resztek rzednącej mgły.

Nie jestem dziś nawet pewien, czym upiora widział na własne oczy i czy tej samej nocy przez chwilę ukazał mi się cień diabła rozprawiającego ze starym Olendrem. Zapytać się o to Malmina nie mogłem, gdyż starzec przepadł, nie pojawił się po bitwie w swym domostwie, a pozostali Olendrzy nabrali wody w usta. Jeno to byli skłonni rzec, to że starzec pochodził z Terneuzen, a pod Płockiem osiedlił się w 1759, jako jeden z pierwszych dzierzawców Kępy Ośnickiej... i że już wtedy siwy był i wiekowy. Zdawali się radować z jego zniknięcia, jakby odchodząc, zdjął z nich odium niehumanicznego strachu.

Wiem jednakże to, że okazał się człowiekiem honoru i dotrzymał danego mi słowa, broniąc ziemi, którą nazwał swoją. Przeczuwam też niestety, jaką cenę zapłacił za zwycięstwo i kazał zapłacić nam, nie pytając o zdanie czy przyzwolenie. Niosę tę wiedzę jak brzemień przez całe życie.

Gdyśmy bowiem pozostałych na Kępie Tokarskiej Austriaków wzięli w niewolę i przeszukaliśmy zajęte przez nich olenderskie gospodarstwa, w jednej ze stodół znaleźliśmy naszych ludzi, tych, których Geringer pojmał, gdy zajął Tokarską. Dwudziestu żołnierzy i podoficer, wszyscy w mundurach grenadierów. Austriacy ich rozstrzelać nie zdążyli. Unieruchomieni w więzach i pokneblowani, w oczach mieli niehumanitarny strach, a ciała poznaczone ciosami siekiery. Ich to widziałem w bitwie na pokładzie upiora. Gdzie teraz są i po jakich wodach żeglować będą do dnia sądu ostatecznego, Bóg raczy wiedzieć. Lub diabeł.





# SKĄD?

Witold Markot

*I Mocy tej nie wziąłem z drzewa edeńskiego,*

*Z owocu wiadomości złego i dobrego*

*Adam Mickiewicz, Dziady cz. III*

Z drzemki wyrwało go uderzenie pioruna. Dotychczas jako profesor fizyki nie zwracał uwagi na pospolite wyładowania atmosferyczne. Ten grzmot sprawił jednak, że poczuł się bardzo nieswojo. Lęk, który odczuł, uznał za skutek całkowitego zdziwienia typowego mieszczucha. Wykładając na Uniwersytecie Warszawskim, od lat otaczał się wyłącznie

książkami, a po pracy wracał prosto do swojego mieszkania na dziesiątym piętrze luksusowego apartamentowca. Jedyne ludźmi, z jakimi miał styczność, byli jego studenci. Z naturą miał kontakt, gdy przechodził rano i późnym popołudniem obok niezwykle zadbanego patio na terenie strzeżonego osiedla.

Odruchowo wyjrzał za okno samochodu. Na tle ciemnego nieba, przy drodze, ujrzał tablicę z napisem: „Gmina Szczytno wita!”. Wydobyl z kieszeni spodni zmiętą paczkę Marlboro. Ręka z papierosem zawisała w powietrzu w połowie drogi do ust. Uświadomił sobie, że wypadaloby najpierw zapytać kierowcę, czy może zapalić.

Człowiek, który odebrał go z dworca autobusowego, przedstawił się jako Andrzej, szwagier Zygmunta. W stolicy taki jegomość, żyjący pośród tysięcy innych mężczyzn w średnim wieku noszących takie samo imię, byłby postacią anonimową. Nie był zapewne również jedynym Andrzejem w wiosce, do której jechali. Mieszkańcom takiej zapadłej dziury informacja, że jest szwagrem Zygmunta, zapewne mówiła wszystko. Profesor Antoni Kłobucki cieszył się, że zapamiętał imię gospodarza, u którego miał spędzić urlop. Na uczelni przedstawiał się zawsze wyłącznie nazwiskiem. Podejrzewał, że współplemieńcy Andrzeja znali się na tyle dobrze, że nazwisk sąsiadów dawno zapomnieli. Rozklekotany Polonez nagle się zatrzymał. Jak na zawołanie z nieba lunął rześisty deszcz. Drogę przeciął skromny kondukt pogrzebowy z tanią, sosnową trumną na czele. Antoniego zdziwił brak obecności księdza.

— Niebo płacze — westchnął Andrzej, czyniąc znak krzyża.

— Znajomy? — zapytał Antoni obojętnym tonem.

— Tu wszyscy znajomi. Syn Słowika, sąsiada mojego, znaczy się. On się z młodszą córką Zygmunta chciał żenić, ale mu szwagier mój nie pozwolił.

— A dlaczego nie ma księdza?

— Chłopak się powiesił. Proboszcz powiedział, że msza się samobójcy nie należy. Pod murem go będą chować...

\*\*\*

W miarę jak wskazówka prędkościomierza odchylała się coraz bardziej w prawo, smukła kobieca dłoń zaciskała się mocniej na jego udzie. Z każdą sekundą byli coraz dalej od wścibskiej uniwersyteckiej kadry, od uszczypliwych uwag jej kolegów, wszelkich norm i zakazów. Na przednim siedzeniu pasażera siedziała nie jego studentka, lecz kipiąca

pożądaniem seksowna blondynka, którą kochał ponad wszystko we wszechświecie i pożałował bardziej niż William Lawrence Bragg nagrody Nobla. Jego ukochana Alicja.

Nawierzchnia była bardzo śliska. Już tylko dwa kilometry dzieliły ich od jego domku letniskowego. Deszcz spływający strumieniami po przedniej szybie znacznie ograniczał widoczność. Nie zważał na to. Był nieśmiertelny.

Ocknął się, czując na twarzy krople deszczu. Jego spoczywająca na kierownicy głowa pulsowała potwornym bólem. Odpiął wpijający się w klatkę piersiową pas bezpieczeństwa.

Na siedzeniu z prawej zobaczył tylko odłamki przedniej szyby. Wyczołgał się z auta i zaczął pełznąć w kierunku kałuży krwi, w której tonęła nieprzytomna Alicja. Przymknął na moment oczy, próbując się skoncentrować, a kiedy je otworzył, zobaczył idącego w ich stronę starszego mężczyznę, który niósł na plecach trumnę. Uznawszy, że to omam, Antoni ponownie zacisnął powieki. Otworzył oczy i rozpoczął masaż serca.

— Jej już nic nie pomoże — orzekł starzec, stawiając trumnę na jezdni.

\*\*\*

Obudził się na starym tapczanie, w izbie, którą wynajmował w domu Zygmunta. Letnie słońce przyjaźnie zaglądało przez otwarte na oścież okno. Zapowiadał się upalny dzień. Telefon komórkowy spoczywający na nocnej szafce nie mógł znaleźć zasięgu.

Zaczynał się upragniony urlop. Antoni obiecał sobie, że po raz pierwszy od dziesięciu lat pójdzie na długi spacer do lasu. Uśmiechnął się, słysząc śpiew ptaków i ujadanie psów.

— Już jedenasta — powiedziała Zygmunтова, wchodząc do izby. — Długo pan profesor spał. Widać do bimbru niezwyčajny...

— Rzeczywiście... — bąknął, przypominając sobie wczorajsze „otwarcie sezonu”.

— Jajków na słoninie zje? — zapytała przyjaźnie gospodyni.

— Tak. Bardzo chętnie.

Wchodząc do kuchni, zobaczył krzątającą się przy starej, węglowej kuchni Magdę.

— Dzień dobry! — powiedziała dziewczyna, uśmiechając się zalotnie. — Jajecznica gotowa. Takiej pan profesor w Warszawie nie dostanie.

Podawała mu śniadanie, po czym usiadła naprzeciwko, uważnie obserwując go podczas jedzenia. Zerkał na nią raz po raz. Z początku od niechcienia, a potem już świadomie, z rosnącym zainteresowaniem. Zauważył, że jest mocno umalowana. Czerwień ust marki Maybelline nie pasowała do wszechogarniającej prostoty otoczenia. Jak na typową wiejską

dziewuchę była zbyt śmiała i nowoczesna. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że kogoś mu przypomina.

— Pan mi się tak przygląda — zagadnęła. — Ładna jestem?

— Tak... Bardzo... — wypalił zaskoczony, czując, że powiedział prawdę.

— Co pan profesor będzie dziś porabiał?

— Zamierzam wybrać się na spacer do lasu — odpowiedział, uśmiechając się odruchowo.

Rozmowę przerwał brzęk stawianego na podłodze wiadra z wodą. Przyniosła jej skromnie odziana, drobna brunetka o szarych oczach. W przeciwieństwie do Magdy była tak przeraźliwie zwyczajna, że pasowała idealnie do zabitej dechami wiochy. Jedyne, co ją wyróżniało, to bijący z oczu bezbrzeżny smutek. Odwróciła się i nie mówiąc ani słowa, wyszła na podwórko.

— To moja siostra, Hanka. Narzeczony jej się powiesił.

— Bardzo mi przykro... — powiedział Antoni, przypominając sobie kondukt, który przepuszczał Andrzej.

— E tam... — prychnęła Magda. — Mnie tam go nie żal. Romantyk. Do żadnej roboty się nie nadawał i groszem nie śmierdział. Dobrze, że go ojciec pogonił w diabły.

\*\*\*

Nie pamiętał, jak długo szedł przed siebie. Nie miał pojęcia, jak daleko zaszedł w las. Nie bał się jednak, bo droga, którą podążał, nie miała rozwidleń ani zakrętów. Znalazł się na skraju niewielkiej polany. Przekonany, że jest sam, położył się na ziemi i zamknął oczy. Wiedział, że z naukowego punktu widzenia nie ma czegoś takiego jak cisza. Jest tylko absolutny brak jakichkolwiek dźwięków. Tutaj jednak udało mu się usłyszeć zupełnie inną, wręcz metafizyczną ciszę serca.

Zasłuchany w swój miarowy oddech, w kilka minut osiągnął spokój, o jakim marzył od dawna. Poczuł jakąś przedziwną więź między własnym ciałem a ziemią. Przypomnił sobie jedną z teorii, według której absolutem było totalne odczuwanie tego, co nas otacza. Teraz ten las był nim, a on był lasem. Na chwilę zniknął niepokój, który towarzyszył Antoniemu od momentu, gdy usłyszał pierwsze uderzenie pioruna.

Nagle poczuł ciężar w okolicy bioder. Czyjeś delikatne dłonie gładziły go po twarzy i szyi. Niespodziewanie niemożliwy do sprecyzowania lęk powrócił. Szybko jednak ustąpił miejsca wzmagającej się przyjemności. Pomyślał, że oszalał, ponieważ zdał sobie sprawę, że

doskonale zna ten dotyk. Zdecydował, że podda się pieścizotom, ani na chwilę nie otwierając oczu. Chciał czuć mocniej to, po co przysłała Magda i co chciała mu dać. Zrozumiał, że musiała go śledzić. Nie oburzył się jednak, bo to, co się działo, uważał za pierwotne i czyste.

Nie myślał. Czuł. Po raz pierwszy odkąd...

— Alicja...

Otworzył oczy, ale dziewczyny już nie było. Wiedział, że to niemożliwe, by mogła ona tak szybko i bezszelestnie podnieść się i oddalić. Żadna istota ludzka tego nie potrafi. Najbardziej przeraziło go to, że dopuścił możliwość istnienia jakiegokolwiek siły nadnaturalnej. Niemal automatycznie uznał to doświadczenie za omam. Wstał, ubrał się i postanowił jak najszybciej wrócić do wioski. Jednak kiedy ruszył przed siebie, okazało się, że ta sama, prosta droga, którą tu przyszedł, wyraźnie skręca. Nie miał wyjścia. Postanowił się jej trzymać. Prędzej czy później musiała go przecież doprowadzić do ludzkich siedzib.

— Witaj, Antoni.

Natychmiast rozpoznał głos starca ze swojego snu. *Tak, to sen*, pomyślał. *Zasnąłem na łące. Teraz wystarczy się obudzić*. Kiedy jednak starzec podszedł bliżej i położył mu rękę na ramieniu, Antoni zrozumiał, że nie śni.

— Czekąłem na ciebie.

\*\*\*

— Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale nic nie dzieje się przypadkiem — powiedział starzec, stawiając przed nim chleb z boczkiem i kubek wody.

— Kim pan jest? — zapytał Antoni, rozglądając się po izbie.

— Ludzie z Orżyn mówią na mnie „Ten z lasu”. Przychodzą tu, kiedy zawodzą i modły, i rozum.

Antoni rozejrzał się uważnie. Znajdowali się w prostej, drewnianej chałupie. Człowiek, którego spotkał, musiał być jakimś pustelnikiem, który z nudów uwierzył w czary i doszedł do przekonania, że posiada wiedzę tajemną niedostępną dla zwykłych śmiertelników. Antoni nie dostrzegł nigdzie ziół, tajemnych symboli ani magicznych sprzętów.

— Jest pan znachorem? — zapytał

— Nie. Ja tylko widzę to, czego inni nie chcą widzieć.

— Skąd pan mnie zna?

— Zobaczyłem. Wiedziałem, że się spotkamy.

— Zatem ma pan zdolność jasnowidzenia? — zniecierpliwił się Antoni.

— Innego widzenia. Uczonym się wydaje, że wiedzą. Twój święty patron jest od rzeczy zagubionych. Tyś sam jak dziecko we mgle.

Starzec mówił spokojnie, nie zdradzając żadnych emocji. Nie drwił z niego, jednak Antoni nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jego rozmówca zaczyna się dobrze bawić jego kosztem.

— Chce wiedzieć co tu... Co się ze mną dzieje — wybełkotał w końcu.

— Wróciły do ciebie twoje demony. Jesteś tu, żeby się ich pozbyć.

— Ale jak?

— Żeby coś sobie poszło, to najpierw trzeba w to uwierzyć. Wiesz, co to sumienie?

— Chcę uwierzyć — zdecydował Antoni. — Dlaczego nie mogę zapomnieć tego wypadku?

— A wiesz, co to sumienie? Czy ono jest od Boga? Od diabła?

— Z etycznego punktu widzenia... — Antoni poddał się.

— Sumienie daje Bóg, żeby człowiek wiedział, co dobre, a co złe, ale jak człowiek już wie, że źle zrobił, a sumienie dalej dręczy, znaczy, że przyszły demony. Demony człowiek sam przywołuje.

— To co mam zrobić? — zapytał bezradnie Antoni.

— Zrozumiałeś swój błąd, a życia jej nie wrócisz. Ona już jest w lepszym świecie. Musisz żyć dalej.

— Tak bardzo za nią tęsknię... — rozplakał się po raz pierwszy od dawna.

— Ona już nie należy do ciebie — orzekł starzec.

— Tam na łące... — zaczął Antoni.

— Ta Magda to zła dziewczucha. Pomiot sukuba i wiły! Tfu! O zbytku tylko myśli. Za błyskotkę każdemu się odda... Dawnoś uczucia nie doznał, to ci się ta twoja przypomniała... — urwał nagle.

Za oknem usłyszeli odgłos silnika. Po chwili do izby wpadł Andrzej.

— Pomocy, dobrodzieju!

— Co się stało? — zapytał spokojnie pustelnik.

— Młodszą Zygmontównę diabeł jakiś opętał! Chlastać się chciała! Ojca wyklina! Jakimś dziwnym głosem gada! Ksiądz nawet nie daje rady! Ratuj, dobrodzieju!

\*\*\*

— Jak ci na imię?! — powtórzył starzec.

Hanka miotła się, przywiązana do krzesła ustawionego na środku izby. Odkąd przybyli na miejsce, zamilkła zupełnie. Jediną niepokojącą oznaką były jej niekontrolowane ruchy. Zebrani przed chałupą sąsiedzi, zarówno ci, którzy mogli coś dostrzec przez okna, jak i ci, którzy tylko nasłuchiwali, mogli być pewni, że dziewczyna nie jest sobą. Jej twarz nie miała żadnego wyrazu. Najwyraźniej to, co w niej było, nie chciało być zdemaskowane.

Skoro nie przstraszyło się chrześcijańskich egzorcyzmów i nie zamierzało zdradzić swojego imienia, pustelnik mógł mieć pewność, że nie pochodzi ani od Boga, ani od Złego.

— Czym jesteś?! — zapytał

Hanka na moment odzyskała świadomość. Spojrzała na starca i powiedziała spokojnym, smutnym głosem:

— On nie z tobą chce mówić, tylko z ojcem.

Zygmunt, który dotąd stał w kącie biały jak kreda, z przerażenia poruszył się. Pustelnik przywołał go gestem i kazał stanąć naprzeciw Hance. Dziewczyna w jednej chwili znów straciła świadomość i zaczęła przewracać oczami.

— Czego chcesz od tego człowieka?! — zapytał starzec, wskazując na Zygmunta

— Przychodzę po to, co mi odebrał! — wykrzyczała Hanka głosem rozwścieczonego młodzieńca.

Zygmunt dobrze znał ten głos. Zaczął trząść się jak galareta i w jednej chwili jego twarz z białej stała się purpurowa. Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. Było mu wszystko jedno z kim albo z czym rozmawia.

— Nie wiem, czyś ty latawiec czy inny czort! Za życia śmieciem byłeś, to i po śmierci się ciebie nie boję! — wrzeszczał Zygmunt.

Hanka znów wróciła do siebie i zalała się łzami.

— Tatusiu... Niech tatuś da spokój... Proszę... Ja go kocham! Niech mi tatuś pozwoli z nim iść!

— Po moim trupie! — zawył Zygmunt

Były to jego ostatnie słowa. Chwilę później chwycił się za gardło. Upadł na kolana i spojrzał jeszcze raz na swoją córkę, która znów była tam tylko ciałem. Skonał bardzo powoli, nie mogąc złapać tchu. Starzec wiedział doskonale, że już nic nie zdoła zrobić. Stał więc spokojnie i patrzył, jak Hanka krztusi się własną krwią wypływającą z jej żołądka, a następnie traci przytomność.

\*\*\*

Antoni siedział na podwórzu, obserwując łapiduchów ze Szczytna, którzy wynosili z chałupy ciało Hanki. Po tym, czego doświadczył, zapragnął natychmiast wrócić do swojego poukładanego, racjonalnego świata. Coś jednak nie dawało mu spokoju. Starzec tym razem pierwszy zadał pytanie:

— Pamiętasz, co to sumienie?

— Tak... Jego rola kończy się, kiedy człowiek uświadomi sobie, że zrobił źle. To czym on był? Duchem? Demonem?

— Hanka wpuściła go świadomie, a on wziął to, co dawno było jego — odpowiedział starzec i po raz ostatni wyręczył Antoniego. — Które z nich zabiło Zygmunta?

— Demon, bo Hanka życzyła ojcu śmierci.





# Ostatnia Tawerna



Twoje fantastyczne miejsce w sieci!  
[www.ostatniatawerna.pl](http://www.ostatniatawerna.pl)



# **SZORTAL**

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje  
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

rys. Roman Panasiuk



# **W** STRONĘ MROKU

Grzegorz Gajek

Deszcz, chłodny deszcz, tysiące szarych kropel, zasłona, welon... Deszcz zmywa bruk, chodniki, przepędza odory. Jakżeż to miasto śmierdzi! Jakie jest wstrętne! Przeklinam je. Jest przeklęte, po stokroć, po tysiąckroć.

Po cóż wracałem? Lepiej mi było zostać...

Nie sposób uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się tak niedawno, że jeszcze przed chwilą byłem wśród tych kreatur, u hrabiny Kotłubaj.

A teraz umieram. Nie, umarłem. Jestem żywym trupem.

*Mauti* czeka na mnie. Słyszę, jak przekrada się w mroku alejek, choć znajduje się bardzo daleko. Czeka na mnie. Wzywa.

\*\*\*

Jestem urodzonym obserwatorem. Znajduję przyjemność w oglądaniu ludzi.

Perwersyjną przyjemność. Podziwiam brzydotę.

Ot i gong. Proszą na salony.

Do antekamery wpływa nasza gospodyni, hrabina Kotłubaj, aby prowadzić gości. Przy niej generał Miller, młody pan Gicze, Zambrowski, Kalwin. Naszyjnik ciał, gorliwe oblicza, ruchliwe ręce, zakręcone wąsy, błyskliwe oka, baczki, kozaczki, monokle, laski, gałki, cholewki...

Pani Kotłubaj paskudna jak zwykle. Cienkie, szkaradne odnóża, odwłok masywny, podany mocno do tyłu, piersi obwiśnięte, suche, ostro zakończone, ramiona bladożółte, szyja, podgardle, złote pince-nez bez smaku wciśnięte na nos.

Otacza ją aura, brzęczenie. Panowie słodzą, kadzą:

– Hrabina dziś zjawiskowa, powala, otumania.

– Trzewiczek nowy czym zoczył? Na tak zgrabnej nóżce, hem, jak się łyśka, hem, szanowna pani wodzi nas na pokuszenie, hem.

– Pani powinna czem prędzej porzucić to miasto szpetne, marnuje się tu taka uroda, na tych salonach prowincjonalnych, wśród dam pośledniejszej (choć wszak przy pani każda poślednią) urody, dowcipu niewyszukanego, pani splendor godny oprawy zacniejszej, pani lico... Absolutnie!

Hrabina kryguje się, kokietuje, rumieni.

– Panowie nadto som mili! Panowie jacy galantni! Jak to tak, wdowę, kobitę niemłodo.

A zaraz czaruje innym sposobem, temat zmienia.

– Ach, jak duszno! Panowie, ukrop! Dość mam, powiadam, panowie, mnie to miasto zabija, zadusza. Ach jakżeż by się chciało teraz popłynąć do Sogno Ventura. Mąż mój, nieboszczak, willę tam miał elegantnom, folwark, czysta morgów.

Wnet jest przy mnie, jej świta mnie opływa. Układam usta w uśmiech. Dłoń całuję-blaguję, bo dotyk tej skóry żółtej przepelnia odrazą. W nozdrza uderza smród ordynarny, niski: pot, łój i ze dwa galony wody różanej. Tak, taka to perfuma!

– Pani dziś dech zapiera, hrabino – powiadam. Szczęzę się jak trupia czaszka.

Ironia to, całe szczęście, obce naszej gospodyni pojęcie. Hrabina unosi się, napusza, usta nadyma.

– Panie mecenasie, ależ z pana jezd przechera!

– Zaiste.

Odplywa. Ciągnie za sobą tamte kukły. Ściskam kilka prawic.

Znak został dany, przyjęcie rozpoczęte, choć wszak wszyscy czekają na atrakcję wieczoru, na pokaz, z którego słyną Kotłubajskie bale. Mężczyźni już rumienią się, stroszą



wąsy na samą myśl. Dam w towarzystwie niewiele, same najgorsze hetery o wypalonych, lubieżnych licach. I one czekają, szepczą między sobą, podekscytowane.

Patrzę za orszakiem hrabiny. Jedna marioneta urwała się z żyłki: generał Miller pcha się między ludzi, przychwytuje kogoś przy drzwiach, po plecach klepie zamasyście. Idą ku mnie.

Przyglądam się młodzieńcowi u boku generała. Dziwna to jakaś kreatura, nie pasuje tutaj. Oblicze blade, jasne włosy, oczy dziecięcia. Niewinna dusza. Dobry Boże!

A jednak coś w ruchach tego młodzieńca każe mi przypuszczać, że widział człeczny brud, że, jak napisał mędrzec, powalał już ongiś sobie ręce. Skąd on tu, czego szuka? Wszak nie kolejny akolita rozpusty, w to nie uwierzę. Czyżby misjonarz?

– Mecenasio, hem, proszę wybaczyć. – Generał kładzie mi rękę na ramieniu. Drugą obejmuje młodzika, jakby chciał stworzyć żywy łańcuch, pępowinę między nami. – Pan pozwoli sobie przedstawić, hem. Doktor Dąbrowski, hem, hem.

– Miło pana poznać. Klawer. Więc para się pan medycznym fachem?

Młodzieniec chrząka, spłoszone oczęta kieruje na Millera, na mnie, na pantofle własne.

– Tak – odpowiada. – Choć ostatnio nie praktykowałem. Pochłonęły mnie... ach... inne zainteresowania.

– Przednie! – ryczy nagle generał. – Insze zainteresowania! Przednie, hem, hem. Pan doktor nadto skromny. Imainuj sobie pan, mecenasio, że nasz nadto skromny doktor Dąbrowski dopiero co był wrócił z cesarskiej ekspedycji. Co pan na to, hem? Cesarska ekspedycja badająca, tego, hem, Czarny Łąd, hem, poszukująca, hem, hem... Czegóż to, bądź pan łaskaw przypomnieć, byliście w imię cesarskie szukali?

– Źródeł rzeki Hobo. Ale mnie osobiście...

– Iście, hem, hem! Imainuj sobie, mecenasio! Źródła rzeki Hobo! Hem!

– Zaiste. – Zmuszam się do uśmiechu. – A zatem jest pan badaczem?

– Tak.

– A czymże się pan fascynuje, w jakiej dziedzinie specjalizuje? Botanika, zoologia, entomologia, jeografia?

– Zoologia. Miałem nadzieję znaleźć materiały do publikacji o pająkach z rodziny skoniczeków cesarskich.

– Doprawdy? Bardzo mi przyjemnie spotkać kogoś o podobnych zainteresowaniach.

– Pan też jest badaczem? – Oczy młodzieńca zapalają się nagle. Jego cienkie, sinawe usta wygina uśmiech. Czyżby aż tak desperacko wyalienowanym czuł się w naszym towarzystwie?

– Naprawdę, mecenasie? – dziwi się Miller. – Nigdy pana nie znał od tej, hem, strony. Czymże, hem, jeśli można, hem...

– Obawiam się jednak, że moje zainteresowania ograniczają się do bardzo wąskiej grupy ssaków – mówię, przerywając jenerałowi, zanim od chrząkania strzeli go apopleksja. – Genus homo, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

Uśmiech gaśnie na twarzy młodzieńca. Miller patrzy na mnie skonsternowany. Nagle uderza mnie w plecy, wybucha śmiechem.

– Żartowniś z pana, hem, mecenasie! Ale dość z tym! Wy tu prawie, hem, zuologia, etnomologia, a tymczasem doktor Dąbrowski przygód zażył co niemiara. Dobrze mówię, hem? Jak to było, hem, tubylcze strzały? Kogo nie powalił dziki aborygen, tego malaria, hem, ucapiała. Dobrze mówię? Sam doktor, hem, hem, śmierci w oko spojrzał. Co, doktorze? Dobrze mówię, hem?

\*\*\*

A jednak się boję. Raz już spojrzałem w straszne oko *Mauti*, raz już poczułem trupi odór towarzyszący jego przyjściu. Mimo to uciekam. Jak szczur. Jestem szczurem.

Wsiadam do tramwaju. Sucho. Pachnie ludźmi, smarem. Miasto klekocze pod kołami, szyny śpiewają. Mury kamienic już szarzeją. Tylko patrzeć, a zapłoną latarnie. W mroku *Mauti* będzie się czuł jak u siebie. Nie robi mu różnicy, czy skrada się po oślizłym, obrosłym mchami i grzybem konarze, czy po czarnej, gładkiej szyi metalowego żurawia. Wyczuwa mnie, mój strach, więc będzie gonił.

Ten głupiec Miller miał rację, spojrzałem w oko śmierci. Ale nie ma pojęcia, co to znaczy. Nie potrafi sobie wyobrazić tego potwornego gorąca spalającego ciało od środka. Zimna kłuszącego od zewnątrz. Nie ma gdzie uciec. Wszystko parzy albo ziębi. Na marne szukać ulgi. Płuca płoną z każdym oddechem. Chce się krzyczeć, ale z ust dobywa się tylko jęk.

Potem przychodzi suchość w przełyku, potworna suchość. Plamy przed oczami. Smród, gnicie. Gnicie zaczyna się od oczu, nozdry, policzków, języka. Wędruje w dół, powoli. Węzły chłonne puchną. Spod pach zaczyna sączyć się ohydna wydzielina. Chwilę później zgnilizna sięga już krocza. Człowiek czuje się tak, jakby pod skórą pełzały mu setki chrząszczy. Brzydzi się sobą. Chce wymiotować, ale nie ma czym.

Wreszcie zaczynają się wizje. Majaki. Strachy. Stuki. Głosy.

Ostatni przychodzi *Mauti*, czarny, puszczański lew. Siada na piersi. Dusi. Zlizuje gnilną

wydzielinę, ropę. Smakuje członki. I patrzy. Jego wzrok odziera kości z ciała. W bezdusznych, kocich oczach migocze... migocze... wyzwolenie.

Podnoszę głowę. W tramwaju nagle zapanowało poruszenie. Ludzie tłoczą się przy oknie z tyłu wagonu, pokazują coś palcami.

Kulę się w fotelu – instynktownie. Chowam głowę między ramiona. Nie chcę, nie...

– Patrzcie! Widzieliście?

– A cóż to?

– Ki diabeł?

– Lew! Musi, że lew!

– A pan co, z cyrku się urwał? Psisko zwykłe, tyle że wielkie. Lwy mi tu będzie imputował...!

– Ależ gdzie, lew, jak nic, lew!

– Gdzie, gdzie? Nic nie widać...

– Posuń się pan...

– Gdzie z tym łokciem...

– No nie ma. Zniknął. Jak Boga kocham!

– Tam, tam, tam!

– Gdzie?

– Lew, jak Boga kocham.

– Aj, tłuki, prostaczki. Psisko. Pewnie, że psisko.

– Ekscytujecie się jak przekupy! Nic tam nie ma. Przywidziało się wam i tyle. Puśćcie, z drogi.

Unoszę wzrok. Moi współpasażerowie jeszcze dobywają z gardeł rozeźlone pomruki. Jedni wracają na miejsca, inni wyciągają szyje. Kłócą się, mędrkują.

Czy tylko ja widzę tę parę ślepi w cieniu za śmietnikiem?

\*\*\*

Bydło z natury jest popędliwe. Ukąszenie byle gza potrafi skatalizować niekontrolowany atak szału, zaślepienie, w którym zwierzę pędzi naprzód, nie bacząc na przeszkody i własne bezpieczeństwo. Podobne ekscytacje znane są też bydłom wyższego rzędu, dwunożnym, wciśniętym w źle skrojone smokingi i niesmaczne suknie. Myśl o czekającej u końca wieczoru niespodziance stymuluje je, powoduje rozbudzenie niezdrowych popędów.

Twarze wkoło mnie z każdą chwilą stają się czerwiejsze. Panowie gubią marynarki, muszki, krawaty. Na koszulach wykwitają plamy. Nieliczne damy podstawiają się pod obłapiające dłonie ze starannie wystudiowaną niechęcią.

Zamaszystym krokiem zbliża się do mnie Glinka.

– Uszanowanie, mecenasie.

Szerokie usta rozciągają się w uśmiechu pod nastroszonym wąsem.

Nazywają mnie mecenasem, choć – jako żywo! – nie mam nic wspólnego z palestrą, ani nie dbam o sztukę. Toleruję jednak tę lingwistyczną dziwnostkę. To z ich strony po części wyraz szacunku, a po części sposób na uporanie się z istotą, która w ich świecie nie ma prawa bytu: mężczyzną niepracującym, niebędącym dżentelmenem.

Glinka to znacznie prostszy organizm. Nie lubią go tutaj, ale ja na swój sposób nawet go poważam. Na balach hrabiny Kotłubaj nie ma miejsca dla kupców, poza tym jednym. Wszyscy inni zanedbano przypominają gospodyni jej ordynarnego ojca. Glinka zaś nie przypomina. Jest dokładnie taki sam i w tym tkwi jego sekret. Ponadto (poza cukrem, fasolą i bronią) handluje ludzkimi duszami.

– Uszanowanie, panie Glinka.

– Jak pan sądzi, mecenasie, cóż nam nasza dzierlateczka zaplanowała na dzisiaj, hę?

Glinka filuternie mruży jedno oko, to czarne. Drugim, zielonym, patrzy na mnie uważnie. Jednocześnie skubie wąsa.

– Z pewnością coś wyjątkowego, jak zawsze.

– Ale pana to nie podnieca, co?

– Przeciwnie, zawsze z fascynacją przyglądam się nowym rozrywkom towarzystwa.

Kupiec macha dłonią. Ma już w czubie, widać po krągłości gestów. Ale gdy jest pijany, staje się niepokojąco przenikliwy.

– Lubi pan tak gadać. Ale ja dobrze wiem, co pan sobie myśli. Proszę spojrzeć po tych chamskich, czerwonych gębach. Tu nie ma ani uncji błękitnej krwi.

– Skoro pan tak mówi.

– Najniższe popędy decydują o przetrwaniu. Czyż nie tak, mecenasie? Oto rasa panów.

– Jest pan dziś w filozoficznym nastroju, jak widzę.

– A pan nie? Gdy tak pan patrzy na nas z góry, zza binokli. No, panie mecenasie, proszę powiedzieć. Co takiego pan widzi, hę? Silne społeczeństwo to głupie, lubieżne społeczeństwo. Ludzie inteligentni i zaspokojeni nie mają o co walczyć.

– Jest pan cynikiem.

– Tak jak pan.



– Słuszna uwaga.

– To wszystko skorupy, panie mecenasie. Brak im dusz. Ale ja mogę temu zaradzić. Popyt rodzi podaż, co? No i, rzecz jasna, potrzebny jest jeszcze kapitał, ale ten zapewnia nasza dzierlaticzka.

– Ma pan ich w garści, prawda?

Glinka uśmiecha się, znów mruży oko, tym razem to drugie, gorsze.

– Ja i pan jesteśmy do siebie podobni. Obaj wiemy, w co gra ten drugi. Tak, mecenasie, mam ich w garści. Założyłem im obroże, smycze, kagańce, a oni w zamian liżą mnie po rękach. Nikt tutaj nie jest czysty.

– Doprawdy?

Mój wzrok mimochodem wylapuje z ciżby księżycowo blade oblicze doktora Dąbrowskiego. Natrafiam na jego oczy męczennika. Ależ dziwne są to oczy, jakby coś w nich pałało. Wbrew sobie czuję się przez nie przyciągany.

Wymawiam się od dalszej konwersacji z Glinką. Nagle brzydzi mnie bliskość tego gada. Boję się, że mógłby wyciągnąć ku mnie swą łuskowatą dłoń (to jakiś łupież, liszaje), chwycić za ramię, pochylić się konfidencjonalnie, ukazać z bliska paszczę, z której zionie zgniłym mięsem.

Pcham się przez tłum. Staję przy Dąbrowskim. Doktor przyjmuje mnie uśmiechem.

– I jak się pan bawi? – pytam. – Miejski hałas nie drażni pana po ciszy buszu?

– Nie. To miła odmiana.

– A zatem jest pan nawykły do takich rozrywek? Dałbym sobie rękę uciąć, że nie urodził się pan w mieście.

– Ma pan rację. Pochodzę z okolic Dubna, dopiero wyjechawszy na akademię poznałem miasto. Nie powiedziałbym jednak, że w czasie studiów miałem dużo czasu na zażywanie krotochwil. Później przyszła ekspedycja i... Cóż...

– Zdaje się, że ruszaliście z Sogno Ventura, a przewodził wam profesor Bilski. Czy się mylę?

Twarz Dąbrowskiego jaśnieje na chwilę, a potem gaśnie.

– Profesor zmarł z powodu odmy.

– Tak, słyszałem. To wielka strata. Ale proszę powiedzieć, jakie wrażenie zrobiło na panu miasto snów, brama Czarnego Łądu.

I znów jasność pojawia się na bladych licach.

– Doprawdy jest wspaniałe...

Czuję, jak słowa umykają memu interlokutorowi. Niemal widzę migające za jego

żrenicami obrazy. Wieże we mgle, śpiewnice szybujące nad morzem, mrzonki kołyszące się na falach. Sogno Ventura.

\*\*\*

Wysiadam z tramwaju. Koniec linii. Zrzurowane kamienice gapią się na mnie pustymi oczodołami okien, szczerzą wystającymi dechami. Deszcz zelżał; rynsztokiem płynie bura maź, na powierzchni której wykwitają tęczowe koła. Śmierdzi. Ciemność panoszy się po uliczkach. Elektryfikacja jeszcze nie sięgnęła tej części miasta, gdzieś jarzą się tylko gazowe latarnie.

Biedacy nie patrzą na mnie. W ich twarzach widzę to, co wielokrotnie widziałem na Czarnym Łądzie, w twarzach Murzynów gnieżdżących się w lepiankach przy bazach Cesarskiej Kompanii Handlowej. Beznadzieja i zobojętnienie wszędzie wyglądają tak samo.

Tak, *Mauti* będzie się tutaj czuł jak u siebie. Więc dlaczego tu przyjechałem? Żeby łatwiej mu było mnie odnaleźć? Być może.

Czy dlatego nikt mnie nie zauważa? Czy moja twarz również stała się twarzą żywego trupa?

Tak. Przecież tak. Jestem żywym trupem.

I pomyśleć, że niecały rok temu myślałem, że będę żył wiecznie. Rok, tylko rok, a zdaje się, jakby to była cała wieczność.

Łąki pod Dubnem pachniały słońcem i święconą wodą. Woniał dziki tymianek, mięta, szałwia, rumianek. Krowy chłodziły się w wysokich trawach. Spacerowaliśmy z Elizawietą, ręka pod rękę, śmialiśmy się. Zabrałem ją pod wielką gruszę rosnącą na miedzy, która odgradzała skromne włości ojca od wielkich pól pana Wolina.

– Musisz umjeerać z podniecenia, kuzynku, absolutnie koonać! – mówiła wtedy Elizawieta, śmiesznie przeciągając zgłoski, jak to zdarzało jej się w chwilach poruszenia. – Pomyśl tylko, sympoozja w stolicy, honory, spootkania z koronowanymi głowami, baale.

– Zapominasz o miesiącach męki w piekielnej duchocie i skwarze, które mnie czekają, zanim dostąpię tych wszystkich cudowności. I o insektach. – Słyszac to, Elizawieta wzdrygnęła się. – Wężach. – Kolejne wzdrygnięcie. – Komarach. Bagnach. Dzikich tubylcach.

– Ależ, kuzynku, jestem pewna, absolutnie pewna, że wszystkie te okropności nie są ci straszne. Przygody hartują mężczyzn, czyż nie? Och, jakżeż ci zazdrooszczę! Najpierw mię porzuciłeś i ucieekłeś na uniwersytet. Teraz jedziesz do miasta. A za miesiąc ujrzysz

wszystkie, absolutnie wszystkie cuda Sogno Ventura. Czyż to nie wspaniałe, że ekspedycja tego całego profesora Wilskiego...

– Bilskiego...

– ...dokładnie... rusza właśnie z Sogno Ventura? Na samą myśl o sławnym karnawale, sonijskich jedwabach, operze Hozera... Och, kuzynku, jak żałuję, że nie mogę jechać z tobą!

Zarumieniłem się wtedy. Widziałem ją przecie oczyma wyobraźni u mego boku, w powozie, w najpiękniejszej willi w Sogno Ventura, na salonach. Ja – odkrywca; ona – ma piękna nagroda.

Głupi byłem.

– Najdroższa Elizawieto – powiedziałem w przyływie uczuć – przyrzekam, że jak tylko powrócę, jak tylko zabezpieczę rodzinną fortunę, jak tylko osiągnę pozycję...

Nie dała mi skończyć. Roześmiała się.

– Zły jesteś, kuzynku, zły-niedobry – zaczęła się droczyć. – Wiem, że o mnie zapomnisz. Wrócisz bogaty, sławny, z piękną żoną na ramieniu i wtedy czymże będzie dla ciebie biedna kuzyneczka?

– Elizawieto... – zacząłem. – Elizawieto... Droga, najdroższa... Musisz wiedzieć...

Chciałem jej wtedy powiedzieć. Tak, chciałem powiedzieć. Ale nie słuchała.

– Nie martw się, zły-niedobry kuzynku. Niedługo moje urodziny, zysczę prawo do skromnego spadku po tatku i pojedę do miasta.

– Ależ... Ależ tutaj zawsze będzie dla ciebie miejsce, u mnie, ze mną...

– I z twoją piękną żoną? W żadnym razie, kuzynku. Znajdę ja sobie bogatego męża w mieście, a potem wszyscy czworo będziemy przechadzać się po Bulwarze Głupców w Sennym Mieście.

– Elizawieto, z pewnością nie chcesz tego zrobić.

– A czemuż niby?

– Miasto to nie miejsce dla urodziwej, a właściwie pięknej, tak pięknej!, młodej panny z dobrego domu, kulturalnej... Miasto jest siedliskiem występku i niskich żądź. Ktoś o tak wrażliwej naturze jak ty...

Gniewała się, widziałem. Oczka jej ściemniały, pąsem okryło się lico.

– Ty, kuzynku, jesteś zły-niedobry. Sam to możesz jechać do miasta, a ja, co, mam tu gnić?

– Elizawieto...

– Ty tego nie wiesz, kuzynku, ale ja też jestem zła-niedobra. Mi w mieście będzie

wspaniale.

– Nie wiesz, o czym mówisz. Proszę, Elizawieto, posłuchaj... Przysięgam, że jak tylko wrócę z ekspedycji profesora Bilskiego, zabiorę cię do miasta na tak długo, jak tylko będziesz chciała. A potem popłyniemy prosto do Sogno Ventura. Ale ty ze swej strony obiecaj mi, obiecaj mi Elizawieto!, że nie pojedziesz sama do miasta, że nie będziesz próbowała tam szukać fortuny i szczęścia.

\*\*\*

Gong dźwięczy po raz wtóry.

Warkot głosów cichnie na chwilę, potem w dwójnasób przybiera na sile.

– Powiadam, to będzie coś. To będzie to. To będzie to coś, niech szczeżę!

– Doprawdy, hem, słyszałem, że hrabina uszykowała nam coś nie z tej ziemi, hem, hem.

– Jeno patrzeć! Jeno patrzeć!

– Bosko!

– Powiadają, proszę słuchać, powiadają, czy pan słucha, powiadają...

– Weź ten, weź ten...!

Spocone ciała zaczynają na mnie napierać. Cóż za brak smaku: rozchełstane koszule, kamizele na wierzchu.

Między innymi pełźnie i wije się Glinka. Uśmiecha się, gdy mnie widzi. Mruga porozumiewawczo, molestuje wąsa. On wie, co takiego czeka w kolejnych pokojach. Raduje się radością pluskwy na myśl o tym, jakie zezwierżenie uda mu się zaaplikować.

Ludzka rzeka zabiera mnie ze sobą. Pozwalam jej. Wnet otaczają nas jakoweś wonne wyziewy, dymy orientalnych kadzideł. Światło się mroczy. Rozbrzmiewa muzyka. Hrabina daje znak i w wydzielonej przestrzeni pojawiają się chłopięta i dziewczęta o pospolitej, ludowej urodzie i pustych, przemglonych oczach. Widownia entuzjazmuje się migającymi wśród skąpych szatek kawałkami mięsa i tłuszczu, otworami i implementami do ich penetracji, akcesoriami sprawdzającymi pojemność, wytrzymałość, rozciągliwość.

Zaczynają się demonstracje, przyjmowane krzykami zachęty. Ciągnie się to.

Wtem przychodzi moment na clou wieczoru. W skrzyżowanych światłach objawia się dziewczątka nie mniej pospolite niż inne, może nieco bledsze i nieco młodsze. Towarzyszy jej dwóch czarnuchów i jakoweś gospodarskie bydlę.

Ale cóż to? Widzę: twarz doktora Dąbrowskiego blednie, czerwienieje. Oczy szklą się. Warga zaczyna drżeć. Doktor cofa się, chwieje. Stłoczone ciała nie chcą go wypuścić, ale on

z siłą desperata rozrzuca je na boki. Ucieka. Ucieka.

Prę za nim. Nie wiem czemu. Nie próbuję wołać, w huk i tak mnie nie dosłyszysz.

Grzęznę w ludzkiej masie. Obce ciała stają mi zawadą.

Doktor niknie mi z oczu.

\*\*\*

Jestem zmęczony. Nogi drżą pode mną. Powieki zdają się ciężkie, w uszach huczy. W głowie roją się myśli jak muchy.

Czuję, że dłużej nie dam rady. Siadam w starej bramie. Tam ciepłej, suszej, wiatr tak nie zawiewa, deszcz nie siecze. Opieram głowę o zmurszały mur. I już wiem.

On jest tuż.

Najpierw węszę jego zapach: krew, zgniłe mięso, mokra sierść. Potem słyszę delikatne, przenajdelikatniejsze stąpięcia łap. Prawe ucho, policzek omiata mi gorący dech. Wypełnia mnie zimno. Serce wali jak oszalałe, wiem, że musi walić, bo jeszcze nie umarłem, bo w oczach latają mroczki. Ale nie czuję tego bicia.

Jaszczur, który mieszka w odmętach mojego mózgu, mózgu każdego człowieka, próbuje spiąć mięśnie, poderwać mnie do ucieczki.

Nie ma ucieczki.

Przygotowuję się na ból. Próbuję nie myśleć o tym, jakie to uczucie, gdy ciało odrywa się od kości, pękają naczynia krwionośne.

Cios nie nadchodzi.

No tak, przecież musi mi spojrzeć w oczy.

Para ciężkich łap opiera mi się na piersi, dusi. Jęczę słabo, wbrew sobie. Odwracam wzrok. Nie chcę patrzeć w te okrutne, żółte ślepie.

Patrz, mówi *Mauti*.

Kręcę głową. Drzę. Czuję wilgoć na twarzy. Łzy, ślina.

Popatrz mi w oczy, mówi *Mauti*. Wiesz, co w nich jest.

Patrzę. Lwi pysk uśmiecha się do mnie. Ciężki, czarny łeb kładzie się na kolanach. Zamieram. Oddech grzęźnie w piersi.

Drgnąć?

Nie drgnę, nie zdołam.

Z żółtych ślepi ciekną ropa i łzy. Plamią mi spodnie. Z pyska sączy się krwista piana. Sierść się leni, skóra cienieje na moich oczach. Smród staje się nie do wytrzymania. Mdli

mnie. Świat zaczyna wirować.

Odsuwam się. Muszę. Nie mogę, nie mogę...

Łeb unosi się nagle. Z lwiej gardzieli dobywa się trupi grzechot.

– Jeszcze nie, jeszcze nie – szepczę.

Dobrze, odpowiada *Mauti*.

Unosi się na wszystkie cztery łapy. Cofa. Lwie cielsko znów nabiera życia. Zmoczona deszczem sierść lśni, prężą się mięśnie.

Patrz mi w oczy, mówi *Mauti*.

Patrzę.

Teraz, mówi *Mauti*.

Teraz.

Lew skacze. Rzuca mi się do gardła.

Nie!

Jaszczur każe mi się bronić. Unoszę ręce w obronnym geście. Zwijam się. Ciężkie łapska tłuką o moje boki. Potężne szczęki kłapią tuż przed twarzą. Chwytam oburącz lwi łeb. Staram się trzymać z dala od siebie. Ale jest taki silny. Tak silny.

Nie walcz, mówi *Mauti*.

Ale ja muszę. Walczę.

Jestem za słaby. Czuję, jak członki słabną. Tchu w płucach nie starcza. Masywne cielsko gniecie żebra. Pazury orzą ziemię, szukają ciała. Paszcza miota się nade mną. Omdlałe palce nie są w stanie jej utrzymać. Ślizgają się na włosiu, same uciekają, jakby bały się kłów.

Puszczają.

Rozbrzmiewa huk wystrzału.

\*\*\*

Smród spalonego prochu gryzie mnie w nozdrza. Lufa rewolweru dymi. Parzy mnie w udo, ale nie unoszę dłoni zaciśniętej na kolbie. Nie mam pojęcia, do czego strzelałem. To musiało być jakieś ogromne, zdziczałe psisko. Wściekle, z pewnością. Widziałem szaleństwo w jego złotych, zaropiałych ślepiach.

Doktor Dąbrowski unosi się powoli. Patrzy na mnie, lecz nie widzi. Podchodzę do niego.

Mamrocze coś.

– ...mma...ty... mma...ty...

– Co takiego, doktorze?

– Wyzwolenie.

Chowam pistolet. Ocieram pot z czoła. Gorąco mi, mimo iż zimna wilgoć przesiąka przez paltot.

– No dalej, doktorze, na nogi.

Pomagam mu wstać. Pozwala mi.

– Niezłego miał pan stracha, co? – Bełkoczę. Gadam byle co, byle gadać. – Będzie nauuczka, żeby nie włóczyć się nocą po gorszych dzielnicach. Wszystkiego się po nich można spodziewać.

Dąbrowski nie reaguje; absolutna katatonia. A ja mówię dalej, do siebie, do niego – nieważne.

– Na taką wycieczkę warto zabrać rewolwer. Ja tak zawsze robię. Lubię włóczyć się po zakamarkach, jak pan widzi. Życie tutaj inaczej smakuje, co, doktorze? Ale zawsze z rewolwerem u boku. Tak, tak. Nigdy człowiek nie wie, co tu może spotkać.

Zamglone, puste oczy zwracają się na mnie.

– Kim pan...?

Słowa rwą się. Ten, który je uronił, zatacza się. Podtrzymuję go.

– Opuścił pan przyjęcie u drogiej hrabiny w dużym pośpiechu. Nie powiem, że się panu dziwię. Wszystko to było w nader złym smaku. Takie... cielesne. Duszne.

– Muszę... muszę...

Doktor wyrывa mi się z rąk. Postępuje kilka kroków. Staje.

– Musi pan wrócić do domu – podchwytuję. – W rzeczy samej. Kompres, łóżko i szklanka koniaku to to, czego panu trzeba, jak zresztą z pewnością pan wie. Proszę pozwolić, że panu pomogę. Przejdźmy gdzieś, gdzie można złapać dorożkę. Proszę, proszę.

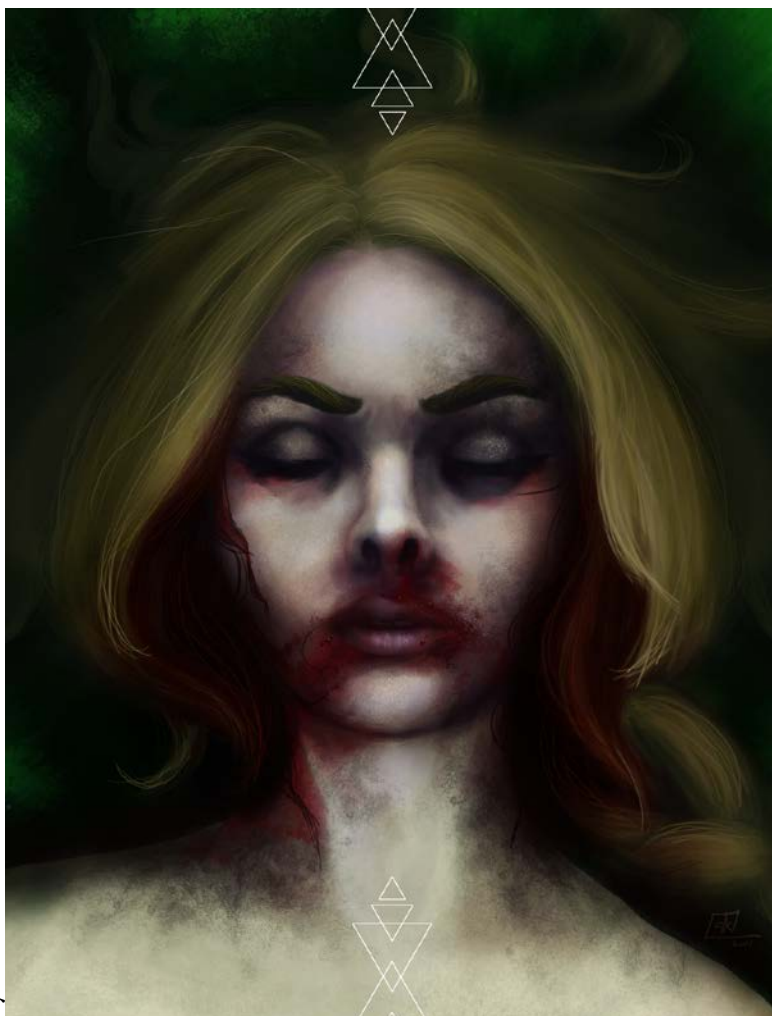
Daje mi się prowadzić. Drepczemy w półmroku i deszczowej mgielce jak dwie ślepe kaleki. Jednak wkrótce widać światło.

## **Epilog**

Doktor Dąbrowski obwiesił się.

**Koniec**

rys. Karolina Stolarska



# WŁADCY DUSZ

Mateusz Skrzyński

— Nie mam szkoły, to prawda — powiedział Willy. — Nie jestem zbyt bystry, jeśli chodzi o pisma. Nie znam się też na prawie. Wiem za to dużo o łowieniu ryb, strzelaniu do ptactwa i skutecznym schodzeniu niedźwiedziom z drogi, żeby nie miały okazji mnie zjeść.

Budynek leżał dziesięć minut jazdy od szerokiej drogi, prowadzącej wzdłuż wybrzeża. Gdzieś na pograniczu cywilizacji i dziczy starych lasów oraz niskich porostów północy. Morze było tutaj lodowate i przygnębiające. Lars ucieszył się, gdy przy drodze pojawił się przekrzywiony od wiatru znak, wskazujący, że najbliższy skręt w prawo prowadzi do zajazdu.

Musiał odpocząć. Jechał od dziesięciu godzin, a życie buzowało w nim ze wzmożoną



siłą. Chciał się napić, a później przespać kilka godzin. Albo nie, tylko tyle, by się odświeżyć. Może godzinę albo mniej, bo to, co wiozł w bagażniku, musiało przeżyć. Nie chciał tego poić ani karmić. Nie dlatego, że mogło mu zrobić krzywdę, ale spoglądanie na to przygnębiało go, a on chciał zachować jasność umysłu.

— Nie mam togi ani drogiego garnituru — ciągnął Willy. — Nie kolekcjonuję książek z paragrafami, ale wiem, że sprawiedliwość ma krótkie ręce. Gdyby było inaczej, dawno siedziałbym w więzieniu.

Tom stał za barem i polerował bardzo starą, piękną szklanekę. Mogła w tym zapomnianym miejscu z powodzeniem przeżyć hutnika, który ją wyprodukował. Kiedy barman nalewał do niej whisky, Lars podziwiał, jak grube, zmatowione szkło przedziwnie zakrzywia ciemnobrązowy kolor alkoholu. Jakby oglądał zdjęcia satelitarne prądów morskich, tylko w miniaturze.

— Mały, słodki cud stworzenia — powiedział i uśmiechnął się do Toma, gdy ten spoglądał na niego oczami zmęczonego człowieka.

Willy nosił w sobie historię, która nie miała już początku, ani końca. Gnieździła się w nim, czekając na najmniejszą okazję, aby zostać ponownie wyartykułowaną. Od Larsa zależało, czy Willy będzie miał pretekst do wyciągnięcia jej na wierzch. Zapowiadało się na jakąś zapętloną w Willym historię, która nie miała już początku, ani końca i tylko od Larsa zależało, czy zostanie wyartykułowana, czy nie.

— Krótkie ręce? — Lars oparł się o blat i obrócił w stronę Willego. Stało się. Przesądzone. — Chciałbym usłyszeć coś na ten temat.

— Działo się to w czasach kryzysu — zaczął. — Przeżyliśmy tu zimy pełne głodu i rozpacz, chłopcze.

„Chłopcze”, pomyślał Lars. Miał czterdzieści lat i jeśli ktoś mógł nie zauważyć piętna, które czas odcisnął na jego twarzy, to tylko tacy ludzie, jak Willy. Wieczni starcy z pogranicza, dorabiający się zmarszczek równie szybko, co braków w uzębieniu. Kiedy przekraczają pięćdziesiątkę, zsycają się i skręcają jak pień drzewa oliwnego. Potem nikt nie jest w stanie zgadnąć ile mają lat.

— Wyszedłem polować. W dolinie oddałem kilka strzałów do wiewiórek. Nie trafiłem. Jak sobie teraz pomyślę, jak bardzo pragnąłem ustrzelić je i zapakować do worka, to chce mi się śmiać. Ledwie kilka kęsów mięsa. Ale potrzebowałem ich, żeby wykarmić żonę i synów.

— Nigdy nie miałeś żony, Willy — wtrącił się Tom. — Jesteś starym, samotnym człowiekiem, opowiadającym bzdury.

— Potrzebowałem mięsa, aby nakarmić chłopaków — powtórzył niezrażony. — Mogłem polować na grubszą zwierzynę, ale wystrzelaliśmy ją prawie zupełnie, resztę zjadły wilki. Wziąłem lekką broń i torbę na ramię. Chciałem zatoczyć szybkie, ale duże koło, a śnieg zalegał wtedy po pas. Mówię ci, w takich warunkach pół kilograma robi różnicę. Szedłem przez pustkowie, nie mogąc dostrzec choćby kruka. Miałem wrażenie, że energia we wszystkim wokół zatrzymała się i idę właśnie dnem opuszczonego piekła. Dusza skurczyła się we mnie, była maleńka jak szyszka i gdybym zatrzymał się na pół godziny, żeby odpocząć, łatwo mógłbym zagubić ją w zaspie. I wreszcie stało się. Spotkaliśmy się na wzgórzu. Dobrze pamiętam, Tom? Miał na imię Andy?

— Tak, Andy, co zaginął w lesie — potwierdził.

— Andy, co zaginął — powtórzył Willy. — Ale on wcale nie zgubił się w lesie. Kiedy próbowałem wspiąć się na szczyt wzgórza, on z niego schodził. Andy był naprawdę potężnym facetem. Niósł na szerokich barkach ogromnego, pozbawionego łba jelenia. Nigdy nie dałby rady znieść go w całości. Widać trudno przychodziło mu pogodzenie się z myślą, że zostawi choćby jedną nogę. Pocił się i czerwienił, a kiedy dostrzegł mnie, dzieliło nas jakieś pięćdziesiąt metrów, zrzucił jelenia z ramion. „Pomogę ci go nieść, Andy”, krzyknąłem, wiedząc, że nic z tego nie będzie. Pomyślałem, że powinienem wyjechać na południe, kiedy nie miałem jeszcze rodziny na utrzymaniu. Zostałbym farmerem. W ciepłym klimacie zbierałbym plony dwa razy do roku. Kupiłbym sobie wspaniały motor i spłodził więcej dzieci. Ale byłem człowiekiem północy. Podniosłem broń i wycelowałem w Andy’ego. Oczywiście w mig się połapał. Wyciągnął nóż. Ruszył na mnie. W tym swoim kożuchu wyglądał jak rozwścieczony niedźwiedź. Zrobiłem mu piękną dziurę w głowie. Padł w zaspę i już się z niej nie podniósł. A mnie — Willy uśmiechnął się paskudnie — przypadło do gustu, jak zadbałem o swój los.

Lars odstawił szklanekę i spokojnie podrapał się w skroń.

— Powinienem już iść — powiedział do Toma, a on ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Potem — Willy zamierzał skończyć opowieść — coś pognało mnie na zachód. Wykombinowałem sobie, że zarobię na rozbojach dość, żeby odłożyć na piętrowy dom. Miałem jeszcze skrupuły. Wtedy na wzgórzu to była sprawa życia lub śmierci. Polowanie jest jak loteria. Kilkadziesiąt kilogramów mięsa znaczyło tyle, co przetrwać zimę. Z rabowaniem jest inaczej. Jak dobrze kombinujesz, nie musisz nikogo mordować, aby go okraść. Nie robiąc z tego czegoś osobistego, możesz zachować dość spokoju, żeby uderzyć pałką raz, a nie o jeden raz za dużo. Tak właśnie myślałem i uważałem, że to dojrzałe. Zmieniłem zdanie, kiedy jeden facet zrobił mi rurką zagłębienie w głowie. — Odchylił kołnierz, odkrywając

paskudną bliznę u podstawy czaszki. — Tak to się kończy, gdy jeden traktuje sprawy zbyt osobiście, a drugi nie. Od tamtego czasu coś się we mnie poprzestawiało. Przestałem się bać. Zabiłem dwadzieścia trzy osoby — zakończył.

Wyglądał na człowieka, któremu spowiedź nie przyniosła ulgi. Wręcz przeciwnie, mówienie obudziło w nim melancholię i złość.

— Co zamierzasz zrobić ze sprawami, o których ci opowiedziałem, chłopcze?

— Nic — odpowiedział Lars. — Absolutnie nic.

— Czy możemy mu wierzyć, Tom? Wygląda mi na szpicla.

— Przyjechałeś tutaj, żeby nas szpiegować? — zapytany wściekł się. Ułamek sekundy wystarczył, żeby z potulnego, zmęczonego kołesia w średnim wieku zmienił się w nieobliczalnego faceta. — Nie znoszę pieprzonych donosicieli.

— Tom nie lubi ludzi, którzy zbyt chętnie dzielą się informacjami. Zostało mu to z wojska, ale to już jego historia.

Lars spojrzał w stronę drzwi. Wydawały się być bardzo daleko. Przez okno zobaczył swojego srebrnego sedana. Samochód delikatnie zachwiał się na amortyzatorach. Coś poruszyło się w bagażniku.

— Masz w kieszeni kurtki bardzo ładny nóż — zauważył Willy. — Widzę rękojeść. Czy jest z kości słoniowej?

— Nie — odparł Lars. — Ale ma ostrze z dobrej stali.

— Myślę, chłopcze, że powinieneś mi go oddać. Daj staremu Willy'emu nóż, a potem możesz odjechać, dokąd chcesz.

„Tak będzie”, pomyślał. „Niech to szlag, a więc tak właśnie będzie.” Ostatnia walka w przedśionku nieba, czekającego głęboko w dziczy, dokąd zmierzał.

— Nie mam ochoty się z nim rozstawać — powiedział.

— Mamy problem, chłopcze. — Willy wstał, a Tom wyciągnął zza baru aluminiowy kij bejsbolowy. — Bo bardzo chcę go mieć. Naprawdę bardzo.

Lars musiał sięgnąć pamięcią daleko wstecz, aby przypomnieć sobie, jako to się zaczęło.

Mieszkali z matką na odludziu, w jednym ze starych wiktoriańskich domów w galopującym rozpadzie. Najbliższy sąsiad osiadł w dużej odległości. Przy ich niechęci do obcych, mogli go nigdy nie spotkać. Miasteczko Rotch leżało na południowy zachód. Trzeba było pokonać długą leśną drogę, później wjechać na asfaltową jezdnię i przebyć ponad dwadzieścia kilometrów, żeby wybrać się na zakupy.

Lars nie znał ojca, ale z powodzeniem mógł go sobie wymyślić. Na blatach w kuchni,

na stole w jadalni i szafkach w salonie zalegały resztki białego proszku, a w piwnicy pracowała aparatura do jego produkcji. Wystarczyło położyć na języku tyle, co nic i pozwolić się temu rozpuścić.

Lars kładł się na podłodze i odwiedzał różne miejsca. Mógł mieć tatę albo dwóch, lub dziesięciu. Żadne pragnienie nie posiadało granicy, której nie można by przesunąć.

Luise przyjmowała gości raz w miesiącu. Dzień piętnasty stał się dobą duchów. Ludzie przemykali przez dom, a Lars brał ich za zjawy. Musiał użyć nieco więcej proszku, aby je oswoić. Przesuwały się wtedy wolniej albo szybciej, ale nigdy nie wydawały się w pełni realne.

Aż jednej jesiennej nocy matka obudziła go i kazała się ubierać. Za oknami migotały niebieskie światła radiowozów. Uciekli tylnym wyjściem w dzicz. Lars zabrał ze sobą koc, którym Luise otuliła go, wpełchnęła w zagłębienie pod wielkim drzewem i przykryła mchem oraz liśćmi.

— Zostań tutaj — powiedziała. — Wrócę po ciebie.

Lars spędził w korzeniach sekwoi dwa dni. Najpierw było zimno, nogi mu zdrętwiały, z trudem mógł nimi poruszyć. Później chłód zamienił się w dreszcz. Ogarnęło go leniwie rozprzestrzeniające się ciepło. Nigdy wcześniej nie czuł, że jest mu tak dobrze.

Wieczorem pod koniec drugiej doby poczuł szarpnięcie. Luise wyciągnęła go na powierzchnię. Obudził się w motelowej łazience, w wannie wypełnionej gorącą wodą.

Zamieszkali w mieście, w lofcie na granicy dzielnicy portowej. Matka nauczyła Larsa czytać i pisać. Zaczął rozmawiać z ludźmi, którzy przychodzili po narkotyki. Później udawał się z nimi na miasto. Słuchał muzyki. Całkiem nieźle śpiewał. Gdy w wieku siedemnastu lat założył kapelę i nie wygrał konkursu, przyszedł do domu blady i słaby od nadmiaru koksu.

— To nie dla ciebie, Lars — mówiła Luise, wciągając kolejną kreskę. — Wszystkie cholerne sprawy ludzi nie są dla nas, dzieciaku. Nie powinieneś się nimi przejmować.

Nie najlepiej radził sobie w miłości.

— To nie dla ciebie, Lars — powiedziała raz jeszcze. — Nie przejmuj się.

A kiedy chciał zdawać na studia, oznajmiła:

— Nie marnuj czasu, mały. Nauczę cię najwspanialszej chemii na świecie. Będziesz rządził ludzkimi duszami.

Lars kupował płyty. Gromadził je w pudłach.

W nocy słuchał własnego szybko bijącego serca. A kiedy noc była wyjątkowo ciemna, a narkotyk nie okazywał łaski, pragnął zamienić się w drzewo.

Luise w tym czasie produkowała i ćpała. Rzeczywistość zamieniła się dla niej

w zupełnie nic. Wciągała kreskę za kreską. Krew ciekła jej z nosa. Wypływała z dziąseł, które kurczyły się, nie mogąc utrzymać zębów. Ale to nie miało znaczenia. Wreszcie upadła na podłogę i długo się nie podnosiła.

Lars uniósł się z kanapy i, obojętny, stanął nad matką. Jej prawa dłoń poruszała się od czasu do czasu. Włożył między palce długopis i podłożył kartkę.

„112”, „112”, „112”, pisała.

Zadzwonił po karetkę.

Luise zapadła w śpiączkę. Spędził przy jej łóżku trzy dni. Kiedy zrozumiał, że nie ma zamiaru się obudzić ani nie planuje umrzeć, wreszcie do niego dotarło.

„Wszystkie cholerne sprawy ludzi nie są dla nas”, mówiła i miała rację. Cały ten sprzęt, rurki, metalowe łóżko z podnośnikiem. Nie mogła tam umrzeć ani powrócić do życia.

Zrozumiał, że z nim jest tak samo. Dopóki nie opuści miasta, sprawy pozostaną w zawieszaniu. Musi wrócić pod drzewo, zakopie siebie i matkę w ziemi. Pozwoli, żeby gleba wyciągnęła z nich wszystkie brudy.

Odłączył Luise od aparatury. Wziął ją na rękę. Przeszedł przez oddział niezauważony i dopiero przy wyjściu na klatkę schodową dostrzegła go pielęgniarka.

— Halo! — krzyknęła. — Proszę wracać!

Pokonywał stopnie, kiedy szarpnęła go za ramię. Ciało matki wypadło mu z ramion i przekeziołkowało po schodach. Skręciła kark.

— O Boże! O Boże! — zawodziła szeptem pielęgniarka. Miała długie, proste włosy splecione w warkocz. — Tak mi przykro. Sprowadzę pomoc.

Na półpiętrze byli sami. On, ona i myśli Larsa, które doprowadzały go do rozpaczki.

Willy miał swój własny, długi i szpiczasty nóż, który wyciągnął z cholewy buta.

— Masz zamiar potraktować to osobiście, co? — zapytał.

Lars wyciągnął broń z kieszeni kurtki.

— To nie ma znaczenia — odpowiedział.

Uchylił się przed pierwszym pchnięciem. Willy poruszał się szybko i nieprzewidywalnie. Zamarkował cios od góry, uderzył z boku. Nóż wbiłby się głęboko w tułów Larsa, gdyby nie Tom, który przywalił przyjacielowi prosto w tył głowy. Uniósł kij jeszcze raz i uderzeniem złamał Larsowi bark. Drugi cios wymierzył w skroń. Trafił bezbłędnie.

— Dlaczego nie możecie dać mi spokoju? — powiedział z wyrzutem. — Chcę tylko odrobiny spokoju.

Wyciągnął klucze z kieszeni Larsa. Wyszedł na parking przed zajazdem.

Wsiadł do sedana, zajrzał do schowka i na tylne siedzenie. Zamierzał przewieźć ciało do kamieniołomu, obciążyć je i wrzucić do zalewiska.

W bagażniku wyczuł ruch.

Otworzył klapę. Wewnątrz, w pozycji embrionalnej leżała młoda kobieta z włosami zaplecionymi w warkocz. Była przytomna.

Chwycił ją za szyję i zacisnął dłoń. Miał wielkie dłonie.

Trwało to kilkanaście sekund, zanim przyszła refleksja.

— Zrobiłem dziś dość złego — pomyślał.

Rozluźnił mięśnie, ale użył dość siły, aby pozbawić ją świadomości. Przerzucił ciało przez ramię i ruszył w las. Zatrzymał się dopiero, gdy znalazł odpowiedni szlak. Delikatnie ułożył kobietę na mchu.

W prawo ścieżka prowadziła do drogi. Wystarczyła godzina piechotą. W lewo brnęła w głąb doliny, daleko w dzicz i kończyła się ślepo w wysokim lesie.

Los miał zdecydować, czy przeżyje.

rys. Marcin Czarnecki



# ZŁO

Piotr Barej

Wydarzenia, o których chcę opowiedzieć miały miejsce jesienią 1867 roku w centralnej części mego ukochanego wolnego państwa stanowego niedaleko samej Pszczyny, w geograficznym trójkącie pomiędzy Kobiórem, Tychami a Bieruniem, nieopodal Jeziora Paprocańskiego. Przyczyn pożaru z dnia dwudziestego czwartego września tegoż roku po dziś dzień nie poznano. Nie sądzę aby przy pomocy pieniędzy z Towarzystwa Ubezpieczeń Ogniwych udało się odbudować pałacyk w ciągu roku gdyby prawda o tym miejscu wyszła na jaw. Ale już zbyt długo trzymałem to w tajemnicy, zbyt długo próbowałem ukrywać ten sekret w głębi swojej duszy. Dziś wreszcie mogę powiedzieć wszystko. Właśnie dziś, wiedząc, co czeka mnie w najbliższych chwilach chcę wyznać całą prawdę skrywaną przed wszystkimi.

Puszcza Pszczyńska, to piękny dziewiczy teren, z ogromem lasów i mnogością jezior tylko gdzieniegdzie tknięty ręką człowieka. Puszcza, w której zwierza wszelakiego niezliczone ilości. Począwszy od saren i jeleni, poprzez dziki, na wilkach kończąc. Że innych nawet nie wspomnę. Zdawała się być doskonałym miejscem dla organizowanych polowań. To tu właśnie, w samym sercu puszczy w latach 1760 – 1766 wzniesiony został dworek. Choć założenia słuszne, nie udało się Promnitzom utrzymać tej perełki w idealnym stanie. W niespełna sto lat później książę z Pszczyny Hans Heinrich XI Hochberg zlecił wybudowanie na miejscu chylącego się ku upadkowi dworku swój wymarzony pałacyk myśliwski, w popularnym w tym czasie stylu angielskiego neogotyku z widocznymi wpływami niemieckimi. Budowla powstała w 1861 roku. To w nim odpoczywać mieli podczas polowań najznakomitsi goście przebywający u rodu Hochbergów. Jednak, jak już wspomniałem na wstępie, sześć lat później budynek spłonął, w, jak się utarło wśród miejscowych, nieznanym okolicznościach. Czy to aby nie dziwne, że wszystko to zaczęło dziać się prawie dokładnie w sto lat po wybudowaniu pierwszego dworu?

Wczesną wiosną roku 1867 zostałem wynajęty do dbania o porządek w pałacyku i jego najbliższej okolicy. Zająłem miejsce starszego i schorowanego już pana Penkalli. Człowieka, który nie tylko, że zajmował się wszystkim, ale, co ważniejsze, znał się na tym i potrafił wszystko, co było mu niezbędne w tej pracy. To on pokazał mi to, co najważniejsze, oprowadził po całej okolicy. Powiedział, których miejsc unikać, bo grząskie tereny, a w których można czuć się bezpiecznie. Pokazał jak zająć się końmi w stajni, gdy goście przyjadą, jak przygotować pokoje pod wypoczynek. Który kominek musi być ciągle rozpalony aby utrzymać minimalną temperaturę w pałacyku, co istotne wydawało się być szczególnie jesienią i zimą. Cudowny człowiek, ale widać było, że już zmęczony życiem. Do tego chyba nie do końca zdrowy na umyśle. Zdarzało mu się przebąkiwać wieczorami, przy kominku i z fajką w ustach o jakimś „złym” czającym się w okolicy. Niestety nigdy nie dowiedziałem się, jak unikać konfrontacji z niechcianym sąsiadem.

Miałem sporo obowiązków na głowie, ale oczywiście w czasie, gdy przebywali tu goście, był również dodatkowy personel. W kuchni zawsze krzątały się dwie lub trzy kucharki, a przenikające każdy zakamarek budynku zapachy gotowanych, pieczonych oraz wędzonych potraw budziły człowieka i od najwcześniejszego ranka wprawiały w iście dobry nastrój. Kilka służących biegło tam i z powrotem wówczas po całym budynku, zajmując się najróżniejszymi sprawami, dzięki czemu przynajmniej część obowiązków zdejmowały z moich barków. Za każdym razem, gdy wyjeżdżali goście, znikał również personel i zostawałem sam. Nie było mi źle z tego powodu. Zawsze miałem co robić w ciągu dnia,



a wieczorami lubiłem oddać się lekturze książek z tutejszej biblioteki, siedząc w fotelu przy kominku z kubkiem grzanego piwa.

Na cały zespół pałacowy, oczywiście poza głównym budynkiem, składała się jeszcze nieduża stajnia, mogąca pomieścić nie więcej niż siedem, może osiem koni. Zaraz przy niej była wozownia oraz mała drewniana komórka na cały niezbędny sprzęt do utrzymania porządku wokół pałacu. Sam pałacyk myśliwski był budynkiem dwukondygnacyjnym z poddaszem, które wykorzystywane było na pokoje dla służby. Tam również i ja miałem swój kąt. Chociaż, za radą mojego poprzednika, w trakcie samotnych pobytów w budynku korzystałem z pomieszczeń znajdujących się na parterze. Budynek był częściowo murowany, z nadbudówką z drewna, wewnętrzne ściany wykończone zostały w drewnie, a całe wyposażenie wewnątrz utrzymane w stylu związanym z polowaniami. Głowy jeleni czy innych upolowanych zwierząt w formie trofeów wisiały na ścianach, z gdzieniedzie zawieszonymi rycerskimi hełmami oraz proporcami herbowymi. W holu, zaraz za wejściem, pod ścianami ustawione były drewniane ławy oraz krzesła, na których można było przysiąść i odpocząć po trudach związanych z wyprawami w okoliczną dzicz. Na dole znajdowała się jeszcze duża sala z kominkiem oraz biblioteczką, zajmującą niemalże całą powierzchnię ścian, cztery pokoje, kuchnia i toaleta. Na piętrze były tylko pokoje wraz z równie dużą co na parterze salą. Nie mogę jeszcze nie wspomnieć o jakże urokliwej wieżyczce, z której rozpościerał się cudowny widok na jezioro.

Podczas dni, w których przebywałem w pałacu sam, uwielbiałem wybierać się na popołudniowe, poobiednie spaceru poprzez las lub wzdłuż brzegu jeziora. Jeziora, które, jak słyszałem od pana Penkalli, powstało jakieś siedemdziesiąt lat temu, dopiero pod koniec osiemnastego wieku dla potrzeb położonej niedaleko Huty Paprockiej. Widok zachodzącego słońca nad wodą powodował wzruszenie za każdym razem, gdy je widziałem. Mgły unoszące się nad jeziorem oraz gwiazdy przeglądające się w tafli niewzburzonej wody sprzyjały jak gdyby mistycznemu przeżyciu, nieporównywalnemu do niczego innego. Widok ten miał w sobie to coś. Każdy spacer, jeśli tylko się dało, musiał kończyć się tym widokiem wprawiającym mnie w zadumę trwającą przez dłuższy czas. Niejednokrotnie zapomniałem się tak dalece, że wracałem do miejsca swego spoczynku grubo po północy, przez czarny, gęsty, momentami nieprzyjazny las. Drzewa stały wówczas na baczność niczym żołnierze w garnizonie. Ale zza nich spozierały jak gdyby pomniejszone postacie ich samych. Drzewka, krzewy migocące liśćmi na wietrze, przez które pojawiała się nieprzyjemne uczucie, kojarzące mi się tylko z tym, gdy czuje się czyjś wzrok na sobie. Niby nie widzi się osoby, która obserwuje, ale jest to uczucie. Tutaj było podobnie. Nigdy nie wiedziałem czy ciarki

przechodzące po plecach były wynikiem tego fantazyjnego doznania, czy też przenikliwego chłodu wiejącego od strony jeziora. Po późnych powrotach do pałacu jeszcze przez długi czas nie mogłem otrząsnąć się z tego nieprzyjemnego wrażenia. Dopiero czas spędzony z ciepłą herbatą przy kominku pozwalał mi zapomnieć o tych jakże dziwnych doznaniach i położyć się spać z w miarę uspokojonym umysłem.

Z czasem goście bywali tu coraz rzadziej, a ja spędzałem więcej chwil samotnie w tej zalesionej krainie. Zarówno wiosna, jak i lato przeminęły w mig, nawet nie obejrzałem się, kiedy przyszła jesień i liście zaczęły powoli spadać z drzew. Częściej również zaczęła doskwierać mi samotność. Z pracą uwijałem się szybko, zresztą nie było jej wcale tak dużo w sytuacji, gdy nikt się nie zapowiadał. Nie mogłem spędzać każdego dnia przed kominkiem z książką, więc starałem się wychodzić na zewnątrz tak często, jak tylko mogłem. Krzątania w obejściu wokół pałacu dawała mi lekkie ukojenie, ale dalsze wyprawy stawały się coraz to większym wyzwaniem dla mego umysłu. Nie opuszczało mnie przekonanie, że w lesie ktoś się czai, ciągle mnie obserwuje. Czasem słyszalne były dźwięki łamanych gałęzi, zupełnie jakby ktoś na nie nadepnął. Jak możecie się domyślać, nigdy nikogo nie widziałem. Nigdy nikt nie odpowiadał na moje zawołania. Ale ja wiedziałem, ja czułem, że tam jest, w tym lesie, czai się obserwując mnie. Tylko nie wiedziałem dlaczego. Przecież gdyby chciał okraść pałac, mógłby to zrobić nawet w mojej obecności, grożąc mi bronią. Nie umiałem zrozumieć po co była cała ta farsa. Oczywiście przypomniali mi się słowa staruszka o „złym” mieszkającym niedaleko, ale coś w tym wszystkim mi nie pasowało. Moje doznania nie były czysto ludzkie, to coś w stylu koszmarne snu, opowiadanego dzieciom aby je przestraszyć.

Podczas któregoś wieczora, spędzanego z książką w jednym ręku i kubkiem gorącego trunku w drugim, poczęłem przysypiać w błogostanie ciepła bijącego od kominkowego ognia. Nagle z półsnu wyrwało mnie przecucie, że ktoś tu jest, że spogląda na mnie. Odruchowo odwróciłem się do okna wychodzącego na stronę jeziora. Zerwała się straszna wichura, wyginało gałęziami drzew na lewo i prawo, a na powierzchni wody wznosiły się wzburzone fale. Wyglądało to, jakby miał przyjść jakiś kataklizm niszczący wszystko wokół. W tym szaleńczym zniszczeniu panującym za oknami dostrzegłem coś dziwnego. Miejsce całkowicie spokojne, bez wiatru, bez jakiegokolwiek ruchu. Zdumiało mnie to na tyle, że podszedłem bliżej okna i wtedy mym oczom coś się ukazało. Sam nie wiem, co to było. Coś jak gdyby cień uciekający sprzed mojego wzroku, niechący dać się zobaczyć. Burza i wichry gwałtownie omiatały wszystko wokół, ale nie miejsce, w którym się poruszał ów cień. Po chwili dotarła do mnie chyba największa zgroza całego tego zdarzenia. Cień nie posiadał ani ludzkich kształtów, ani też wyglądu żadnego znanego mi zwierzęcia. Wiem, jak to brzmi, ale

to było tak jakby czarny obłok mgły, udający cień czegoś, uciekający przed wzrokiem człowieka. Oblęd! Przecież takie coś nie może istnieć!

Po chwili, gdy opamiętałem się, za oknem grozą napawała już tylko wichura, która mogła zwalić jakieś drzewo na pałac lub któreś z pomieszczeń gospodarczych, zerwać dach, wybić szyby w oknach za pomocą wszędobylskich gałęzi. Nigdzie wokół nie było widać czarnego, mglistego obiektu. Nie było spokojnych miejsc, wszędzie szalały tylko gałęzie oraz wzburzone liście. Zgroza związana z odczuciem ciągłej obecności kogoś znikła i przekształciła się w zwykły strach przed uszkodzeniem dobytku, nad którym miałem czuwać. Obawa o reakcję Pana na Pszczyńce unieruchomiła mnie przez chwilę. Moment zajęło mi wrócenie do szybkich reakcji na to co działo się na zewnątrz. Niczym gnany przez watahę wilków pobiegłem w stronę stajni, aby zabezpieczyć wszystkie ruchome rzeczy w niej pozostające. Sprawdziłem przy okazji wozownię i komórkę, czy aby są zamknięte. Na szczęście wszystko było przygotowane. Nigdy nie przypuszczałem, że w tak gęsto zalesionym miejscu deszcz wraz z wiatrem mogą być tak silne. Droga powrotna do pałacu wydawała się nie lada wyzwaniem. Aby pokonać odległość kilku metrów musiałem wykazać się nieprzeciętną siłą. Gdy tylko znalazłem się w bezpiecznym wnętrzu, odetchnąłem z ulgą. Po chwili obszedłem wszystkie okna w pałacu, aby pozamykać ostatnie niezamknięte okiennice. Adrenalina związana z wszelkimi czynnościami związanymi z przygotowaniem budynków na najgorsze tej nocy spowodowała, iż z mej głowy całkowicie uleciały myśli związane z wcześniejszym koszmarem. Choć może wtedy tłumaczyłem sobie to wszystko faktem, że burza wyrwała mnie ze snu, w związku z czym musiały to być przywidzenia.

Tej nocy nie zmrużyłem oka ani na chwilę. Ciągłe sprawdzanie czy aby któreś z pobliskich drzew nie uszkodziło budynku zaprzętnęło całym mym umysłem. Dopiero gdy nad ranem wichura zelżała i zaczęły pojawiać się pierwsze nieśmiałe promienie słoneczne poczułem, jak bardzo zmęczony jestem. Upewniłem się, że pałacyk jest cały, przygotowałem sobie kubek gorącej herbaty i usiadłem w ulubionym fotelu przed kominkiem. Nie wiem kiedy zapadłem w toń snu. Dręczył mnie jakiś nieopisany koszmar. Ciemność, brak jakiegokolwiek światła, tylko szum liści i lekko wzburzonych fal. Do tego ciągle głosy powstające jak gdyby w mojej głowie, krzyczące, że za wszystkie winy należy się kara! Że kara jest nieubłagana i od niej nie ma ucieczki!

Obudziłem się cały zlany potem. Kubek leżał na podłodze przy fotelu, a ciepła jeszcze ciecz rozlewała się na każdą stronę. Oddech płytki i zarazem szybki po chwili uspokajał się. Wytarłem rozlaną herbatę. Było południe, najwyższy czas aby rozejrzeć się wokół posiadłości, czy nocna burza dokonała sporych zniszczeń. O dziwo, główny budynek nie był

uszkodzony, chyba jednak wiatr nie był tak silny jak mi się wydawało. Wokół leżały połamane gałęzie oraz sterty liści. Było jednak w tym również coś dobrego. Dzięki temu, że miałem sporo pracy z uporządkowaniem podwórka, nie myślałem o zajściach poprzedniej nocy. Skupiłem się na sprawnym wykonaniu tego, co do mnie należało. Pod wieczór, gdy już zbliżałem się do końca, mym oczom ukazał się niespodziewany gość. Uradowałem się niezmiernie widząc, że zbliża się mój poprzednik, zaciekawiony, czy aby nic poważnego nie stało się z budynkiem po szalejącej ostatniej nocy burzy.

Po uporządkowaniu wszystkiego weszliśmy do środka na szklanekę grzanego piwa na rozgrzanie. Za oknami dawał się słyszeć lekki szum wiatru, wręcz przyjemny dla ucha w porównaniu z tym, jak dudnił podczas wczorajszej burzy. Ze spokojnej rozmowy, o, jak się okazało, nikłych uszkodzeniach, będących następstwem nocnej zawieruchy, płynnie przeszliśmy do tego, co wydarzyło się wcześniej. Sam nie wiem, dlaczego opowiedziałem o wszystkich tych niepokojach, dręczących mnie w tym miejscu. O tej „postaci”, która pojawiła się w nocy. O koszmarach, których doświadczyłem. Ale ulżyło mi, gdy już z siebie to wyrzuciłem. Obawa, że zostanę posądzony o obłęd trwała dosłownie chwilę, ponieważ reakcja pana Penkalli utrzymała mnie w przekonaniu, iż to nie ze mną jest coś nie tak, tylko to miejsce powoduje, że tak się czuję. Staruszek zaproponował, że zostanie ze mną na noc, aby dotrzymać mi towarzystwa. Pod nosem mruczał coś o tym, że wie, jak to jest, sam przeżył wszystkie te rzeczy i zdaje sobie sprawę jakie niepokojące mogą być.

Kolejne szklanki grzańca rozweseliły nas. Zaczęliśmy opowiadać o swoich rodzinach, o wydarzeniach z nimi związanych. Śmiałyśmy się z wybryków dzieci i pochwalaliśmy ciężką pracę rzemieślników i kupców, będących członkami naszych rodzin. Rozmowom i śmiechom wydawało się nie być końca, gdy nagle do naszych uszu doszły dźwięki kroków, rozchodzące się w sali na piętrze. Spojrzeliśmy po sobie, z minami niczym przerażone dzieci. Przecież poza naszą dwójką nie było tam nikogo. To niemożliwe, aby ktokolwiek dostał się do środka. Ale nie były to też odgłosy jakiegokolwiek zwierzęcia, które mogłoby dostać się do środka. Bez dwóch zdań były to kroki człowieka. Chwilami spokojne i równe, by po chwili przyspieszyć, jak gdyby zrywając się do biegu. W pewnym momencie usłyszeliśmy huk spadających rzeczy z szaf znajdujących się na piętrze. Po całym moim ciele przeszły ciarki. Wstaliśmy i postanowiliśmy razem sprawdzić, co się tam dzieje. Krętymi schodami udaliśmy się na górę z pogrzebaczem i kijem do podparcia drzwi w rękę. Każdy stopień trzeszczał niesamowicie, a z każdym trzaskiem ucichały kroki, by po chwili znów się roznieść po pałacu. Gdy weszliśmy już na piętro, rozejrzeliśmy się. Pokoje były pozamykane, a hałasy dochodziły z dużej sali na końcu korytarza. Poszliśmy tam na drżących nogach. Ale gdy tylko

przekroczyliśmy próg sali, odgłosy przeniosły się na parter. Tym razem już szybkim krokiem zesliśmy na dół, będąc pewnymi, że musi to być jakaś wiewiórka czy kuna. Nie mógł to być człowiek, ponieważ musiałby nas minąć, aby zejść schodami do sali na niższej kondygnacji.

Gdy minęliśmy hol i wchodziliśmy do sali odgłosy umilkły. Rozejrzałem się wokół, nie dostrzegając niczego dziwnego. Nim się zorientowałem, mój towarzysz już biegł w stronę kominka z wyciągniętymi do przodu rękami, tak jakby chciał kogoś lub coś pochwycić. Zamurowało mnie. Dopiero gdy znajdował się w pobliżu ognia, moim oczom ukazała się czarna postać. To był ten sam cień co ubiegłej nocy. Tym razem był w budynku i nie obawiał się wzroku ludzkiego. Wręcz go przyciągał, hipnotyzował. Poprzednim razem nie dostrzegłem tego, ale w tej chwili widoczny był również czerwony błysk jego oczu. Zupełnie tak, jakby oczy jakiegoś zwierzęcia w mroku świeciły po skierowaniu na nie światła. Staruszek zamachnął się dwa razy na postać stojącą przy kominku, jednakże nie dał rady uchwycić niczego, gdyż w miejscu, w którym przechodziła ręka, „cień” rozpląnął się, by po chwili znów być na swoim miejscu. I tym razem to on ruszył do ataku, złapał Penkalle za szyję i zaczął dusić. Podskoczyłem i spróbowałem uderzyć pogrzebaczem. Nie przemyślałem tego i w momencie, gdy moja ręka z całą włożoną w to siłą opadała w stronę czarnej postaci, ta odchyliła się, ciągnąc za sobą mężczyznę. Strużka krwi pociekła mu po karku, a on sam beładnie osunął się na podłogę. W tym momencie iskrzące się ślepią skierowały się na mnie. W mojej głowie pojawił się głos mówiący, że oto nadchodzi kara! Poczulem przeszywający ból, zmuszający mnie do uklęknienia.

Cień zbliżał się powoli. W uszach dudniło mi bicie serca. Oczy zaszyły mgłą i z każdą sekundą widziałem coraz mniej. Postać była już całkiem blisko, gdy groza oszczędziła mnie i straciłem przytomność. To, co później się wydarzyło, jest dla mnie niezrozumiałe. Nie wiem, co stało się z sylwetką osnutą cieniem. Jedyne co pamiętam, to rozprzestrzeniający się ogień z kominka i to, że przy ogarniającej wszystko płomiennej jasności ciało Penkalli leżące na podłodze, pochłaniał mrok. Zupełnie tak, jakby żywy organizm zmieniał się w mglistą formę. Nie mam pojęcia jakim sposobem wydostałem się z budynku. Leżałem bez sił, wsparty o komórkę, wpatrzony w pałac, który spowijały ognie rozbuchanego już pożaru. W mgnieniu oka strawił on wszystko, co tylko się dało, do tego stopnia, iż w zgłiszczach nie odnaleziono spalonego ciała starca. Jednak czy aby na pewno ciało spłonęło? Tego nie jestem pewien.



[fb.com/spookystuffshop](https://fb.com/spookystuffshop)

[spooky\\_stuff.cupsell.pl](https://spooky_stuff.cupsell.pl)

# SPOOKY STUFF



YES



NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS  
DESIGN



DARK ART  
AND DESIGN

GOOD BYE



SZUKAJ W DOBRYCH KSIĘGARNIACH

MAGDALENA  
KAŁUŻYŃSKA

# ALVETHOR

PANDEMIA

[www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)



*Oficynka*





# PRZED ŚWITEM

Władysław Reymont

## I

— Która godzina?

— Wybiła już dziesiąta.

— W tej chwili bije... słyszę wyraźnie.

— To tylko ostatnie echa dźwięczą w korytarzach.

— ...Cztery, pięć!

— I deszcz pluszcze w rynnach.

— ...Siedem... zaraz umrze godzina... osiem... powstrzymać, siostrze, powstrzymać... dziewięć... boję się, przechodzi nieubłaganie... dziesięć. Już jej nie ma... już wpadła w wieczność... już jej nic nie powróci... nic... Jak mi jej żal! Czy siostrze nie żal tych godzin pomarłych?

— W Bogu jest wszystko.

— Czy siostrze nie żal tych ludzi, tych drzew i zwierząt pomarłych?

— "We mnie zmartwychwstaniesz wszystek" – rzekł Pan.

— Rzekł Pan... — powtórzył jak echo.

— Chrześcijanin powinien w to wierzyć.

— Wierzę... ale... ale mi żal... — szepnął trwożnie i oczy jego nasączyły się powstrzymywanymi łzami. — Ale mi żal umarłych lat... — powtórzył cicho i zatopił oczy w mroku zalewającym szpitalną izbę.

Biały kornet siostry chwiał się w ciemności niby skrzydła... a pod nim występowały ostro z cieniów jej ręce, białe, długie, rozmodlone ręce... Ziarna różańca spadały monotonnie z dziwnym, przejmującym szelestem.

— ...I tych, które umrą do końca świata!

Poruszył się, poczuł jej wzrok w sobie – ostry wzrok czuwania, który czarnym, lśniącem promieniem przenikał mroki i spadał mu na czoło gorącym pocałunkiem.

Milczenie dokoła, cisza mrących godzin, cisza tych lepkich, przyczajonych do ścian cieniów, wśród których żyły jedynie i czyhały jej spojrzenia miłosierne, oczy litości.

Przez otwarte drzwi widać było salę szpitalną, biały gościniec smutku, zatopiony w bolesnym świetle oliwnych lampek, które rozkręzały ropiące smugi na głowy chorych.

— Usnąć i nie zbudzić się, usnąć...

Ale sen nie przychodził, więc znowu otwierał oczy i ślizgał się nimi po ścianach, po kornecie siostry, po jej rękach zamodlonych i tonął tam... wśród uspijonych błędził.

Oddechy wszystkie słyszał... jęki przez sen, bicia serc, dyszenia przyczajonej trwogi, nieme krzyki konających oczu, wołania przepadających. Bolesnym, okropnym rytmem brzmiały te głosy w jego sercu i rozpięły się nieopowiedzianym bólem.

A potem zdało mu się, że idzie wskroś tych łachmanów ludzkich, po tym śmietniku dusz, wskroś płaczących nędz wszelkich... wskroś pustek nieobjętych, w których żyły tylko konające echa skarg.

— I umarłe żale...

— I umarłe nadzieje...

— I wszystek ból człowieczy...

— Uciekać, uciekać! — krzyczało przerażenie i strach, i ból go chwycił, i wyrwał z nicości, i trzymał nad przepaściami, wczołgał się w niego kolczastym cielskiem, tarzał się po jego wnętrznościach i rozdzierał rozpalonymi pazurami.

— Sostro! Sostro!

Nie, nie mógł wołać, nie mógł wyrwać z siebie tego krzyku, nie mógł się poruszyć, tylko wołał ratunku oczyma przekrwionymi, krzyczał strachem i rozpaczą... umierał w męce...

a ona w głębokiej kontemplacji przesuwiała ziarna różańca i całowała oczyma Chrystusową twarz wiszącą na ścianie.

Czuł, że umiera, że chwila jeszcze... że się już kołysze nad krawędzią nicości, że się stacza... zapada.

Tak, to ona idzie przez izbę szpitalną, ona... jakby ze zgaszonego światła ma utkaną szatę... umarłych wód ma oczy... bez dna przepaście, przerażający lej... otchłań... idzie.

Pochyliła się nad łózkami... idzie dalej... uśmiechem promienieje... nie widać ust ni twarzy, a ten okropny uśmiech wyblaskuje z niej, migoce nad głowami konających, zapełnia szpital, wije się w ciemności jak błyskawica zaguby... jak trupie światło... przenika mu serce, rozlewa się po nim miliardami ostrych, zimnych, przerażających błysków...

— Śmierć! Nie! nie! — krzyknął oszalały i zerwał się z łózka.

Oprzytomniał, bo zniknęło wszystko; zakonnica ułożyła go z powrotem i podawała lekarstwo.

Ból przeszedł, a on leżał w największym bezwładzie, jakby na dnie niepamięci, i tylko przyczajonym wzrokiem błędził po ścianach, czepiał się rzeczywistości, jak topielec wychylał się z głębi i chwycił źdźbła nadziei z rozpaczą. Nie wierzył jeszcze, że żyje, nie wiedział, gdzie jest, a może już tam... obłąkane grozą śmierci myśli kłębiły się w nim chaosem widm, kłębem postrzępionych obrazów, falą, która z łoskotem zawałała się i powstawała na nowo, zalewała go i pogrążała w coraz boleśniejszy lęk.

— Jestem? Jestem?... — powstawało w nim pytanie, a potem obraz szpitala i zakonnicy, i sprzętów utrwał się coraz silniej na fali powichrzonych myśli, pokrywał rozprężenie, tłumiał chaos i trwał.

— Siostro!... — rzucił lękliwie, jakby w próżnię, pewien, że odpowie mu milczeniem.

Stała przy nim.

Patrzył na nią, jak na majak własnej wyobraźni, jak na cień własnych pragnień i myśli.

— Ciemno, ciemno... — szepnął rozglądając się trwożnie.

— Rozświetlę lampę!

Drgnął cały; usłyszał wyraźnie: to był głos z zewnątrz, z pewnością to był głos żywy; długo milczał i żuł radość stwierdzenia życia.

— Czy ja spałem?...

— Bardzo mocno.

Nie miał już wątpliwości: to ją słyszał; ten głos miękki, pieszczotliwy, dźwięczny rozlewał po nim radosne ciepło istnienia.

— Która godzina?

— Jedenasta.

— Spałem całą godzinę. Tak, teraz wiem, że jestem, wiem...

Rozjaśniła płomień, radosne światło zalało pokój, oślizgiwało się po ścianach, skrzyło w mosiężnych ozdobach łóżka, uwypuklało wszystkie kontury, wydobywało barwy z bukietu stojącego przy łóżku, stwierdzało jego podejrzliwie badającym oczom – rzeczywistość!

Gdy mu podawała lekarstwo, pochwycił jej rękę i całował z najwyższym uniesieniem szczęścia.

— Nie umarłem, siostrzo! Żyję! Żyję!

Wyrwała mu rękę i cofnęła się w głąb pokoju, żeby ukryć dziwny, pomieszany ze łzami radości rumieniec.

On poczuł się dobrze, ból jakby się w nim wyczerpał i omdlał pod uderzeniem niezmiernego szczęścia istnienia, tlił się gdzieś w głębiach pamięci, czyhał... Z lubością nieopowiedzianą poruszył głowę, wyciągnął nogi, a nawet przegarnął sobie włosy; mógł znowu poruszać sobą bez męki: to go wprowadziło w stan takiej błogiej, bezmyślnej, dziecinnej radości, że zagwizdał walca, a potem chciało mu się śpiewać, to mówić, sprzeczać się, choćby klócić nawet.

*Czemu ona milczy? Czemu się nie odzywa do mnie?* – myślał i patrzył na nią tak długo, przenikliwie, ostro, że chociaż nie patrzała, rumieniec znowu wypełził spod kornetu i pokrywał jej twarz.

— Wie siostra, czuję się doskonale, tak dobrze, że za parę dni się wypiszę od was.

Podniosła głowę na mgnienie, że tylko pochwycił, wykradł jej spojrzenie pełne łzawego lęku i żalości ostrej. A jego przejął gniew.

Beczy, a nie mówi. Czemu nie mówi z nim? Czemu nie patrzy?

— Czemu siostra nie mówi ze mną? Czemu siostra nie patrzy na mnie?

— Modlę się.

— Mnie bardziej potrzebna jest siostra niż Bogu.

— Lepiej panu?

— O, zupełnie dobrze, zupełnie, ale było strasznie, tak strasznie, że już myślałem...

— Bez woli Boga nic się nie stanie. Bóg nie chciał zabierać jeszcze pana, to Jego łaska święta, że pan nie umarł bez spowiedzi... Trzeba mu podziękować za to.

— W jaki sposób? — spytał niepewnym szeptem.

— Wypowiadać się. Zobacz pan, że choroba się prędzej przesili, wzmocni pan Łaską duszę i zwycięży chorobę.

— Nie, nie... po co?... Spowiadać się i zdychać! Nie, ja chcę żyć. Niech mi siostra nie wspomina o Bogu. Nie męczcie mnie swoją mityczną kukłą... Nie trzeba mi przebaczenia ani litości, mnie trzeba życia, a tego mi nie da ta wasza okrutna bajka, nie, bo wasz Bóg jest bogiem zła, ciemności, choroby, nieszczęść... nie jest Bogiem żywych! Gdzie męka, gdzie ból, tam Go przywołajcie, aby dobił ofiarę. Słyszy siostra! Nienawidzę Go za wszystkie męki świata, za wszystkie łzy ludzkie przeklinam! Dusiciel dusz!... Tak, niechaj zdechnę na wieki, ale przeklinam! — krzyczał tak rozdrażniony, że już był nieprzytomny, nie odrywał oczu od świecących, mosiężnych gałek łóżka i kłął, krzyczał coraz głośniejszym głosem, przeklinał.

— Jezus! Cicho! Cicho! — i modlitewnymi, przerażonymi rękoma zakrywała mu usta, aby nie bluźnił, ale chwycił ją zębami tak mocno, że z krzykiem bólu wyrwała ręce i padła na kolana.

— O Panie miłosierdzia nieprzebranego! Zmiłuj się nad nim! O Panie miłości, o Panie dobroci! Usłysz wołanie moje! Usłysz żebrzący głos duszy mojej i przebac mu! Przebac mu, Panie, to męka obłąkała duszę jego. O święty! O nieśmiertelny, o Boże mój, łzami serca, miłością, bólem, pokorą wołam do Ciebie, przebac! Zmiłuj się nad nim! — wołała drżącym, głębokim głosem i sznury perłowych łez płynęły z jej cudnych oczu, a twarz płomieniła się najwyższą ekstazą błagania, miłości, rozpacz i strachu. Trzęsła się, rozchwiana huraganem zgrozy i całą mocą uniesienia rzucała czystą duszę pod stopy Pana i krwią serca żebrała zmiłowania dla niego.

Oniemiał!

Zwinął się w kłębek i wlepił w jej twarz rozpalone oczy, przełzawiony głos przenikał go ogniem, radością, siłą, a te łzy rozpacz, jakie wylewała za niego, ten krzyk płomienny duszy wierzącej owiewał go żarem dziwnym, lubieżnym ogniem chodził mu po kościach, przyśpieszał bicie serca. Nie słyszał słów, nie rozumiał ich, patrzył na nią, na jej twarz cudną, całował ją oczyma, obnażał z twardego habitu, rozrywał te szerokie pasy i różańce, rozdzierał ją całą, oślizgiwał się po jej piersiach, obejmował biodra wydatne i rozszalałym, namiętym czuciem wciskał się w nią, pograżał, topił – był w niej i miał ją w sobie całą... całą...

— Nie warto się modlić za mnie! — wyszeptał z trudem, dyszał chwilę chrapliwym rżeniem, bo ta oślepiająca, ohydna żądza zapchała mu gardło, stłumiła głos i tak roztrzęsła go wewnątrz, że tchu złapać nie mógł.

Zakonnica usiadła na dawnym miejscu i znowu monotony, cichy szelest spadających ziaren różańca drżał w ciszy pokoju, a jej oczy, pełne czuwającej trwogi i smutku oczy, przeszkłone nieobeschłymi jeszcze łzami, padały na jego twarz pocałunkami... lub trwożnie a głęboko spoglądały w okno ku stronie świtów, ale tam noc była jeszcze głucha i majaki



drżących z zimna i potopionych w mrokach drzew, i złowrogie, tajemnicze szepty ciemności...

— Siostra jest cudownie piękna! — szepnął znowu i uniósł się na poduszkach. — Tak, niesłychanie piękna. Pod tym okropnym strojem kryją się cuda, przeczuwam je, widzę nawet, widzę... — zatrzymał się, bo znowu brakło mu głosu. — Niech się siostra rozbierze... Na chwilę... na mgnienie... na jedno spojrzenie... na jeden pocałunek... będę oczami całował... będę całował powietrze owiewające piersi siostry, ramiona... tylko tchnieniem... tchnieniem mojej żądy obejmę siostrę... tętnami mojej krwi szalejącej... będę cię pił... wypiję ci duszę... jak wiatyk wezmę siostrę w siebie... wiatyk życia... nieśmiertelności...

Zerwała się z krzesła... przekreśliła światło i usiadła daleko od niego w ciemnym kącie pod drzwiami.

— Dlaczego siostra zbawić mnie nie chce?... — wykrzyknął rozdrażniony. — Dlaczego siostra nie chce?... dlaczego? Kiedy ja pragnę? Dlaczego? Kiedy ja konam z pragnienia. Dlaczego? Kiedy... Ze trzy lata temu w Paryżu... wyprawialiśmy bibę, no, taką orgialną nieco... — mówił już innym zupełnie tonem, zapatrzony w dale wspomnień, co nagle opanowały mózg jego. — Były kobiety... piękne, bardzo piękne... a jedna Marietka była bardzo podobna do siostry!... A może to była siostra, co? Ach, piliśmy... rozebraliśmy je... uwieńczyli kwiatami... pijane były i nagie, i oszalały rozpustą... tarzały się po dywanach... Tylko Marietka nie chciała się rozbierać... Boże, dlaczego ona taka podobna do siostry, dlaczego? Zdarłem z niej stanik... uciekła do drugiego pokoju... dopędziłem... rozerwałem jej gorset... biła mnie... oberwałem suknię... zerwałem z niej wszystko... wszystko... i rzuciła mi się wtedy na szyję... chwyciłem ją na ręce... przyniosłem i nagą jak kwiat rozwinięty... niby zorza różowa... rzuciłem na kupę tamtych ciał... piersi miała różowe... małe... wypukłe... jak siostra, skóra lśniąca i miękka jak płatki różane w słońcu... pachniała kwieciem migdałowym... nogi... a uda ton fioletu i kości słoniowej... jak siostra... jak siostra... a potem stało się piekło... obłąd... szał... Korab ciał ognistych... ołtarz nagości... w ekstazie grzechu... w skurczach miłości... w świętej epilepsji... Synaj obłądnych krzyków rozkoszy... ocean rozpasania... straszne wiry poczynania... tajemniczy krzyk rodzącego bóstwa...

— Chciałbym... chciałbym mieć siostrę w ramionach... chciałbym usłyszeć z tych ust przeświętych krzyk bólu i rozkoszy... chciałbym... wiem... nieśmiertelność byśmy poczuli... boga... Ach, krzyczą, żebrzą ze mnie, z mojej głębi tajemniczej – chcące się urodzić nieśmiertelności... Sostro! Sostro! Dlaczego siostra nie chce urodzić bóstwa!!!

Zakonnica wyszła, przymykając drzwi za sobą.

Nie widział tego, gorączka objęła mózg w czerwoną falę ognia, leżał jakby na dnie samego siebie, w pustce okropnej, w ciemności, a rozprężył mózg wyrzucał automatycznie, bez woli jego i wiedzy coraz straszniejsze obrazy, coraz wstrętniejsze szczegóły, wszystkie zgrzezy życia i wyobraźni, wszystkie plugastwa...

Naraz zamilkł i powlókł oczyma, bo jakiś spazmatyczny, okropny płacz przedzierał się od drzwi.

— To ona płacze, ale dlaczego? Dlaczego?

I czuł, że ten płacz przygniata go ciężarem niezmiernym, że każda jej łza jak roztopiona kropla metalu spływała mu w serce, przenikała na wskroś niego i spływała do serca gryzącą strugą ognia, palącego ognia.

— Boże! Mój Boże!... — I okropny żal wsadził swój kolczasty łeb w jego duszę i ssał ją, tak strasznie ją ssał, że tracił przytomność i zapadał w drzemkę pełną dręczących wizji i jaw tak przerażających, że zrywał się z krzykiem śmiertelnego przerażenia, wyciągał ręce po ratunek i padał znowu w okropne ramiona półsnu, w oślizgłe, trupie objęcia męki.

Oprzytomniło go lekarstwo i jej ręce ocierające mu twarz spoconą.

— To siostra?...

Pochyliła się nad nim, poprawiając poduszki, łzy lśniąca strugą płynęły po jej twarzy, a usta drżały jak płatki róży.

— Która godzina?

— Dwunasta!

— Północ! Mój czas się zbliża!

— W ręku Boga jest wszystko!

— Umrę o świcie! — zawołał nagle i tak ostro, że wypuściła z rąk różaniec i patrzyła na niego.

— Dobrze, dobrze... o świcie... pójdę... — mówił cicho, coraz ciszej, jakby odpowiadał wezwaniom idącym z głębin nocy... z tamtej strony.

— Pójdę... — szepnął ledwie dosłyszalnie i przed duszą roztworzyły mu się bezmierne widnokregi, nieskończone pola wieczności... To tam, gdzie mży ten świt rozpaczny, purpurowy świt nieubłagania, tam płynie ta niepojęta ciżba na zatracenie...

...Oto znajomi a nieznani teraz; oto swoi a obcy... oto bliscy a dalecy; oto nigdy niewidziani, oto nigdy nieprzeczuwani, oto nigdy nawet niemarzeni; oto oceany umarły, drzewa, kwiaty, zwierzęta – mieszały się razem w gęstwie skarg i płynęły wszystkimi drogami światów, wszystkimi szlakami gwiazd, wszystkimi majaczeniami myśli...

Wypalone łzami oczy podnosili ku świtom i szli w ciszy śmiertelnej oczekiwania, w milczeniu tajemnicy...

A ciche tchnienie jego żalości powiewało nad nimi jak wichry pałacy...

...i płakały dusze kwiatów pomarłych.

...i płakały dusze drzew pociętych.

...i płakały dusze zwierząt pobitych.

...i płakały dusze wód wyschłych.

...i płakały dusze porodzonych a pomarłych.

...i płakały dusze gwiazd pogasłych.

...i płakały dusze rzeczy wszelkich.

...i płakała śmierć sama, i wyła dziką pieśń – strasliwą pieśń złorzeczenia, pieśń buntu przeciwko Niemu...

Ale płynęli niepowstrzymanie tym nieubłaganym szlakiem musu, przez te przepaście zgrozy, przez okropną pustynię przerażenia, przez wiry czarnych, pogasłych gwiazd, przez ulewy słońc konających, zielono-okropnych, rozpadających się słońc, z których sypały się bryły krwawych żużli deszczem ognistym i niby ciężkie łzy umierającego wszechświata spadały wskroś ciemności, w głąb bezmiaru, w głąb niepojętą... aż ku świtom... aż na serce Jego.

— Idę... idę... — wołał i oczyma, w których już była tylko otchłań rezygnacji, szedł z nimi, gonił tę nieskończoną falę, a poruszyć się nie mógł... Tłumy szły przez niego, przez jego mózg przeciągały strasznym korowodem, przez jego serce przelewały się jak wody oceanów, jak wszystkie krzyk jestestw ginących brzmiały mu w duszy, a on unosił się i opadał w sobie, mocował się z sobą w męce odrywania i pokonany ciężarem własnego trupa, panującego lat tyle nad nim, pozostawał niby krab po odejściu fali na krawędzi życia, chwiał się, a nie spadał w głąb, konający już a nie umarły, nie trup i nie życie, widmo raczej niż człowiek. Kontur blady istnienia, fosforescencja próchnicy.

Wiedział, że kona, że leży w szpitalu, że jest jeszcze, i ta jakby emanacja rzeczywistości: kamieni ścian, izby, łóżek, świateł lamp, zakonnicy – rzucały cień twardy i bolesny na jego czucie, trzymały go jakby szponami, odgradzały sobą i nie pozwalały wyjść i złączyć się z wizją, i przepaść z nią razem...

Najwyższym natężeniem woli przebudził się, wizje odpłynęły w dal szarą, rozprysnęły się w mrokach, a on cichym, przejmującym głosem zaśpiewał:

*Kto się w opiekę odda Panu swemu...*



Automatycznie, zupełnie nieświadomie niezbadane nory mózgu wyrzuciły z siebie tę pieśń pochłoniętą niegdyś, w dzieciństwie, ale on na dźwięk własnego głosu ożył i oprzytomniał zupełnie.

## II

— Która godzina?

— Pierwsza.

— Świt jeszcze daleko?

— Daleko...

— Bo o świcie umrę z pewnością. Wiem, że już mnie nic nie ocali, wiem! Dlaczego drzewa tak patrzą w okna?

— Wiatr nimi kołysze.

— Nie, nie!... one czuwają nade mną, one patrzą na mnie... one wiedzą, że... Co to?...

Krzyk długi, bolesny, wstrząsający krzyk rozdarł ciszę i długo echami tłukł się pośród niemych murów szpitala...

Zakonnica wyszła prędko, ale wróciła po chwili.

Wskazał ręką sufit i oczyma powiedział:

— Wiem, umarł tamten z pierwszego piętra. Wiedziałem o tym...

— Nie, nie... — zaprzeczała lękliwie, kryjąc twarz w cieniu kornetu.

Uśmiechnął się dobrotliwie.

— I ja umrę o świcie... — poruszał ustami i nasłuchiwał w ciszy, w której szeleściły cichutko drzewa za oknami, słuchał szmerów nocy i jakichś słabych, ledwie odczuwanych stąpań czyichś...

— Ktoś chodzi po podwórzu!

— Nie ma tam nikogo.

— A jednak śmierć nie jest snem nieprzespanym, nie — powiedział głośno i usiadł na łóżku. — Nie można uznawać przyczyny i mieć ją za głupią. Żarna mogą być tylko symbolem życia... Prawda, siostrze?

— Tak, tak...

— Czy siostra żyła już kiedy?

Spojrzała na niego litościwie.

— Mnie się zdaje, że dużo jest dusz przychodzących za wcześnie, jak kwiaty złudzone ciepłą godziną marca... nierozwinięte pąki przysypie śnieg... może przetrwają i zakwitną

o prawdziwej wiosnie, w drugim życiu, ale więcej marznie na śmierć wieczną, nim się dowie, że żyją... Prawda, siostrze?

— Tak... tak...

Niepojęty słodyczą spokój szczęścia rozlewał się po nim.

Nie bolało go nic: ani ciało, ani myśl żadna, ani smutek, czuł w sobie ukajający bezwład górskiego jeziora, bezwład martwej wody nieporuszanej najłżejszym powiewem, zapadłej w głuchą moc bezmiernego spokoju, nie śpiącej i nie umarłej, a bezsilnej w najgłębszej treści swojej i opadającej niewidzialnie, nieświadomie a ciągle i zwolna w jakąś głąb tajemniczą...

Jego poczucie siebie, jego świadomość kurczyła się i malała niepostrzeżenie, że już tylko niektóre myśli i obrazy niektóre snuły mu się po głowie jak majaczenia oślepego zwierciadła.

Słodycz miał tylko w sercu, słodycz październikowego słońca i zwarzonych mrozem lewkonii, słodycz cichej ofiary łez.

— Chciałbym się przejść po pokoju... dobrze?

Pomogła mu wstać, ubrała go w biały, ciepły szlafrok, ujęła mocno pod rękę i wolno, z rozczulającą troskliwością prowadziła.

— Raz... dwa... teraz lewą nogą... odważnie... tak... o, widzi pan... doskonale... mamy siły...

— Nie, nie mam już sił... Usiądę na fotelu pod oknem...

Usadowiła go, jak mogła najwygodniej. Długo siedział, bezmyślnie wpatrzony w noc i w końcu szepnął:

— Pilno mi, siostrze... naprawdę już mi pilno.

Przyciągnął kwiaty i z głęboką rozkoszą dotykał ustami barwnych płatków i wchłaniał ich woń zamierającą...

— To są oczy tajemnicy. Dzieci miewają takie same spojrzenia, a czasem umarli.

Pochylił się ku oknu i długo a badawczo patrzył w noc.

Głuchy, wilgotny szum wicheru grał smutny hymn na pochylonych, rozchwianych drzewach, a tam... w otchłaniach, jak ciężkie sny chorych, przewalały się chmury ledwie rozeznane.

— Do świtu jeszcze daleko...

— Daleko...

— Siostra płacze?

— Modlę się tylko.

— Modlitwa to dręczące pytanie duszy, rzucone w nieskończoność: "Czy Jesteś?"

— Nie, nie... to błaganie serca: "Usłysz mnie!"

Nic nie odpowiedział, bo jakieś niewyraźne, jeszcze ciemne, jeszcze nie rozeznane przypomnienie wychyliło się z głębin i zalewało go cichym, melancholijnym żalem, a gdy zrozumiał, sznury łez rozsypały się po jego wychudłej twarzy.

— Pan płacze? Może bok boli?...

— Boli mnie żal, siostrze, stary żal.

Wyjął z portmonetki wszystkie pieniądze i nieśmiało zwrócił się do niej:

— Mam prośbę do siostry...

Podniosła oczy na niego.

— Tyle jest dzieci biednych... dzieci nędzarzy... dzieci strasznie biednych i opuszczonych, którymi się nikt nie zajmuje... spotykała siostra podobne?

— Za wiele jest takich nieszczęśliwych.

— To są pieniądze, mnie one już na nic zupełnie... Niechaj je siostra weźmie i kupi tym dzieciom zabawek... wie siostrze, koniki... szabelki... lalki... wózki... piłki... one z pewnością nigdy nie mają zabawek, nigdy im nikt nie daje... ja to wiem... Proszę o to całą duszą – dobrze?

— Dobrze — szepnęła przez łzy.

— Ja to wiem... bo... nigdy nie miałem zabawek... Mnie już nic i niczego nie żal, tylko mi jeszcze żal, że mi nikt w dzieciństwie nie dał ani jednej zabawki... Wie siostrze, ja całe lata marzyłem o blaszanej szabelce i siwym koniku na biegunach, całe lata tęskniłem i lałem morze łez gorzkich... ale mi nikt nie dał... I, że łzy zalały moje życie, to może dlatego, iż mi brakło rozśmiecniętych wspomnień dzieciństwa.

Przerwał, bo dalekie, głuche uderzenie zegara płynęło z ciemności.

— Która godzina?

— Druga.

— Noc już blednie, świt już idzie... prawda?

— Nie widzę różnicy, ciemno jest, jak było — powiedziała śpiesznie.

Milczenie zaległo.

Ona zapatrzyła się w bolesną, przemoczoną twarz Chrystusa, a on wpił się oczyma w ciemność i śledził ją badawczo; z ciężkich opon cieniów już zwolna wyłaniały się potwornie bezkształtne grupy drzew i ledwie wyczute kontury domów, świt był jeszcze daleko, ale już niepostrzeżenie wsączał pierwsze brzaski w ciemności ziemi, pełzał wśród chmur bezwładnie zwalonych na siebie i obrzeżał ją łzawą jasnością.

— ...I uśmiechnie się do nich siostra! — szeptał znowu, przenosząc oczy na jej twarz: — takim dobrym, słonecznym uśmiechem. Dzieci trzeba kochać, trzeba je brać na ręce, pieścić, przytulać, całować... one żyją miłością. Ucałuje je siostra?...

— Zrobię wszystko, wszystko.

— Mnie nikt nie kochał — dodał szeptem.

— Tak mnie razi światło — jęknął, zakrywając oczy.

Przyciemniła tak nerwowo, że zgasło zupełnie.

Utonęli w ciemności.

Zakonnica osunęła się na kolana i modliła się żarliwie, a on zapadał w cichy sen.

Budził się co chwila, błędnie spoglądał w okno, czasem zrobił jakiś ruch bezcelowy, nieprzytomnie patrzył w szarzejącą coraz jaśniej noc, to chciał iść, to usiłował myśleć, przypomnieć sobie coś, zatrzymać siebie na tej ostrej krawędzi życia, z której się zsuwał nieubłagane, i... zasypiał.

Jaśniej... coraz jaśniej...

Świt!

Cicho! Cicho!

Niechaj odpocznienie przyjdzie dla znużonych; niechaj sen przywrze oczy czuwających; niechaj zapomnienie uciszy serca cierpiące.

Ptak śmierci tak słodko trzepoce do snu...

A żywi niechaj śpią, niechaj się krzepią tym, że nie wiedzą.

Oto już świt dla czekających.

I wybawienie z męki.

I radość zmartwychwstania!

...I weselne życie w Panu.

Świt się uczynił na świecie.

Ostry brzask zalał przestrzenie i kwietnym pyłem zórz mżył na omroczonej ziemię, na pochylone sennie drzewa, na przytulone do siebie trawy, na przymknięte oczy kwiatów, na zamglone snem źrenice wód i... na bezwładnie zwieszoną głowę chorego.

Podniósł się nagle, spojrzawszy w świetlistą głąb zórz i wyszeptał:

— Świt! Świt!...

I jak drzewo ścięte zwałił się na ręce zakonnicy.

# PARTNERZY





Jeśli  
piszesz  
horro-  
ry,  
wiedz,  
że HIS-  
TERIA  
się  
tobą  
intere-  
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.  
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

[magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

